



iwaśiów

W POWIETRZU

Iwasiów
W POWIETRZU



Potwierdzamy z całą odpowiedzialnością istnienie rozkoszy poza Układem Słonecznym.

Załoga Sensibility X

Bolszych sukcesów w siekcie!

z interaktywnego przewodnika po Mitylenie

Poznajcie moje małe tamagotchi

Od dzieciństwa kochałam się chętnie, zanim zrozumiałam po co i dlaczego. Czasem po to, żeby ukoić mieszkającą we mnie małą drżącą dziewczynkę, dać jej do buzi szmatkę z makuchami, lumpka z gorzałką. Dziewczynkę zwykle grzeczną, siadającą chętnie w pierwszej ławce i nieznoszącą odrzucenia. Poiłam, karmiłam, przewijałam i ogrzewałam właśnie ją, swoje pierwotne wcielenie, tworząc osobisty model gry, aktywny, zanim Japończycy wymyślili ludzkokształtne tamagotchi. Kiedy skończyłam trzydzieści lat, znałam swoje już dość dobrze i zastanawiałam się, czy aby na pewno jest małą kobietą. Potrzebowało godziny seksu, kieliszka płynów fizjologicznych. Rano czekało na jajecznicę, gorący prysznic, litr gazowanej mineralnej i rozpuszczalną aspirynę. Podawałam mu przez swoje gardło drobinki posmarowanego miodem chleba. W drodze do pracy poiłam je wprowadzanymi właśnie na rynek sokami Kubuś, które piłam, żeby uspokoić żołądek. Przed obiadem spodziewało się kanapki, po obiedzie ciastek. Koło siódmej zaczynało ssać, wierzgać, sięgać do mózgu, więc szłam w miasto uzupełnić paliwo, dzwoniłam do kogoś, wywabiałam samców i samice z ich nor; dawałam im siebie bez ograniczeń, nie wszyscy wytrzymywali.

Cholerne ustrojstwo, prototypowe modele bywają przesterowane. Moje tamagotchi, nieoswojone, bez instrukcji, długo nie dawało mi chwili wytchnienia. Bez przerwy piszczalo, wrzeszczało i groziło kompletną zapaścią w razie odcięcia dostaw. Po mocnym pocałunku, wymienionym z kimkolwiek, kto umiał oddać, kładło się we mnie mięciutko, gładka łapką wyściółkę mojego żołądka, przez piersi wysyłało mi do głowy cudne obrazki – kolorowe, obłe, słodkie; pierwsze endorfinowe szoty, smakujące świeżym balsamicznym powietrzem, spokojem nadmorskiego pejzażu w lipcowy wieczór, lodami waniliowymi z bitą śmietaną jedzonymi w drodze powrotnej z przedszkola w lokaliku Mors, słodkim dżemem rozsmarowanym na białej chrupiącej bułce. Smyrało mnie miłutko, mruczając moje ulubione piosenki, ale tylko przez chwilę, potem sięgało rączką przez powłoki brzuszne i brało sobie więcej, z czubkiem, niecierpliwie, choć nie spuszczałam oczu z obiektu, w nadziei, że skończę, kiedy skończy, bo przecież musiałam rano wstawać do szkoły, na wykłady, na lekcje muzyki, do redakcji, do perforowanych

kart, o których też opowiem. Biło mnie po łapach, jeśli myliłam rytm, i chichotało przyjaźnie po pierwszych ruchach na prześcieradle. Tak samo jak ja uważało, że należy skończyć seks przed dwudziestą trzecią, co dawało nam osiem godzin gęstych snów pełnych przelewającego się oceanu, koncertów cykad i sirocca. Puste noce przeczekiwało w jelitach, jak najdalej od moich ołowianych snów, zasłaniało oczy i uszy, broniło się przed wyrzyganiem, wystraszone swoją podstępłą śmiałością, okazywaną wcześniej, gdy kładłam się opakowana w chwilowy celibat.

Mieliśmy lepsze i gorsze okresy. Bywaliśmy w pełnej komitywie lub w stanie wojny. Rozpoznając się powoli, łyżka po łyżce, wspólnie pisaliśmy moją historię miłości. Bywało złośliwe i swędzące. Podły czort, rano chciał kawy, jajek i perfum, pewny swego, pewny nadchodzącego wieczoru. Pewne, pewny, nie wiem, jakiej było płci wówczas, gdy się go zaledwie domyślałam, traktując opisane wyżej objawy jako zakłócenia psychosomatyczne. Nie czułam w nim kobiety, miało w sobie niedookreśloność, jak płód niezbadany ultrasonografem. Wiedziało, że nie oddam nas nikomu; próby stabilizacji w parze witało ostrym atakiem źle lokowanego pożądania. Dłuższej abstynencji żadne z nas by nie przeżyło. Zniszczyłabym je i siebie, gdybym zrezygnowała z miłości łóżkowej. Miewałam taką pokusę, listek relanium i litr whisky, mogłoby wystarczyć, ale wtedy wywoływało torsje, trzymało mnie nad muszlą klozetową, śpiewając jękliwie i prosząc o podrapanie za uszkiem; patrzyło z dna muszli, spod moich opuszczonych powiek, i namawiało do umiarkowania. Bo tam, obok, gdzieś byli jeszcze ludzie do zaliczenia. Kilogramy czekolady, wieczność w hammamie, tort Sachera.

Wyglądało, widywałam je w majakach nad ranem, jak Obcy – ósmy pasażer Nostromo. Scena, gdy filmowy Obcy uwalnia się i ucieka, tak mnie przeraziła podczas seansu w kinie Colosseum, że nie chciałam wracać do domu, wolałam pójść jeszcze dokądkolwiek, choćby na wiśniówkę i krem sułtański, byle nie kłaść się na swoim wąskim półkotapczanie, z kołdrą na głowie, co miało zabezpieczać przed ciekawością babci. Byle nie spróbowało czegoś podobnego. Trzęsło się lekko, myślałby kto – galaretka wiśniowa, kochany maluszek, słodka dziecinka przewracająca oczkami we wnętrzu mojego brzucha.

W rzeczywistości nigdy nie było potworem, nie było nawet brzydkie. Po latach mogę je z dumą przedstawić: oto moje własne, wyhodowane przeze mnie i wykarmione, oswojone tamagotchi.

Królowa Śniegu

Wiedziałam, kim jest: wychowawczynią starszaków. Bałam się podejść. Mogli zauważyć i wyśmiać moją chęć. Siedziała w grocie wyglądającej jak sprzedawane masowo nad morzem pamiątki z Wieliczki, lampy solne, które miały zapobiegać łuszczycy – nie dałabym głowy za ich pochodzenie, bo raczej mają na spodzie *Made in China*, a nie na przykład *Zdjętano w SSSR* lub „Teraz Polska”, ale w każdym razie świecą. Albo jak takie ze sklepu z dewocjonaliami, z Matką Boską w niebieskiej szacie, też *Made in China*, bynajmniej nie *in heaven*, choć w Chinach wzrasta liczba katolików podobno. Tamta grota, w rogu sali zabaw, była biała jak mleko wylane z aluminiowej bańki do fajansowego talerza, opalizowała pomarańczowym światłem napływającym z niewiadomego źródła, a śnieżnobiała suknia i welon Królowej Śniegu połyskiwały srebrem; może były to naszyte koraliki, a może sam materiał miał taki wzorek, wdrukowany jakąś łódzką maszyną, z tych, które chodziły wówczas pełną parą. Zapraszała nas po kolei po odbiór paczki. Mówiła ciszej i łagodniej niż na co dzień, można by nawet uznać, że wypowiadała nasze imiona aksamitnym głosem, a w tle grało ukulele, pomyślałoby dziecko, gdyby znało ten dźwięk i to słowo. Głosem, o który nikt jej nie podejrzewał, kiedy zaganiała nas do szatni z placu zabaw, demaskowała nasze niechlujstwo, dawała po łapach za niszczenie zabawek, dłubanie w nosie, grzebanie w majtkach i talerzach.

Strasznie pragnęłam znaleźć się obok niej, w tej grocie, w tym cieple; było jasne, że iluzja śniegu jest w tym przypadku obietnicą ciepła, którego nam zresztą nie żałowano: kaloryfery były odkręcone na full. Chciałam przytulić się do jej dużych, wyraźnie podniesionych przez bardotkę piersi (wiedziałam, mama nosiła bardotkę) i zostać tak na dłużej, niż przewidywała procedura: podejść, odebrać prezent, przysiąść na kolanie Pani-Cioci-Królowej, wysłuchać oceny z zachowania w ostatnim miesiącu, ewentualnie obiecać poprawę i uśmiechnąć się do fotografa przebranego w jakiś czarny strój, nie wiadomo za kogo, bo nikogo nie przypominał, może Don Pedra z Krainy Deszczowców. Nie pozwoliliby mi siedzieć na jej kolanach dłużej, chyba że Don Pedro uznałby zdjęcie za poruszone; przecież rodzice mieli dostać udane fotografie, reportaż ze szczęśliwego życia

w państwowej instytucji opiekuńczej, która wspiera pracujące na rzecz socjalistycznej ojczyzny matki.

Nie znałam niepracujących matek, a teraz się dowiaduję, że mamy wzrost zatrudnienia kobiet, czyli jakieś niepracujące istniały i istnieją. Chyba na innej planecie, gdyby ktoś chciał znać moje zdanie. Na naszej planecie matki wychodziły do pracy, zanim my wstaliśmy do szkoły, wracały długo po nas, od razu zakładały fartuchy i zaczynały skrobać, czyścić, prac, prasować, mieszać, zmywać i sprawdzać nasze zeszyty. No, może moja nie. Moja kręciła stopą w pantoflu z puszką, krążyła po pokojach w podomce i dolewała sobie czegoś do kubka z herbatą.

W albumie zdjęcie z Królową powinno się znaleźć obok portretu w przebraniu Chinki; przed 1 Maja obchodziło się Dzień Małego Internacjonalisty, występowaliśmy wówczas w tradycyjnych strojach bratnich narodów. Na szczęście nasze matki umiały szyć, wyglądaliśmy wspaniale w kostiumach z podszewek, zasłon, kilkakrotnie recyklingowanych zużytych sukienek przybranych wstążkami zdjętymi ze zwiędłych goździków oraz krepiną wydzielaną w sklepach papierniczych po jednym arkuszu każdego koloru. Piękne stroje, bez porównania z tandetą sprzedawaną obecnie w hipermarketach. Wróc – dzisiejsi rodzice, szanujący siebie i swoje bezcenne latorośle, nie kupują w hipermarketach, tylko wypożyczają z opery, zamawiają u stylistów, wyszukują w sklepach internetowych. Niektóre co bardziej zdesperowane matki pewnie też szyją, korzystając z porad telewizyjnych, internetowych i innych. O, bogini! Jak dobrze, że nie mam teraz dzieci. Moja córka jest już dorosła, umie sama projektować ubrania i przebywa w krainie poniekąd bajkowej.

Chinka całkiem mi odpowiadała, jeśli nie liczyć czarnego warkocza zrobionego z treski babci. Miałam na niego uważać; z tym uważaniem zawsze robili afery, jakby nie rozumieli, że niewiele od nas zależy. Jeśli któryś z chłopaków chciałby wsadzić ten mój warkocz do zupy albo farby, nie miałabym nic do gadania. Mogłam co najwyżej nie chodzić do toalety, gdzie warkoczowi groziło dodatkowe pranie w małej, dostosowanej do dziecięcego wzrostu, muszli klozetowej. Końskie zaloty, nie reaguj na końskie zaloty. Nie martwiłam się o stan treski, babcia potrzebowała jej na większe wyjścia, czyli nigdy, ale uważałam, że z długimi włosami wygląda się głupio. Co prawda, miałam kapelusz, warkocz wystawał tylko trochę, ale głupi był bez dwóch zdań. Podczas wieczornej próby generalnej próbowali mi wytłumaczyć, że w Chinach wszyscy noszą warkocz, kobiety i mężczyźni, pokazywali nawet jakieś obrazki z książki w obcym języku. No, no. Owszem, wszyscy tam brodzili po kostki w wodzie, zbierali ryż, który wcale nie wyglądał na ryż, swoją drogą, cienkie słomki wystające z bajora, ale kto wie, może to były same kobiety? Znająca języki sąsiadka czytała podpisy: „Mieszkańcy wioski Nun Tun przy pracy”. Nie

dało się dyskutować z tym stowarzyszonym frontem znawców dalekich, choć bratnich kultur. W końcu mogli mi kazać założyć strój krakowianki, kupiony niedawno i całkiem jeszcze dobry. Nienawidziłam tej krótkiej spódniczki i drapiącego serdaka. Miałam rację, Kasię, krakowiankę z Cepelii, Królowa trzymała na dystans.

– Uważaj, kochanie, zaciągniesz mi sukienkę – powiedziała do niej zawieszonym między odświętną słodyczą a codzienną chropowatością tonem, prawie doprowadzając zbitych w gromadkę przebierańców do płaczu. Każdemu groziła banicja.

Mój strój był gładki, niczym nie groził szatom Królowej, mogłabym długo siedzieć na jej okrągłym kolanie, oddychać trochę wytchłym zapachem czegoś, co zdawało się należeć tylko do niej, do złej Pani-Cioci od starszaków, która przyjaźniła się z moją matką i po znajomości doglądała także mnie. Jakie to mogły być perfumy? W bajce o Ośle Skórcie, czytowanej w porze wspólnych zajęć, wszystko pachniało bzem. Sądziłam, że „bez” to stopień wyższy od „zapach” i że każda fikuśna butelka stojąca na jednej z wciąż licznych w mieście ponemieckich toaletek zawiera ekstrakt z białych lub fioletowych kwiatów rosnących przy parkanach w willowych dzielnicach, które chodziło się zwiedzać w niedzielne poranki. Bzowy zagajnik za uchem Pani-Cioci, bzowe piersi Pani-Cioci, bzowe pocałunki składane przez Panią-Ciocie na policzkach najgrzeczniejszych dziewczynek. Bzowe sutki mojej matki, wystające ponad balkonik bardotki, oglądane w niedzielne poranki, miękkie jak nic innego na świecie, może z wyjątkiem mojej własnej, wcześnie odkrytej lechtaczki.

Niektóre kobiety nosiły długie włosy, ale mężczyźni nigdy. Na nic mydlenie oczu obrazkami z dalekiego kraju. Moje kobiety – rozglądałam się po rodzinie, sąsiadkach, znajomych – raczej miały fryzury półdługie, praktyczne trwałe, małe koczki. Czas i czar topielic, tonących przy mnie, miał dopiero nadejść. Kobiety wokół, wyrósłszy z dziewczyńskich warkoczy, chowały włosy pod czepkami pielęgniarek, ekspedientek, kelnerek, pod chustkami robotnic i kapelusze paniuszy idących z wizytą. Warkocz nosiła młodsza siostra mamy, gruby i błyszczący. Byłam jedyną dziewczynką w klasie ostrzyżoną całkiem na krótko. Sama tego chciałam? Nie miałam nic do gadania, najpewniej matka uległa przesądowi i uznała, że krótkie strzyżenie wzmocni moje mysie ogonki, a ponieważ wydawałam się szczęśliwa z tą chłopięcą na ówczesne standardy fryzurą, prowadzali mnie do dziecięcego, a potem damskiego fryzjera zawsze, kiedy włosy przekroczyły linię ucha. Czy w ten sposób wywołali we mnie podwójność? Długie włosy, uwalniane przez dziewczyny ze szpilek, spod czapek, z gumek, nieodmiennie wywołują we mnie radość i skurcz podbrzusza, nie jako lustrzane odbicie, ale jako rewers mojej kobiecości.

Lubiłam mężczyzn, którzy podczas delikatnie kładli mi dłonie na głowie. Myślę, że

większość tych najtwardszych była lekko homo, choć się przed sobą do tego nie przyznawali. Przymykali oczy i dotykali mojej czupryny, wyobrażając sobie, że jestem chłopcem. Nie naciskali, nie mówili tych wszystkich „weź go”, nie byłam zabłąkaną pokojówką ani klęczącą dziwką. Lubiłam i tych, którzy mówili do mnie „chłopcze”, głaskali niedbale jak psa i zapraszali na wódkę. Lubiłam, gdy mnie głaskali, lubiłam łaskawość panów, lubiłam się łąsić. Potem zaczęłam lubić i innych, zdecydowanych hetero, rewolucjonistów i konserwatystów, kładących dłonie na mojej głowie. Niekoniecznie delikatnie. Żałowałam, że nie mam warkocza, za który mogliby mnie ciągnąć, i w wyobraźni łamałam niezłomną zasadę chłopięcej fryzury.

Lubiłam kobiety z długimi włosami; ciągnąc za włosy, mogłam ustawić kobietę w wygodnej pozycji. Podczas gdy mnie lizała, szarpałam i głaskałam je na zmianę. Czasem okrywałam się nimi na chwilę, albo brałam je w dłoń, pozorując postrzyżyny. Moim kochankom myliły się rodzaje, zmęczone zwracały się do mnie niechęć męskimi imionami. Niektóre nie zamykały oczu, inne zapadały w odrętwienie i oddalały się ode mnie. Znajdowałam w nich granicę bólu i zachęcałam do znalezienia mojej.

Królowa Śniegu miała spływające na piersi kręcone włosy z przedziałkiem na środku. Czasem udawało się ich dotknąć, kiedy pochylała się nad talerzem, żeby zaczerpnąć łyżkę zupy mlecznej i wepchnąć ją któremuś z nas prosto do przełyku. Mnie ta procedura przeważnie omijała, miałam cudowne zwolnienie z zupy, błogosławioną mało znaną alergią na białko. Królowa zapominała się jednak niekiedy, poza tym zwolnienie nie obejmowało ziemniaczano-szpinakowo-pulpetowej papki, tę wpychała mi głębiej, do końca, aż czułam aluminium na migdałkach.

W pornosach najbardziej lubię właśnie ten moment: wytrzymasz, wytrzymasz, włożę ci do końca. Zwłaszcza w gejowskich, chociaż tam akurat takie dialogi są rzadkie, rozumie się samo przez się, że wytrzyma bez zachęty, tocząc udawaną walkę z przebijającym ból orgazmem. Miłość boli, wiedziałam to od początku, już w grocie.

W takich chwilach Królowa zapominała, że nie lubi naszego dotyku i można było musnąć ustami te jej cudowne włosy, te królewskie loki, natarte płynem Lotion 2, lekko utapirowane i usztywnione lakierem z butelki z gruszką.

Dla niej napisałam pierwszy wiersz i wymyśliłam pierwszą własną wersję *Ośleju Skórki*. Jeśli dobrze pamiętam, kończyła się ucieczką z matką chrzestną. A wiersz brzmiał jakoś tak:

Nasza pani jest najpiękniejsza
Kupię pani kolorowy szalik

Żeby miała ciepółko
Na śliczne gardółko
Zrobię dla pani
Kolorową wycinankę
I falbankę
Żeby wołała mnie nie Ankę

Jeszcze nie wiedziałam, że wyłączność nie popłaca, obiecywanie prezentów prowadzi do wyczyszczenia karty kredytowej, a rymy obniżają wiarygodność wiersza. Byłam na innym etapie.

Wiedziałam, że ona siedzi w grocie i zaraz będzie moja kolej. Wiedziałam, że pozwoli trochę się dotknąć, jako Królowa Śniegu nie jest niedotykalna, może nawet przytrzyma mnie na kolanach, a ja mocno obejmę ją za szyję, pocałuję w policzek, włożę rękę w te jej falujące włosy. Kto wie, może potarga moje „A co z twoimi włoskami, dziewczynko? Tyfus czy weszki?”. Nie przejmowałam się tym głupim pytaniem, skoro w domu zatwierdzili taką fryzurę, widocznie była normalna, nienormalne wydawały mi się te wszystkie panienki z warkoczami, których nie umiały zaplatać same, te szarpane szczotkami nieszczęsne istoty, które zawsze ktoś mógł wytargać. Mnie się nie dało. Głaskali, chcąc nie chcąc.

Z tego samego powodu już w liceum współczułam dziewczynom noszącym buty na obcasie. Mogłam biegać. Oczywiście nie na wuefie, którego nienawidziłam prawie tak jak wcześniej leżakowania, mleka, zajęć plastycznych, badań lekarskich i dziesiątek powszednich rzeczy, z których nie miało się nic poza brudnymi rękami i swędzącą wysypką. Biegać tak sobie, bez nakazu, nie na czas, za to skutecznie uciekać przed wszystkim, do każdego, kogo się wybrało. A one? Kołysały się w biodrach, niestety wcale niepodniecająco, raczej jakoś tak na wyrost, w przeczuciu kłopotów ze stawami biodrowymi po okresie przekwitania.

Królowa skinęła na mnie, uśmiechnęła się porozumiewawczo. No tak, obie wiedziałyśmy, że ma mnie na oku na prośbę mamy, że jest dla mnie o przedszkolne niebo lepsza niż dla pozostałych. Czego jeszcze bym chciała? Wszystko musi mieć jakieś granice, nawet dobroć po znajomości. W grupie miała kilkadziesiąt głodnych dotyku smarkaczy, prawie każde z nas zostało za szybko odstawione od piersi i oddane na przechowanie. Uczyliśmy się rywalizować o uwagę, o przyjemność, rozpoznaną w pieczeniu rozbitego kolana dotykanego językiem.

Popatrzyłam na nią z bliska. Od dawna podejrzewałam, że w kalendarzu ojca jest

lutym. Trudno było poznać bez sukienki i z trochę krótszymi włosami, ale tak. Te same zielonkawe oczy w ciemnej oprawie, kręcone włosy odgarnięte z twarzy. Uśmiechnięta jak w grocie, przystępna. W baśni Andersena to chyba ten moment, gdy obiecuje, choć nie ma zamiaru dotrzymać. Jedną dłoń trzyma na piersi, drugą między nogami. Była zimową panią, rozdawała prezenty na bezwyznaniowej gwiazdce w przedszkolu i gdzieś tam, gdzie wieszali ją mężczyźni – w warsztatach samochodowych, w biurach, w szatniach klubów sportowych, w zakładach rzemieślniczych. Dla mnie miała dwie minuty – podejść, usiąść na kolanie, obiecać poprawę, odebrać paczkę ze słodyczami. Po zejściu z jej kolan, wiedziałam, czeka mnie już tylko podróż przez mroźną krainę, na końcu zaś leżakowanie, raj małych macantów, którzy wkładali dziewczynkom ręce pod koszulki i wycierali o ich ciała świeżo wykopane z nosów gile. Szłam zrezygnowana do zamienionej w sypialnię salki zabawowej. Jeszcze myślałam, że nie ma innego wyjścia.

Nie patrz tak na mnie, Alek

Chłopcy za mną nie przepadali. Omijali mnie wzrokiem, chyba że pilnie potrzebowali wypracowania. Wyrabiałam sobie styl poniżej swoich możliwości, skwapliwie pisząc rozprawki pozbawione akcentów krytycznych typowych dla wypracowań, które oddawałam pod własnym nazwiskiem. Indywidualne podejście do klienta miało się okazać przydatne później, gdy zaczęłam żyć na styku własnego i cudzego pisania. Nie płacili pieniędzmi z kieszonkowego, chociaż transakcji zawieraliśmy wiele. Wolałam samo zobowiązanie, świadomość, że mi wiszą. Niełatwe zlecenia, podrobienie składni niektórych z nich wymagało dużego wysiłku. Kończyli zdania jakimiś „eee” i „no nie”, zapominali o spójnikach. Milczenie, nie wiem, czy znaczące, było jedynym środkiem stylistycznym, jaki akceptowali. Norwidowskie wielokropki i socjalistyczna nowomowa, coś o tym wiedzieliśmy. Więc pisałam jak oni, ale trochę lepiej, przynajmniej na trzy z plusem równoważące pały z odpowiedzi. Mieli niewątpliwie ciekawe życie wewnętrzne i własne przemyślenia. Podkładali moje kartki pod puste strony w swoich zeszytach i odczytywali, zatrzymując się na trzysylabowcach. Czytali tak, jakby sami napisali – nieskładnie, na trzy z plusem.

To pisanie na łebka, zwane dziś ghostwritingiem, trwało przez wiele lat. Chłopcy z klasy tracili jednak zainteresowanie moją osobą zaraz po odebraniu stopnia, nawet wtedy, kiedy zaczęłam nielegalnie kolportować wyciągnięte z biblioteczki matki świńskie fraszki Sztaudyngera. Nie miałam niczego, o co mogliby zaczepić ręce: włosów, piersi, bioder, odsłoniętych kolan, dziewczęcych reakcji uczuciowych, zwyczaju wydmuchiwania gumy balonowy w kierunku wybranka. Wygłaszałam zdecydowane sądy, w ocenie postaci literackich i filmowych byłam nieprzejednana. Brałam stronę Azji przeciw polskim panom, zwłaszcza takim jak Babinicze, scenę „ran całowania” uważałam za zbyt patetyczną, po nabiciu na pal Azja tylko zyskał w moich oczach – on jeden był odważny, on jeden nie był śmieszny. Nie pochwalałam rzucania się w ogień w celach dobroczynnych, nawet pod dyktando poetki. Owszem, brali ode mnie fajki, pobierali składkowe na wino, ale woleli palić w swoim towarzystwie i porzucali mnie, kiedy tylko rozpiliśmy patykiem pisane równo odmierzonymi łykami. Chodzili pod okna ładnych, ich zdaniem (a nie znali

się), dziewczyn. Nie byłam jedną ze szkolnych puszczałskich, więc na libacje w piwnicach mnie nie zabierali.

Był jeden chłopak, od początku, pewnie już od pierwszej klasy. Średniak, bystry, ale roztargniony. Przystojny w sposób, którego dziewczyny nie ceniły, niepodobny do wieszanych na słomiankach w dzielonych z rodzeństwem lub dziadkami pokojach plakatowych gwiazd tamtego czasu: chłopców z Boney M., Karela Gotta, Joe Dassina, Davida Bowiego, Chrisa Normana, Roda Stewarta, Krzysztofa Kolbergera czy Jerzego Zelnika. Tacy jak on, niepiękni na pierwszy rzut oka, pojawili się w wyobraźni masowej później, kiedy dziewczynom znudziły się pudle i cukierki, dżentelmeni, grzeczni chłopcy i hippisi. Taki grubiej ciosany Leonardo DiCaprio.

W wypracowaniach i zadaniach z matmy robił błędy, ale zawsze myślał w dobrą stronę. Silny, krępy, z nieporządną fryzurą, niepodopinany, rozchełstany, zapowiadający się na mężczyznę, którym został: zawsze trafiającego kulą w płot – w wyborze studiów, żony, biznesu, nałogu. Miał słabą wątrobę, a mieszał wódkę z czymś mocniejszym, na co akurat było go stać. W dobrych czasach, kiedy uruchomił produkcję domowych filtrów powietrza, brał kokę. Potem chyba nie wybrzydzał. W złych czasach umarł na marskość wątroby w wieloosobowej sali najgorszego szpitala w Wielkiej Brytanii, do której pojechał o dekadę za późno. Wrócił, do miasta i do mnie, w marmurowej urnie.

Mieszkał w połowie mojej trasy do szkoły i często czekał na mnie przed ósmą rano. Nie pamiętam, o czym mogliśmy gadać; trochę o książkach, ale ja byłam w czytaniu na pewno bardziej zaawansowana, oprócz przygód Tomka Sawyera i Tomka Wilmowskiego musieliśmy mieć i inne tematy. Nosił mój ciężki skórzany tornister, zgodnie z obowiązującym fasonem (w domu mówiło się raczej „teczka”), a po lekcjach siadaliśmy na wysokim ceglany murku przy szkole albo na niższym cementowym pod moją kamienicą. Przy szkole groziło nam, że wyśmieją nas uczniowie starszych klas. Pod jego domem najwyżej przystawaliśmy, niby mówiąc o lekcjach; jego starsza siostra donosiła matce, a matka nie tolerowała żadnego zadawania się z dziewczynami.

Wielu rodziców myślało jak ona: koedukacja koedukacją, dziewczynki i chłopcy są z innej gliny – kiedy się dowiedziałam, skąd biorą się dzieci, zaczęło mnie brzydzić to powiedzenie, nie kojarzyło mi się biblijnie, gdyż religię porzuciłam w czwartej klasie podstawówki, rozczarowana brakami w wiedzy katechetki – i powinni siedzieć po dwóch stronach sali, chodzić innymi drogami, modlić się w kościele w osobnych ławkach. Prawdopodobnie zbyt szybkie zbliżenie groziło zepsuciem – dotyczyło ono głównie dziewcząt, ale jakieś odium spadłoby także na chłopaka przyłapanego na psuciu – mogło do niego dojść w każdej chwili, nawet już w piątej klasie. Matki wiedziały o tym co nieco, same zostały młodo zepsute, wyszły za mąż jeszcze w zawodówce. W tamtych czasach do

wszystkiego dosypywano pestycydy, więc rosły nam (*mienia akkurat k sożaleniju niet*) piersi, im stawały penisy, miesiączkowałyśmy przed czasem i zbyt często, nieszczęście gotowe, zanim ktokolwiek zdąży pomyśleć o żyletkach dla nich i wacie dla nas. Nie bez znaczenia były rodowody naszych matek i ojców, ich wiejskie w większości pochodzenie – wiedzieli, że niepilnowany byczek robi swoje. Za segregację i przyzwoitość odpowiadały matki, ojcowie wkraczali w razie czego, wyjąwszy po drodze pasek z zsuwających się garniturowych spodni, noszonych nawet po domu, co osłabiało, na szczęście, ciosy, zadawane z tym większą złością, że niechętnie. Kto by nie wolał kulturalnie popatrzeć w telewizor Koral, popijając kapuśniak piwem? Matki były nie gorzej od ojców, czerwonymi dłońmi wytartymi nieporządnie w fartuch zarzucony na te same ciuchy, w których przychodziły z pracy. Odgrzewały obiad i wymierzały policzki, z troski o pieczęcie na cipkach, ze złości na swój los. Wiedziałam to wszystko z opowieści i z nasłuchu; słyszałam, przechodząc pod otwartymi oknami, na podwórku zadzierałam głowę ku wybuchającym co chwila krótkim awantom, po których ktoś zbiegał po schodach, ktoś krzyczał z balkonu, a w końcu zapadała niekompletna, miejska cisza.

Mnie nie pilnowali, byłam druga od końca ze swobody. Druga, bo pierwsze miejsce należało do dziewczyny z 6C. Była starsza od koleżanek, powtarzała klasę w innej szkole, miała same zagraniczne ciuchy, a jej matka nie wyglądała ani na ekspedientkę, ani na kucharkę, ani nawet na nauczycielkę. Na nic, co znaleźmy z domów. Wyglądała, teraz tak myślę, na kogoś z rejonów restauracji Bajka albo kombinatu gastronomicznego Kaskada. Jeszcze bardziej zagraniczne ciuchy, buty z plastikową cholewką do uda, mini. Kupowała dla córki w Pomorzance ciasto z bitą śmietaną i zostawiała w lodówce. Dziwne było tylko to, że mieszkali w podłym miejscu, w niewyremontowanej po wojnie kamienicy bez łazienek, z wychodkami na półpiętrze. Na dorobku? Po korzystnym rozwodzie, chwaliła się alimentami dzieciakom wybieranym na audyencje według niezrozumiałego klucza. W ich dwóch pokojach wszystko było zagraniczne – matka, córka, meblościanka, toster, radio, alkohol w barku, wycinki z niemieckiego „Bravo”, pudełka kakao i koncentraty soków. Zamiast kolekcji pudełek po papierosach – prawdziwe marlboro; matka nie liczyła, częstowaliśmy się wszyscy. Więc ona miała całkiem luźno, pierwsza od końca w byciu pilnowaną. Mówiło się, że może nawet oglądać szwedzkie porno, ale nam nie pokazywała. „Mam zakaz”, mówiła, puszczając Procol Harum na szpulowym grundigu. „Znów ktoś wygada i wyrzucą mnie z kolejnej budy, a wy i tak nie zrozumiecie jak i co. Do seksu trzeba głowy”. Cóż, wyglądała na kogoś z głową, zwłaszcza w okolicach biustu, opiętego jaskrawym moherowym sweterkiem.

Nie żałowałam, miałam za sobą oglądanie książeczki znalezionej w wewnętrznej kieszeni marynarki jednego z lepszych ojców. U Bożenki obowiązywała przede wszystkim

czystość, marynarki, płaszcze, spodnie wisiały w szafie zabezpieczone folią. Szukałyśmy jak zwykle zapomnianych drobnych, rutynowa kradzież uprawiana przez całe dzieciństwo. Znalazłyśmy małą książeczkę o tematyce dziewczęco-zwierzęcej. Przez pewien czas obie omijałyśmy pieski.

Więc murek u mnie pod domem, na murku ja i Alek. Sprawdzał, czy nienaplute i nienasikane, czasem podkładał mi swoją teczkę, podejrzanie pustą; nie zabierał z domu książek, zapominał, gubił, wołał pożyczać ode mnie. Lubiłam potem mężczyzn, którzy dbali o moją wygodę i interesowali się moimi książkami. Znajdowali poduszki, kocyki, nie pozwalali mi leżeć czy klęczeć na twardym, szorstkim, zwłaszcza jeśli dochodzili dopiero po długim boju z wykorzystaniem wielu technik. Gest, jakim Alek kładł na murku teczkę, która nieuchronnie się przez to niszczyła, co narażało właściciela na awanturę z nauczycielami, sprawdzającymi higienę uszu i pomocy naukowych, w niczym nie ustępował scenom filmowym z rozkładaniem na łące marynarki. Alek był szczodry, wielkoduszny, ciepły i dużo większy ode mnie. Kupował mi ciastka tortowe w cukierni Jurgi, przynosił oranżadę z żydowskiego sklepiku. Nie brzydziłam się jego kanapek, tylko jego. Kanapki innych dzieci śmierdziały surowym mięsem, nie wiem, skąd matki brały mięso; a może był to zapach smalca. Bałam się mielonych glist, wetkniętych, mówiono na podwórku, między liśćmi sałaty. Tłuste, zachowywane na następny raz papiery śniadaniowe, grube pajdy – nie byłabym w stanie odgryźć od nikogo. Jasne, dawałam gryza, każdy dawał – bułki, sznytki, jabłka, siebie. Z obrzydzeniem przełykałam kawałek, którego dotknęły czyjeś usta. Robiło się to, na szczęście, między dziewczynami, których ślina nie miała bardzo ohydneho zapachu, najwyżej cień wypełniającego dziury amalgamatu pomieszanego z cebulą. Alek był jedynym, którego kanapkę mogłam zjeść w całości lub do połowy i dać w zamian swoją; gryzł ją ostrożnie, z elegancją, zasłaniając dłonią duże zęby o odcieniu kości słoniowej. Zamienialiśmy się chętnie; nie wiadomo właściwie, na czym polegał ten zwyczaj. Ktoś mógł mieć z pasztetówką, ktoś z żółtym serem. Kanapki Alka były chłopackie, dość grubo krojone, często z kiełbasą. Odwijał pergamin i pokazywał mi najpierw: „Chcesz moją?”. Zawsze chciałam, choć byłam niejadkiem, pałaszowałam wielkimi kęsami – jem tylko z talerzy tych, którzy smakuja bliźniaczo.

Jego dłoń przy mojej wyglądała jak kotwica, jego stopa dostawiona do mojej zawsze nas rozśmieszała, liliputkę w krainie olbrzyma lub odwrotnie, zwykle prym wie dzie ten, kto bardziej pożąda. Alek błędził po mojej krainie, odsuwany na bok z powodu nieprzenikalności prawdziwego piękna, traconego lekkomyślnie na rzecz iluzji. Jego głos trochę mnie usypiał, a trochę pobudzał. Odgryzałam wielkie kęsy, starając się szybko przeżuć, żeby nie mówić z pełnymi ustami, powstrzymywałam kolejne zdanie

eksplodujące we mnie zaraz po zdaniu Alka, który zionął w moim kierunku miętą i landrynkami i nie przestawał, nigdy nie przerywał.

Potem, tego jednego niepotrzebnego razu po spotkaniu klasowym po latach, na które włożyłam jedwabną sukienkę i na którym starałam się wyglądać na kobietę z wyobrażeń pozostałych uczestników spędu, zapytał podobnie. Nasze dłonie zachowały różnicę wielkości, bo on przytył, a ja raczej od paru miesięcy chudłam, po czymś gorzkim, co wypełniało moje ówczesne życie. Zapytał nie o kanapkę, nie o drinka – o siebie, o mnie. Czy chcę. Źle oceniał sytuację, nie byłam dziewczyną z klasy ulegającą dawnym uczuciom, tłumionym nie wiadomo po co, tylko udawałam.

Mieszkał wciąż w tym samym mieszkaniu, w tej samej kamienicy. Wystraszyłam się trochę, że z drugiego pokoju zaraz wyjdą siostra, matka, ojciec, który podobno miał ciężką rękę – po nim miał takie mocne dłonie, tyle że czułe – ale, no przecież, należało raczej pomyśleć o żonie, o jej ewentualnej obecności w mieszkaniu.

– Nie. – Zaśmiał się nisko, ciepło, rozgrzewająco, odsłaniając ułamaną dwójkę. – Dziewczyny się wyprowadziły. – Wskazał wiszące nad komodą zdjęcie; w ten sposób poznałam jego dwie córki. – Jestem znów wolny, moja вина.

Mówił o tym z uśmiechem, jakby relacjonował osiągnięcia. Przez stężony do poziomu czterech promili sentyment rozpoznałam w tym liczne sceny z nieoscarowych filmów; próbowałam nie wyciągać wniosków. O wszystkich tak opowiadał. O widmowych dla mnie postaciach, których nie było na spotkaniu klasowym, a z którymi przez cały ten czas utrzymywał kontakty. Komuś coś montował w domu, komuś załatwiał jakieś materiały. Mrugał znacząco, chodziło nie tylko o budowlankę. Jakie jego winy wygnały z domu te dwie dziewczynki, tę żonę, poznaną na nieukończonych studiach, bardzo ładną, klasyczną wymagającą szatynkę jedzącą zbilansowane posiłki? Pasowała do niego, mogli mieć życie pełne jego dobra i entuzjazmu.

W sposobie, w jaki zdejmował płaszcz i marynarkę oraz rozpinał górne guziki koszuli, było coś przypominającego tamto odwijanie kanapek, proponowanie mi najlepszego kęsa. W jego opowieści, jakby nieprzerywanej od wrześnieowych powrotów ze szkoły do tego powrotu, było coś z relacji o przygodach Tomka Wilmowskiego.

Przez całe lata, przyznaję, myślałam o tym, żeby go całować. Żaden mężczyzna, prawie żaden, ściślej mówiąc, nie pachniał mi tak bardzo. Nie wiedziałam, co to takiego; jakaś chemia parująca przez skórę, tani szampon, prane w płatkach mydlanych ciuchy, oranżada w proszku, papierosy bez filtra, przetłuszczone włosy, liście gnijące i palone w alei Piastów? Może dlatego jego głos, jego przypadkowe dotknięcia, jego śmiech – zamiast pobudzenia powodowały u mnie lekką senność? Nie chciało mi się wstawać z murku i wlec do domu, chciało mi się siedzieć obok Alka do następnego dnia, wtulać

ramiona w kurtkę, którą zdejmował po pierwszym malutkim, nieodczuwalnym dla mnie dreszczu i oddawał mi, chociaż nie miał pod spodem nic poza koszulką i stylonowym fartuszkim z tarczą. Nauczył mnie, że mężczyźni nie marzną, nawet kiedy jest im bardzo zimno. Ogrzewałam wielu zmarzluchów.

Więc oczywiście całowałam go w tym mieszkaniu, przypominającym moje z dzieciństwa; zatrzymanego w jakimś punkcie w przeszłości, już zniszczonego, nadal źle ostrzyżonego, pachnącego mocnym alkoholem, zjedzonym na klasowym spotkaniu mięsem z grilla i wodą kolońską, nie najlepszą, za to bardzo męską, czymś w rodzaju starego brutala, jeśli ktoś pamięta ten upojny zapach z fabryki Pollena-Lechia. Odwinęłam go z koszuli, spodni i przyciasnych majtek, po których poznałam, że od odejścia żony tyje, nie dbając o kalorie ani o to, czy zmieści się w ciuchach. Był taki słodki, ostrożny, ciężki i pełen wyrzutów sumienia, jakim go zapamiętałam. Pragnął mnie i przeproszał. Starał się nie położyć na mnie całym ciężarem i wstydził się powiedzieć, że wolałby od tyłu, bo wtedy nie musiałby uważać na moje chude ciało, zagrożone zmiżdżeniem w kontakcie z tym, czym był: niespełnionymi kilogramami pragnień. Nie umiał mi tego dać do zrozumienia typowym gestem, małym naciskiem stosowanym przez wszystkich mężczyzn świata powyżej szesnastki. Kontrast pomiędzy jego władczymi gabarytami a jakąś, nie wiem, może kurtuazją, niepasującą do łóżka, do moich westchnień, mojego rozmazanego makijażu, za szybko podchodzącego do gardła krzyku, niedającego się powstrzymać płaczu – ten kontrast skłonił mnie do zrobienia wszystkiego po kolei, niczym z menu w egzotycznym *peep-show* dla turystów.

Do końca był zakłopotany, naprawdę zakłopotany. Moje wyczyny sprawiały mu automatyczną przyjemność, rozkosz, tak, owszem. Zapalając papierosa, powiedział nawet: „Nie pamiętam, kiedy mogłem drugi raz od razu” i pogłaskał mnie po głowie. Nie dałam mu wobec tego czekać za długo na trzeci raz, tak, pokazałam, że ma palić dalej, wzięłam go w usta i starałam się w dodatku patrzeć Alkowi w oczy; robiłam z tego naszego spotkania po latach zawody w kurewstwie, którego wcale ode mnie nie chciał, ani na murku, ani w snach, ani w pokoju z fotografią dziewczynek. Gdyby to zależało od niego, poprzestałby na jednej, dwu pozycjach, czułby wdzięczność za 69; teatralne mazanie twarzy spermą na zawsze zaburzyło mu mój obraz. Sperma na twarzy przyjaciółki z dzieciństwa nie jest romantyczna – nie warto tak kończyć dziecięcych znajomości. Poza tym, o czym nie mogłam wiedzieć, pisane nam było inne zakończenie. Niechciany obraz miał wrócić.

W każdym razie lepiej tego nie robić, nie sypiać z kumplami z młodości. Wszystkie te jęki, te gesty, których nauczyliście się od innych, pozbierane przez lata, kiedy straciliście się z oczu, nie są do niczego potrzebne, chyba że liczycie na ułożenie sobie życia z dawnym

narzeczonym. Tylko czy was zechce? Nie sędę, oboje wiecie, że szczytowanie jest tym razem wydłużone przez czas miniony niedokonany, a następne ma szansę pójść bokiem.

Zanim usnęliśmy sklejeni efektami tej ciężkiej nocy, przykrył mnie starannie. Gdy usłyszałam spokojniejący oddech, odpełzłam na brzeg tapczanu. Rano unikał patrzenia mi w oczy. Zrzucając ręcznik – kto wie, może używany przez jakąś inną kobietę? – po wyjściu z łazienki, która znajdowała się w miejscu dawnej służbówki, zrozumiałam, że tracę naszą przyjaźń, tak czy owak nieczynną przez zaniechanie. Nie było gorącej wody, z pękniętego prysznicza kapłała letnia, nie było nadziei na splecenie naszych dróg, zaufaliśmy naszym ciałom, nie było wyboru, musiałam go mieć jeszcze raz. Dokuczał mi skurcz w podbrzuszu, fizjologiczne ssanie dające się uśmierzyć tylko poranną powtórką. Ból rozsadzający macicę, żeby dała sercu iluzję bliskości.

Dlaczego nic się między nami nie wydarzyło dawniej, w szkole? Gdybym miała z kimś chodzić i pokonywać kolejne szczeble erotycznego wtajemniczenia, a zwłaszcza gdybym miała kogoś kochać i na kogoś liczyć – Alek był idealnym kandydatem. Zdarzyło się jednak coś, coś zupełnie innego, po czym jeszcze czasem nosił mi teczkę, pożyczał zeszyty z zadaniami domowymi, gdy byłam chora, zagadywał na przerwach, spotkany po drodze do szkoły, przystawał z papierosem ukrytym w dłoni – ale po czym wiadomo było, że nie. Nie będzie mój, nie będę jego. Pasowałyby nam ślubne czernie i biele, pięknie wyglądalibyśmy przed ołtarzem, gdyby mi zrobił przedwczesne dziecko, nie potrafiąc uważać za którymś już, nadal słodkim razem, bo mnie kochał. Jego obszerny członek w mojej dziewiczo ciasnej dziurce równałby się dzidzius plus ołtarz. Nigdy nic nie powiedział na ten temat, nie próbował odwrócić biegu rzeczy, uśmiechał się i stawał w mojej obronie, a było do tego sporo okazji, kiedy upadałam i chodziłam ze strupami na kolanach i w kącikach ust. Widziałam jednak niekiedy, podczas lekcji, jego uważne, zranione, może pogardliwe (nie, nie – nie wiem, które wolę, jego zysk emocjonalny był moją zasłużoną stratą) spojrzenie, gest, jakim odgarniał włosy, by powiększyć sobie pole widzenia. Słodkie, niespróbowane wygięcie warg. W polu widzenia siedziałam ja, nadal za chuda, krótko ostrzyżona, z popękkanymi ustami, ściągająca brwi w grymasie ciągłej pretensji do świata, nie lubiąca szkoły i nie lubiąca w ogóle niczego, ale nagle zupełnie inna, oddzielna, w opinii wielu skazana na dożywanie. Niesiona potrzebami nierozpoznanego lokatora, opuściłam krainę lękliwego pragnienia i wkroczyłam w czas erotycznej brawury.

Tak, miałam kochanka. I choć ukrywałam to przed całym światem, Alek wiedział i patrzył, obgryzając skórę z warg i paznokcie. Siedzieliśmy w klasie i zjadaliśmy małymi porcjami fragmenty swoich ciał, na tym polega podstawówka. Alek zjadał się z miłości do mnie, więc po latach dałam mu tyle, ile mogłam z siebie dawnej odzyskać.

Lekcja muzyki

Teraz, kiedy o tym piszę, potępienie jest oczywiste. Adaptacje teatralne *Lolity* wykorzystują scenerię wiedeńskiej prowincji, a dyskusja po spektaklu zbacza na Josefa Fritzla. Ale w czasach, które dla wygody nazwę swoim dzieciństwem, nie było specjalnej paniki czy choćby elementarnej troski w tej sprawie. Popatrzmy w metryki ludziom, którzy zawarli ślub przed wojną, w trakcie wojny i po wojnie. W wielu małżeństwach różnica wieku jest duża, czasem szokująca. Moja babcia urodziła pierwsze bliźniaki w piętnastym roku życia, noc poślubna musiała mieć miejsce, o zgrozo, zanim ukończyła lat czternaście, bo mówiło się o poronieniu przed bliźniakami. Po ślubie jeszcze przez jakiś czas chodziła do gimnazjum, nie była przedstawicielką nizin społecznych, raczej średnia kresowo-miasteczkowa. Rodzinni kronikarze używający tych wszystkich spieszceń i pełnych szacunku formuł, „kochana mamcia”, „szanowany tatko”, nie zawsze unikają notowania dat, które wpędzają w konfuzję babcie oglądające z ciotecznymi wnukami stare albumy. Cmentarze pełne są małych mogiłek pierwszych dzieci, rodzonych przez matki-dzieci. Pilnowali, co robimy z rówieśnikami, ostrzegali przed zboczeńcem w parku i piwnicy, ale nie zwracali uwagi na czułości wujków i przyjaciół domu – ci mieli w razie czego zdolność honorową do zawarcia związku lub opłacenia skrobanki. Bardziej niebezpieczni byli niedojrzali, utrzymywani przez rodziców chłopcy, skrobiący pierwszy zarost tatowymi żyłkami Polsilver.

Zanim skończyłam czternaście lat, to coś we mnie poruszało się chaotycznie. Pierwsze miłości, przytulania, słodkości, gorzkości. W okolicach czternastych urodzin poczułam niekontrolowane przyspieszenie i precyzyjnie wykonałam plan. Byłam swoim własnym narzędziem, skalibrowanym przez coś, co potocznie nazywa się burzą hormonów. Kiedy skończyłam czternaście lat, zaczęłam polowanie.

Miałam za sobą trening: dziesiątki godzin zabawy w dom, kładzenia się na koleżankach, odgrywania roli męża wracającego z wojny, żądania wódki i seksu głosem Brunnera ze *Stawki większej niż życie*. Bycia Jankiem Kosem odrzucającym pilotkę przed pocałowaniem Marusi, która też nieźle już wiedziała, w co gramy, chociaż potem zapomniała; na pewno nie opowiada o tym mężowi w sypialni z przeceny w Black Red

White, chyba że się mocno upije winem z Biedronki i coś tam, dla pieprzyku, napomknie o dziewczęcych zabawach. Dziewczynki mają organiczne błogosławieństwo niepamięci w tej sprawie i tylko lepiej pilnują córek. Jedynie niektóre noszą w sobie małe albumy pełne pączkujących piersi, maleńkich łechtaczek, kłujących wzgórków łonowych, wycinków aksamitnej skóry o wszystkich odcieniach różowego, białego i szarawego, wzornik kolorów włosów poświadczający nasze pochodzenie zewsząd, z najdalszych zakątków świata. Czasem widzę tę pamięć w oczach kobiet, które taksują mnie wzrokiem, poprawiając usta przed lustrem w hipermarketowym WC. Nie mam innych okazji do anonimowych spotkań, a moje kobiety nie udają amnezji.

Było jednak jasne, że trzeba mieć nie dziewczynkę, mężczyznę. Dorosłość oznaczała jedno; robiłyśmy próby generalne od momentu, gdy rodzice zaczęli zostawiać nas same w domu, z dostępem do szaf wypełnionych ubraniami. Zabawy w dom z udziałem mam i babć czy pod ich opieką były, owszem, jakimś preludium. Nalewanie do małych filiżanek herbatki z soczkiem. Usadzanie lalek przy stoliku dla lalek. Kokardy we włosach. Prawdziwa zabawa zaczynała się jednak bez dorosłych, w pokojach, które z nimi dzieliliśmy – rzadko kto miał osobny, dziecienny. Wkładanie sukienek matki, wypychanie staników deficytową watą, malowanie się perłową szminką Celia. Nie dla maskarady, ale żeby robić rzeczy wcześniej podsłuchane, podejrzone podejrzwane, nie wiadomo jakim zmysłem przeczute. Uściski rodziców na tapczanie pod białą pościelą w różowe kwiatki; sceny z filmów, w których bohaterka w czarnej halce naciąga pończochy, odwrócona tyłem do kamery; zabawy starszego rodzeństwa, z okazji urodzin fetowanych wystawnie kanapkami, tortem, polo cocktą i małymi porcjami domowego wina – może już nie w listonosza, jak w przedwojennej adaptacji *Dziewcząt z Nowolipek*, która leciała w kinie w niedzielne popołudnia, ale w butelkę; wielokrotnie powtarzana próba generalna utraty cnoty, odgrywana przy pomocy wkładanej płytko oprawki szminki, a czasem – igranie z ogniem! – tępego końca szydełka.

Podczas tych wszystkich zabaw lubiłam ubierać się w mały garnitur, nie wiadomo czyj, który wisiał za dużymi marynarkami ojca. Ktoś musiał grać rolę męską, a garnitur pasował jak ulał. „Co za śliczny chłopak!”, ucieszyła się matka, gdy któregoś razu niespodziewanie wróciła wcześniej. Nie ganili mnie, więc śmiało przymierzałam role. Nie przyszło mi jednak do głowy, żeby nie szukać mężczyzny dla siebie. Wokół było tylko to. Słodkie małe orgazmy od symulowania miłości na misiu lub małej koleżance nie mogły zasłonić faktu, że wokół było to i tylko to: starsi chłopcy całujący w bramach swoje wybranki, zaręczone od niedawna sąsiadki, ojcowie, bracia, konkubenci, dla których matki, siostry, konkubiny gotowały obiady i dbały o wygląd. Tylko to, tylko tak: potrzebny był dorosły mężczyzna. Zdobycie mężczyzny stanowiło cel, wprawki i ciąg

dalszy nie miały znaczenia. Nie planowałyśmy karier gospodyń domowych, chciałyśmy całego życia, z radosną kulminacją pod białą pościelą w różyczki.

Chciałam od razu dorosłego. Rówieśnicy, oprócz Alka, nie mieli mi nic do zaoferowania, nie mogłam sobie wyobrazić żadnego z nich leżącego na mnie w sposób, w jaki ja kładłam się na Bożence. Chłopcy z żalobą za paznokciami i małymi siusiakami, które oglądałyśmy z okna, kiedy chodzili za garaże sikać, nie nadawali się do dorosłości. Byli na etapie odrabiania lekcji, zabawy ołowianymi żołnierzami z plastiku, turniejów szmacianki, czytania wojennych komiksów. Żaden nie zapowiadał się na mężczyznę. Oprócz Alka. Tę sprawę pokpiłam. Z Alkiem miałabym tę przyszłość, o którą chodziło. Każdy powinien mieć jedną taką stratę, żeby o niej gadać.

Nauczyciel przyszedł do ogniska muzycznego na zastępstwo za nielubianą panią J., która wpajała nam bardziej zasady *savoir-vivre* niż „Podstawy harmonii” i traktowała nauczanie dzieci jako osobistą porażkę. Nie przywiązywał wielkiej wagi do nudnego przedmiotu, opowiadał za to dużo anegdot z życia kompozytorów i chętnie nam grał, siadając do pianina lub prosząc któreś z nas o instrument, bo radził sobie z grą na każdym. Jego chwytnie szczupłe palce przyciągały wzrok wszystkich chłopców i dziewczyn w klasie. Wydawał nam się oczywiście bardzo dorosły, bardzo mądry, dojrzały. W rzeczywistości taki nie był, miał około dwudziestu pięciu lat, wiek u wielu mężczyzn niemal młodzieżowy. Brakowało mu doświadczenia pedagogicznego i życiowego. Przerwał naukę w konserwatorium z powodu choroby w rodzinie, ale nigdy mi nie powiedział, jaka to dokładnie była choroba i czyja; może był to wygodny pretekst, może z czymś sobie w tym poznańskim konserwatorium nie dawał rady, więc na krótko zjechał do rodzinnego miasta i wziął zastępstwo, wiedząc z góry, że to na jakiś czas. „Jakiś czas” mógł zamienić się w „na zawsze”, utknąć w naszym mieście było łatwo.

Wyglądał jak zachodniopomorski Alain Delon. Ubierał się niestarannie, co akurat nie wyróżniało go spośród innych nauczycieli, którzy rzadko nosili garnitury, a jeśli już, to powycierane na kolanach i łokciach, częściej hołdowali stylowi *casual* tamtych czasów: garniturowe spodnie podtrzymywane paskiem ze źle wyprawionej skóry, wygładzonej własnym niemałym brzuszkiem, koszula w kratę z kołnierzykiem wyłożonym na blezer, kamizelkę lub wełniany sweter. On ubierał się w dzinsy, niespotykane u nauczycieli muzyki, i golfy albo czarne koszule z rozpiętymi trzema górnymi guzikami. Nie miał brzucha, nie strzygł się krótko. Nosił torbę myśliwską, w której nuty trochę się gniotły, więc trzymał je w teczce z zielonego plastiku. Wyjmował tę teczkę zaraz po wejściu do klasy, gdzie pojawiał się prosto z ulicy, ominąwszy pokój nauczycielski. Panie za bardzo go emablowały, panowie próbowali przywoływać do porządku, zaczynając każde zdanie od „panie kolego”. Artystyczny charakter szkoły nie łagodził sztywności zasad. Status szkoły,

nadobowiązkowej i gorszego sortu, raczej podbijał kadrze pedagogicznej bębenka: pozowali na socjalistyczną bohemę. Alain Delon wolał nas, niewielką klasę wlepiającą w niego oczy, od pokoju nauczycielskiego. Siadał na brzegu biurka i wyczytywał nasze nazwiska z kpiną w głosie, jakby chciał przy każdym dodać: wątpliwy talencik piłowany przez ambitną mamcię.

Tak było, byliśmy tępawi, najlepiej naciągnięte włosie w smyczkach szorowało o gryfy naszych skrzypiec i wiolonczel, nie nadążaliśmy za pasażami na fortepianie, metronom wyprzedzał najszybszych z nas, w chórze zawsze ktoś fałszował, mieliśmy wieczną mutację i chrypę, bez względu na płeć – dlatego męczyliśmy instrumenty systemem wieczorowym. Najmocniej piłowani wydostawali się z tej poczekalni przy pomocy rodziców i zaczęli naukę w prawdziwej, dziennej szkole muzycznej. Mnie to nie dotyczyło, nie miałam ochoty. Przychodziłam tam, żeby wyjść z domu, muzyka nie była moją pasją.

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami, jakby powieki mi się zepsuły. Wypróbowana przed lustrem mina. Moja mizerna twarz okolona postrzępionymi szarawymi włosami mogła liczyć na przychylność tylko dzięki oczom. Były duże, nieokreślonego koloru; nie wiedziałam wówczas, że zdradzają pochodzenie moich przodków i że kobiety na stepach tak właśnie robiły: hipnotyzowały spojrzeniem, które obiecywało, że śmiało zmierzą się z każdym niebezpieczeństwem. Wabiły zwierzęta i samców. I wiedziały, kiedy spuszczać oczy. Podniesione po pauzie, otwierały się szerzej. Trick fotografów sprzed epoki Photoshopa. Tak robiłam, patrzyłam na niego bezwstydnie, a potem udając zmieszanie, spoglądałam na swoje dłonie, pod ławkę, na partyturę, którą mieliśmy odczytać – dobre sobie, kto dawał radę tej gęstwinie znaczków na pięciolinii? A później nagle podnosiłam na niego wzrok, pewna, że mam spojrzenie co najmniej Ingrid Bergman.

Poza tym ociągałam się z wyjściem z klasy. Wszyscy się ociągali, mieli ochotę podpytać o to i owo, zasięgnąć rady przed przesłuchaniem, bo część z nas zamierzała zdawać do prawdziwych szkół muzycznych właśnie w tym sezonie. Lubili go, skracał dystans, proponował przejście na ty. Skorzystałam z tego skwapliwie. Kombinowałam, jak by pójść z nim po lekcji w tę samą stronę, wiedząc, że nam nie po drodze, od razu po wyjściu z budynku powinnam skrócić w lewo. Wymyślałam różne sprawunki do załatwienia na jego trasie. Raz śmietana, raz masło w sklepie za rogiem. Wiedziałam, że mieszka w kamienicy w dość niebezpiecznej części miasta, na Niebuszewie, w małym mieszkaniu dziadków, którzy przenieśli się do willi jego rodziców w reprezentacyjnej dzielnicy Pogodno. Pomieszkiwał tam, przyzwyczajony już do samodzielnego życia, ale zachował też pokój przy rodzinie. Opowiedział nam o tym w klasie, kiedy ktoś skarżył się, że ćwiczenie gry na wiolonczeli denerwuje domowników.

– Tak, trzeba mieć warunki – powiedział i mrugnął do wiolonczelisty.

Uznałam, że mówi do mnie i nie ma na myśli ćwiczeń na instrumencie strunowym. No, najwyżej o tyle, że byłam jak napięta struna, jak cała wiązka strun.

Często słyszałam, że wyglądam na starszą, niż jestem. Nieprawda, byłam niezgrabnym patyczakiem, wcale nie tak brzydkim, jak sądziłam, ale zatrzymanym między chłopczością a dziewczęcością, tak jak i dzisiaj, w epoce menopauzy. Nosłam biustonosz numer zero w fioletowe kwiatki, kupiony litościwie przez matkę w pasmanterii niedaleko jej biura. Przychodziłam po nią do pracy i jęczałam, że odstaję od innych dziewczynek, demonstrujących na wuefie enerdowską bieliznę. Kupiła mi tę parodię biustonosza na parodię piersi i pocieszała, że jej samej urosły dopiero po dziecku, czyli po mnie.

Wiedziałam, że kłamie, na ślubnych fotografiach utrwalono jej dekolt Sophii Loren, a nie była wówczas nawet w ciąży i nie miała skończonych dwudziestu lat. Mówiłam językiem dorosłych, miałam podkreślony iloraz inteligencji. Przeczytane na trzy lata w przód lektury szkolne, obejrzone wszystkie dostępne w kinach filmy. W wieku trzynastu lat znałam smak fajek, wina, nawet wódki, podkradanej rodzicom z barku i spijanej z kieliszków imieninowych gości, nosiłam spodnie, pisałam najładniejsze wypracowania w szkole, zaniedbywałam grę na pianinie, jeździłam przez całą Polskę na wakacje do dziadków, a nawet próbowałam autostopu. Ale nie wyglądałam na „małą kobietkę”, na pewno nie. Nie można mnie było wziąć za dorosłą. Nie miałam też uroku lolitki, nastroszona z niewiadomego powodu, zła jak piesek za szybko odstawiony od suki.

Podrzucałam mu kartki z papeterii w serduszka, upstrzone wierszami. Zanim uległ, przesyłki były anonimowe, potem zostawiałam mu je na skraju łóżka. Przyjmowane z chępliwym zażenowaniem, trafiały na półkę między książki. Mam nadzieję, że je zniszczył. Jeden wiersz pamiętam.

Siedzę na progu twojego domu

Żeby ci się oddać

Jeszcze przez chwilę dziewica

Gotowa darować krew

A potem będę jeść z tobą

Z jednego talerza

Osuszać cię swoimi włosami

Ubrana w fartuch

Uszyty z sukienki

Twojej matki

Była to dość fantazyjna zapowiedź, zważywszy na długość moich włosów i niechęć jego matki do dzielenia się czymkolwiek z innymi kobietami. Owszem, jadaliśmy z jednego talerza, w tym punkcie przeczułam przyszłość. Lubiłam mu wyjadać makaron prosto z ust i oblizywać jego podbródek brudnym od sosu językiem.

Prawdę mówiąc, od początku był bez szans. Kiedy coś postanowiłam, musiałam osiągnąć cel. Ten był na wyciągnięcie ręki, pozbawiony możliwości ucieczki. Młody mężczyzna z dobrego domu, wiedział, że nie wolno, a jednak pomalutku ulegał; odwracał się lekko zaczerwieniony do tablicy, kiedy dłużej patrzyłam na niego otwartymi do bólu oczami, drapiąc się w szyję albo zakładając kciuk za dekolt bluzki. Jeszcze dowcipkował, ale szala przeginała się ku biegunowi powagi.

Poprosiłam go o rozmowę. Stary numer, branie nauczycieli na „kłopoty domowe”. Potem się coś zmyślało, prawda przerosłaby wytrzymałość absolwentów powojennych studiów pedagogicznych z rozszerzonym wykładem z psychologii dziecięcej. Nikt nie chciał poznać naszych historii o sikających w spodnie pijanych ojcach, matkach zaoranych pracą zarobkową i domową, też nierzadko pijących, o molestujących wujkach, braciach pasożytach, dziadkach pierdzących we wspólne tapczany. Mówiło się coś o „chorobie mamusi i żeby pani profesor usprawiedliwiła, bo w dodatku mam okres”. Ja nie miałam żadnej historii, dobrej lub takiej sobie, miałam za to fantazję. Opowiedziałam mu, z trudem wykrztuszając słowa i skubiąc skórki kciuków, o strasznej chorobie, na którą cierpię od dawna, bez nadziei na wyzdrowienie i długie życie, co stawia pod znakiem zapytania sens pobierania lekcji, zwłaszcza w tak wolnym tempie, jakie oferuje ognisko. Pytałam go, co by zrobił, gdyby wiedział, że nie pożyje zbyt długo. Słowom towarzyszył szantaż spojrzenia wycelowanego prosto w oczy. Przerwa dobiegała końca. Dobre pytanie, ale przestrelone, skąd miałam wiedzieć, że w wieku dwudziestu pięciu lat na pewno jeszcze go sobie nie zadawał? Wyczułam za to bezbłędnie, choć pomyliłam się w sprawie jego dojrzałości do rozstrzygania zagadnień eschatologicznych, że nie wie, jak notorycznie dzieciaki kłamią.

A może nie uwierzył, może udawał. W sytuacjach wyższej konieczności wielu mężczyzn brałam „na chorobę”. Nie wiem, co kobietom podpowiada tę strategię, co skłania je do udawania słabości, demonstrowania cierpienia. Czy mamy w genach coś, co każe nam pokazywać pokryte bliznami brzuchy i czekać na pana doktora, albo robimy tak, bezwiednie biorąc przykład z innych samic? Z drugiej strony mężczyźni stosują strategię „na nieszczęśliwego”, niezrozumianego, niekochanego i osłabionego antybiotykami. Jakbyśmy wszyscy byli sierotami: zamiast chwalić się siłą, używamy słabości.

Tak czy siak nie mógł nie zająć się płaczącą dziewczynką, która zapowiadała rychłe odejście z tego świata i właściwie prosiła go o pomoc w tym odejściu, w przygotowaniu do

odejścia, melodramatycznie dając do zrozumienia, że tu nie będzie czasu na poznanie odpowiedniego chłopca i dorośnięcie z nim, że tu już tylko walc wiedeński, nenufary i pamięć, którą ktoś dostanie, gdy ja, gdy mnie, gdy swoją ucztę rozpoczną robaki. Chętnie zostawię ci zdjęcie trumienne z autografem... Nie, takie zdanie chyba nie padło, co najwyżej przed snem, z ręką między nogami wyświetlałam sobie na prześcieradle podobne frazy.

Czy dwudziestopięcioletni mężczyzna może nie chcieć? Jeszcze się słabo bronił przed wzięciem mnie do domu – celowo nie nazywam tego „zaproszeniem”, czternastolatek się nie zaprasza, czternastolatkę można zabrać, jak pieska, kotka, pluszowego misia, zakupy. Po lekcjach nerwowo pakował torbę, ale go przypadkiem doganiałam za szkołą, na rogu. Zbyt dobrze wychowany, nie mógł nie zapytać „Co tam?”, a ja już miałam wyczytane z *Encyklopedii zdrowia* opisy symptomów syfilisu, gruźlicy i ziarniniaka, które złożyłam w oszałamiającą jednostkę chorobową. Nieznana, całkiem nową, przykuwającą uwagę. Po tych rozmowach robił się weselszy, jakbym mu oznajmiła, że trafił szóstkę w totka, a nie, że niedługo umrę, jeśli nie wynajdzie lekarstwa.

Po uroczystym zakończeniu roku (odpiszczyliśmy w małym składzie *I Koncert fortepianowy* Czajkowskiego, nie wiem, jakim cudem nie zabiliśmy przy tym smyczkami naszych nauczycieli) zaprosił naszą klasę do siebie, na wspólne muzykowanie w lżejszym repertuarze. Przynieśliśmy wino. Oburzył się niby, ale rozlał wszystkim, pytając: „A mama pozwala?”, i apelując: „Nie mówcie nikomu, bardzo was proszę”. Miałam trening w picciu, dobrze wiedziałam, że inni zaraz będą rzygać i pójdą posiedzieć na ławce w parku, żeby ochłonąć, a ja będą królowała na scenie niedozwolonego.

Wyłazili wolniej, niż chciałam. Ostatniej, starszej ode mnie o dwa lata Lilce, musiałam dać do zrozumienia, że profesor i ja mamy sprawę do omówienia. Wychodziła nadąsana, niepokieszona; też znalazłaby sprawy, o których można by porozmawiać.

Tamtego razu tylko mnie całował, leżąc obok na tapczanie, uważając, żeby nie dotykać niczego poza twarzą, pokrytą rumieńcem i czułą na muśnięcia palców przyzwyczajonych do uderzania w klawiaturę i szarpania strun. Ale całował, spieczonymi, miękkimi dorosłymi wargami z szorstkim podtekstem, smakującymi niepokojem – upragnioną przyprawą życia. Owszem, mógł się jeszcze wycofać, ale i nie mógł. Umówiliśmy się w parku na następny dzień. „Kiedy będziesz trzeźwa”, zażartował, zamykając za nami drzwi; odprowadził mnie na tramwaj. Jak spędził resztę dnia, o czym myślał? Tego nie wiem. Ja poszłam z babcią na zakupy.

Następnego dnia mieliśmy randkę. Maskowałam swoją dziecięcość każdym słowem. Nie udało mi się nie wyglądać na dziecko, mimo pożyczonej bez wiedzy matki bluzki boucle i niebieskiego cienia na powiekach, ale za to rozmawialiśmy jak równa z równym.

Najwidoczniej czternastoletnia dziewczynka i dwudziestopięcioletek są w tym samym wieku. Potem wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniami. Każdy kwadrans intensyfikował próbę, wprowadzał nowy podkład angażujący solistów.

Zdradziłam Alka, zraniłam Alka. W tym samym momencie, kiedy członek nauczyciela muzyki po wstępnym kiksie spróbował flażoletu i przeszedł w spiccato, wydobywając pisk z mojej błony dziewiczej, Alek zaciął się starą żyłką ojca. Leżałam na prześcieradle, które wyglądało jak kuchenna ścierka używana przez moją babcię do przytrzymywania zarzynanych kurczaków, a nauczycielowi przyszło do głowy, żeby mówić do mnie „kurczaczku”, jakby oczyma duszy zobaczył ją z drżącym drobiowym truchłem w ręku. Zostałam zarżnięta, owszem. Straciłam Alka, białą suknię, tapczan kupiony w sklepie meblowym Platan, awantury i rozwód, zapach gotowanych ziemniaków w południe i śmiech w środku nocy, nie zyskałam nauczyciela muzyki. W rzeczywistości strata była dużo poważniejsza, choć jeszcze nie zdawałam sobie z niej sprawy. Były i zyski, wówczas i teraz nieoznaczone. Zerknęłam na skrwawione podbrzusze nauczyciela. Tak, musiałam być na coś chora, skoro tak go załatwiłam. Byłam z siebie dumna, wzorem poprzedniczek przekonana o wartości daru ofiarowanego mężczyźnie.

– Jak się czujesz, kurczaczku? – zapytał już bez wdzięku Alaina Delona, raczej jak drużynowy odwiedzający namiot izolatkę.

Czego się spodziewał? Co mogłam mu powiedzieć? Że trąby nie zagrały? Że nawet sonatiny wydawałyby mi się przy tym wszystkim anielskim śpiewem, symfonią patetyczną?

– Gdzieś – powiedziałam – podobno są blisko wynalezienia lekarstwa na moją śmiertelną chorobę, może o tym słyszałeś?

Miał głupią minę. Wyglądało na to, że od jednego razu zostałam uzdrowiona. Czyżby miał tam moc?

Popołudnia sawantek

Mogłam przyprowadzać gości do domu. U innych dzieci obowiązywały zakazy i ograniczenia. Niektórzy rodzice nie wpuszczali za próg albo nawet nie zostawiali uchylonych drzwi, wywołując koleżankę z zeszytem z głębi mieszkania. Uczyliśmy się lekceważenia, pogardy, prawdziwie złego traktowania. Naburmuszone matki nie odpowiadały na nasze „Dzień dobry”, ojcowie pytali „Czego?”. Może i lepiej, że nie wpuszczali na pokryte folią dywany, zostać w pokoju z takim ojcem, wujkiem, bratem rozebranych do szarobrudnej bielizny byłoby nieprzyjemnie, w czasie przekazywania zeszytu matka na pewno stałaby w drzwiach, patrząc, czy się czegoś nie dotyka, nie kradnie, czy nie pokazuje się majtek staremu lub synowi. Ale były też inne domy, gdzie traktowano dzieci wyrozumiale, zwłaszcza te czyste, które dobrze się uczyły. U mnie wolno było wszystko.

Wybierałam dziewczynki na jeden semestr. Rzadko przeciągało się dłużej, taka dłuższa zażyłość byłaby niebezpieczna, ale z faworytkami pozostawałam w miłosiernej przyjaźni. Wszystko to zresztą najintensywniej przed nauczycielem muzyki, który został moim tajnym i absorbującym kochankiem, przerażonym nieco moją fantazją i nienasyceniem. Zabrał mi podręcznik van de Veldego, chociaż najpierw sam wyciągnął go z pierwszego rzędu książek w biblioteczce dziadków. Kto uczył się zabaw małżeńskich z tego podręcznika? On, jego dziadek? Podał mi ten podręcznik i powiedział:

– Spójrz na stronę sześćdziesiątą dziewiątą. – Ale ponieważ zaczęłam od spisu treści, zmienił zdanie. – No, może nie, następnym razem.

Widziałam, jak mnie bacznie obserwuje, kiedy próbowałam nowej pozycji, najwyraźniej znanej mu tylko teoretycznie.

Przez wakacje i kolejne lata jeździłam do niego tramwajem. W ostatnim roku podstawówki Alek patrzył za mną, kiedy odchodziłam w stronę przystanku, i nie umiał zaproponować żadnej alternatywy. Odrabianie matmy? Lody w pobliskiej lodziarni zwanej słodką dziurką? Nauczyciel czekał w szlafroku, co nadawało naszym spotkaniom ściśle określony charakter. Nie rozmawialiśmy o kompozytorach, planach na przyszłość i mojej chorobie. Parzył herbatę i pytał prosząco: „Położysz się?”, a kiedy rozbierałam się

i wchodziłam pod cienkawy kocyk, zostawiał mnie na chwilę, jakby potrzebował zimnego prysznic, zanim dołączy. Miałam tylko jeden problem: nie chciałam zdejmować biustonosza, wolałam, żeby nie dotykał moich piersi rozmiaru zero, co jakoś wyczuł i zaakceptował; zostawiając klatkę piersiową na jakieś inne czasy, kiedy sama zdecyduję, że już można. Przygarniał mnie, przyznać trzeba, z dużą czułością, zanim uderzało mu do głowy i schodził niżej. Wariował od mojego zapachu, co w pełni rozumiałam, oblizując własne palce. Tak, byłam bardzo smaczna.

Smakowałam też dziewczynkom, zapraszany w te licealne lata rzadziej, w ramach interludium. Musiały czekać na miejsce w grafiku. W apogeum epoki nauczyciela muzyki zawiesiłam zapraszanie koleżanek, żeby po pierwszym szoku monoprzywiązania uderzyć mocniej. Przedtem były *tête-à-tête* po ostatniej lekcji, po pożegnaniu z Alkiem, który wiedział, że chłopakowi nie wypada spędzać wczesnego popołudnia z koleżanką w pustym mieszkaniu. Nawet kiedy mieliśmy wyjść razem, chłopcy wysyłali po dziewczynki inne dziewczynki. Osobiste użycie dzwonka i czekanie pod drzwiami wyglądałoby na chodzenie lub nawet coś więcej.

Tornistry, w starszych klasach teczki na ramię, kładłyśmy w pierwszym pokoju, za kanapotapczanem, żeby nie od razu na nie patrzeć. Wiadomo, lekcje się zrobi szybko, pomogę, jeśli trzeba napiszę podwójnie, ale najpierw mieszkanie było nasze. Zabierałyśmy z kuchni kanapki z żółtym serem i pomidorami, poza sezonem zostawał żółty ser i jakieś kiszonki ze słoika, szklanki z herbatą, wodę z sokiem porzeczkowym; przemykałyśmy szybko obok kuchni sąsiadów, żeby nas czasem nie zaczęli wypytywać, albo, nie daj Boże, angażować do jakiegoś wypiekania ciastek, wałkowania makaronu, pilnowania dziecka. Mamy, proszę pani sąsiadki, lekcje.

W łazience przebierałyśmy się w szlafroki mojej matki, w jej frymuśne wzorzyste podomki i płaszcze kąpielowe, pikowane i miękkie lub gładkie i chłodne. Kupowane spod lady, przywożone z delegacji przez ojca, szyte, przerabiane, przesywane – miała ich całą kolekcję. Uwielbiała przebierać się od razu po przyjściu do domu i leżeć potem w fotelu z kubkiem czegoś, co nie mogło być czystą herbatą, bo ją rozbierało; gadała potem po rosyjsku, śpiewała do puszcanych za głośno płyt, kręciła kółka zawieszonym na czubkach palców kapciem ze sklepu Orient i paliła płaskie damskie papierosy. Potrzebowała publiczności i odprowadzania na legowisko po występie, przykrywania, przynoszenia szklanki z wodą, głaskania i przekonywania, żeby już nie wychodziła po dolewkę i spróbowała zasnąć.

Miałyśmy czas do jej powrotu, do zmieniania płyt, donoszenia herbaty czy czesania jej marnych, ale ładnych farbowanych na kasztan włosów. Podkradałyśmy papierosy, jeśli gdzieś leżała paczka, albo wybierałyśmy dłuższe pety z popielniczki. Zjadałyśmy po

czekoladce z pudełka w barku, zapijając łykiem koniaku czy wermutu. Tak, na pewno już od czwartej klasy. Potem w tych szlafrokach, które sięgały nam do kostek, zasiadałyśmy przed poniemiecką toaletką z trzyskrzydłowym lustrem i zaczynałyśmy bredzić.

– Czy pani kochana wybiera się dzisiaj na spotkanie? Jaką ułożymy fryzurkę? – pytałam Bożenkę, Kasię, Jagódkę.

Wszystkie po kolei uczyły się tej mojej zabawy w gotowalnię pani domu i każda wiedziała, że to wygłupy. Czekały na nas lekcje, wertowanie prasy kobiecej, przeglądanie biblioteczki od A do Z i wybieranie książek do czytania. Seansik przed lustrem trwał mniej więcej tyle, ile działał łyk alkoholu pomieszanego z cukrem. Głośne wybuchy śmiechu, robienie makijażu, przyjemność, jaką sprawiało mi czesanie długich włosów Bożenki, Kasi, Jagódki. Szybko okazywało się, że w tej zabawie jestem chłopcem od fryzjera, chociaż czasem próbowały mi wpiąć we włosy wsuwkę babci, zatknąć w grzywce kościany grzebień. Ale nie, lepiej jednak nadawałam się na fryzjerczyka, oprószającego na koniec szyjkę i piersiątką łaskawej pani pudrem, którego matka na szczęście nie używała, trzymała go chyba tylko ze względu na ozdobne pudełko. Gdyby było inaczej, zauważyłaby, że pudru ubywa. Perfum nie wylewałyśmy, wystarczało nam wachanie. Do flaszek z barku dodawałyśmy troszeczkę przegotowanej wody. Jako dobre uczennice wiedziałyśmy, ile można do jakiego alkoholu. Małe harce, małe kradzieże.

Po seansie zabierałam je do łazienki, żeby zmyć makijaż. Zamykałam drzwi na zasuwkę, ortograficzny wyjątek, wiedziałam, że niedobrze byłoby dać się przyłapać na przyjaciółce. Z niektórymi, oszołomionymi lub wprowadzonymi „w kurs dzieła” (jak mawiano w domu), kładłam się na kamiennej podłodze wyścielonej podomkami, oswajając je potokiem wymowy i dalszym ciągiem inscenizacji, żeby myślały, że to cały czas zabawa, że nie robimy „tego”. Niektóre były religijne, nosiły medaliki z Matką Boską. Grzech, przed którym ostrzegano je na katechezie, wymagał specjalnej obróbki, wyniesienia zabawy na kolejny poziom, odgrywania „straszego mężczyzny”, przed którym uratuje je ten inny, dobry, bez mała Szewczyk Dratewka, w jakiego natychmiast się zmieniałam, za co dostawałam całusy i możliwość zsuwania im różowych modalowych majtek.

Potem myłyśmy ręce i szłyśmy do pierwszego pokoju, żeby zjeść do końca kanapki z pachnącym jak my żółtym serem, odrobić lekcje i porozmawiać o książkach.

W czasie nauczyciela muzyki znacznie rzadziej je zapraszałam; tęskniłam niekiedy za uczuciem, że między nogami wyrasta mi coś więcej niż tam jest, że należą do mnie, spłonione dziewczynki, niemogące zapanować nad oddechem.

Trójkąty nierównoboczne

Te związki – z nauczycielem i koleżankami – nie miały przyszłości, a nie wiedziałam, że nie muszą. Tamagotchi i ja nie rozmawialiśmy ze sobą, wykonywałam tyleż jego, ile przyjęty z zewnątrz plan. Potem przyszedł czas na układanie życia.

Z pierwszym, studenckim narzeczonym rozstałam się łzawo, ale o wiele mniej dramatycznie, niż można by się spodziewać. Zdradziłam go z kobietą, która po wszystkim i tak mnie nie zechciała, więc cofnęliśmy się, można powiedzieć, każde do punktu wyjścia, wracając do swoich rodzinnych miast z lekko zamazanymi kartotekami. Nie mógł mieć wielkich pretensji, ponieważ Hanka była naszą wspólną fantazją.

Pakt narzeczeński, prawie małżeński, zawarliśmy po pierwszym roku studiów, trochę ze względów praktycznych. Miałam za sobą liczne powierzchowne emocjonalnie i nie w pełni satysfakcjonujące erotycznie doświadczenia, nabyte po tym, jak nauczyciel muzyki porzucił mnie na parę dni przed moimi osiemnastymi urodzinami. Tak, prawie całe liceum upłynęło mi pod znakiem wizyt w jego mieszkaniu. Nie uczestniczyłam w życiu klasy, koleżanki zapraszałam wyłącznie w nielicznych lukach naszego kalendarza, kiedy on nie mógł wyrwać się ze szkoły w porze mojej ostatniej lekcji, którą bez skrępowań opuszczałam, podrabiając podpis matki na usprawiedliwieniach. Dziewczyny w liceum były zresztą trudniejsze, bardziej broniły się przed dotykiem niż te z podstawówki. Potrzebowały więcej udawania i trochę wódki.

Nauczyciel zaczął pracować w dziennej szkole muzycznej, zrobił zaocznie dyplom, a w ognisku zaczął prowadzić zespół wykonujący ówczesną muzykę nieklasyczną, czyli pop, rock i heavy metal; najchętniej składanki Abby, Czerwonych Gitar i Deep Purple. Bywałam jego Agnethą z Abby, zapuściłam włosy i śpiewałam o pół oktawy wyżej, niż leżało w mojej naturze. Ten zwrot ku muzyce pop był małym ustępstwem, mającym zachęcić do piłowania instrumentów dzieciaki, które nie załapały się na prawdziwą edukację muzyczną. Nauczyciel potrafił to zrobić, umiał skleić Mahlera z New Kids on the Block. Miał sporo zajęć, o większości nie wiedziałam zbyt wiele. Mało rozmawialiśmy o jego życiu poza pokojem w mieszkaniu dziadków, które tymczasem przeszło formalnie na jego własność. Domyślałam się, że chciał ode mnie odejść zaraz po pierwszym razie

i tylko odkłada ten krok. Dręczony wyrzutami sumienia, udawał mojego opiekuna. Przygnębiony skalą przeżywaną ze mną przyjemności, upijał się regularnie, szukając w alkoholu znieczulenia. Odgrywałam Agnetę, tańcząc w ciasnym pokoju jego dziadków, ubrana w białą bluzkę. Śmiał się, przekonany, że tańczę z radości.

Pokój, w którym trzy, cztery razy w tygodniu uprawialiśmy miłość, nie zmienił się od dnia, kiedy pierwszy raz położyłam się pod spranym cienkim kocem pamiętającym chyba przedwojenne czasy. Wszystko w tym pomieszczeniu przypominało skamielinę, było scenografią, do której nauczyciel dołożył tylko swoje najbardziej potrzebne rzeczy. Pościel pamiętała czasy wyprawki ślubnej jego rodziców. W szafach wisiały obce staroświeckie ubrania, męskie i damskie, w dobrym gatunku, na półkach stały serie książek wydanych tuż po wojnie, głównie polska i rosyjska klasyka oraz trochę autorów, którzy byli popularni, zanim się urodziłam: Strykowski, Konwicki, Andrzejewski, Putramenta, Iwaszkiewicza. Dużo słowników, dwunastotomowa encyklopedia polska i czterotomowa niemiecka. Przedwojenne książki niemieckie, część z tytułami pisanymi gotykiem. Wśród nich filozofowie o złowieszczym brzmiącym nazwiskach: Weininger, Nietzsche, Schopenhauer. Do babci musiały należeć dzieła Virginii Woolf po angielsku i kilka wydrukowanych na bardzo kiepskim, wchłaniającym kurz papierze książek Simone de Beauvoir. Przeczytałam je w kolejności odwrotnej do tej, w jakiej powstawały: *Wiek umiaru* przed *Drugą płcią* i *Kobietę zawiedzioną* przed korespondencją z Sartre'em. Czytałam, leżąc nago na wspomnianym już cienkim kocyku, bo w mieszkaniu było zwykle za gorąco. Stare kaloryfery przekazywały ciepło z ponemieckiej kotłowni w piwnicy w sposób niekontrolowany.

Jak u mnie w domu – kaloryfery na nóżkach, książki w bibliotece na wysoki połysk. Sporo zbieżności, jeśli chodzi o księgozbiór, oprócz pozycji przedwojennych i momentu, od którego kupowano nowości. U nauczyciela nie było też na przykład takich ciekawostek jak proza Anny Seghers w płóciennym oprawie, opatrzona dedykacją dla mojej matki, nie od autorki, lecz od pierwszego sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej. Nieważne, kto napisał, ważne, kto dawał. Dziadkowie nie mieli też dzieł wszystkich Aleksandra Tołstoja ani *Cichego Donu* Szołochowa, który moja matka czytywała w dniach nazywanych przez nią nostalgicznymi. Ze słowników mieliśmy tylko dwutomowy polsko-łaciński i łacińsko-polski z czasów szkolnych mamy, dopiero później kupiłam sobie polsko-niemiecki i angielsko-polski (w drugą stronę nie dostałam, ale byłam zapisana na kolejną dostawę w zaprzyjaźnionej księgarni). Zebraliśmy za to dużo książek medycznych, które dostarczyły mi odpowiedzi na pytanie, czy fellatio po, orgazm łechtaczkowy zamiast oraz pięć razy w tygodniu stanowią normę.

Pytanie o normalność prowokowało nauczyciela do długich tyrad, więc mu je

zadawałam, bo lubiłam, kiedy mnie pouczał. Kiedy chciałam, żeby skończył wykład, mówiłam do niego „panie profesorze”. Najbardziej lubił ćwiczenia od tyłu, jak mówił, bo nie używał nigdy wulgarnych czy choćby pikantnych określeń. Stosował eufemizmy i terminologię fachową. Eufemizmy podniecały go jak innych pornografia. Zgodnie z doktryną lat osiemdziesiątych uważał, że w celach instruktazowych należy czasem obejrzeć świerszczyk, choć przed każdym zerknięciem na rozkładówkę magazynu dla panów wmawiał sobie, że ma do tego dystans. Z konsternacją odkrył, że lubię patrzeć na nagie kobiety. Tłumiłam oddech, leżąc na jego ramieniu, gdy przewracał kartki i tłumaczył *a vista* niemieckie podpisy w komiksach o pani czekającej na pana.

Przy łóżku, na pokracczym stoliku typowym dla małych mieszkań urządzanych w latach sześćdziesiątych, pojawiały się powieści Hemingwaya, Remarque’a, Londona, biografie kompozytorów i oczywiście partytury, które mój nauczyciel czytywał przed snem zamiast gazet. Widziałam tam też biografię Charliego Chaplina, napisaną przez córkę poczętą w jakimś niewiarygodnie starczym wieku, gdy aktor ożenił się z kolejną swoją kobietą-dzieckiem. Nauczyciel bardzo lubił Chaplina z okresu niemego. Część książek, w tym studenckie podręczniki, oraz niemieckie i szwedzkie gazety pornograficzne trzymał pod łóżkiem.

Świerszczyki oglądaliśmy zawsze po alkoholu. To wtedy nauczyłam się pić brandy, dostępne przeważnie tylko w Peweksie. Całe mieszkanie dziadków wydawało mi się magazynem trudno dostępnych dóbr. O ile pamiętam, przez te cztery lata, za każdym razem kiedy go odwiedzałam, sięgał do jakichś półek, szafek, na pawlacze i wyciągał stamtąd butelki, paczki herbaty i kawy, pachnące mydła, perfumy i zagraniczne gazety. Dziadek był emerytowanym Kimś. Nauczyciel mówił o nim z przekąsem, podobnie zresztą jak o rodzicach, których odwiedzał w każdą, świętą wobec tego, niedzielę. Dlatego nasz romans nie miał niedziel, nawet jeśli w ten dzień wypadały moje urodziny. W niedziele był Dzień Jego Matki, zupełnie dla mnie niedostępnej. Nie wolno mi było nawet o niej wspominać, wobec czego nie rozmawialiśmy także o mojej. Rodzinę musiałam zostawiać przed wejściem do łóżka, najlepiej w okolicach pierwszego piętra, na parapecie z kwiatkami, które sąsiadka wychodziła podlewać, jeśli zobaczyła mnie wcześniej zza firanki. Wyrzucałam z głowy dom (toczył się wesoło po schodach). Uważałam, żeby moich regularnych wizyt nie widziało zbyt wiele osób. Szybko się umówiliśmy, że w razie pytań mam mówić wścibskim sąsiadkom, że idę na lekcję. No, w pewnym sensie były to lekcje.

Poza tym, że dołożył do dziadkowych szaf swoje modne zagraniczne ubrania, których nie miał wiele, i postawił w łazience szklanę ze szczoteczką do zębów i złotą maszynką do golenia, nauczyciel zachowywał się jak w cudzym mieszkaniu wynajmowanym na schadzki. Nawet biurka nie używał; w szufladach – co stwierdziłam, grzebiąc w nich,

kiedy pewnego razu na godzinkę mnie zostawił – leżały papiery nieznanymi mi starszych państwa, świadectwa z bardzo odległymi datami, żółtawe dokumenty, sepiowe zdjęcia. Piliśmy z kryształowych szklanek, jedliśmy gotowane przez niego proste potrawy ze zdekompletowanej porcelany, która szczelnie wypełniała kuchenną szafę, podobną do naszej: model z otworem na małą lodówkę. Podczas jedzenia często siadałam mu na kolanach. Nauczyłam się też po jedzeniu i po seksie zapadać w małe drzemki, żeby nie musieć od razu wychodzić albo rozmawiać o muzyce, której *de facto* nigdy nie lubiłam, wiedząc, że muzykalność nie jest moją najmocniejszą stroną.

Na parę dni przed moimi urodzinami (szczęśliwie nie wypadły tym razem w niedzielę), powiedział, że mnie uwalnia, a poza tym wyjeżdża. Kolejność mogłam pomylić, być może najpierw powiedział, że wyjeżdża, a potem, że chce mnie uwolnić. Uwolnienie wydaje się czymś pozytywnym, podczas gdy wyjazd jest stratą dla tych, co zostają w domu, czyli dla mnie wówczas – prawie nigdzie. Tyle czasu spędzałam w pokoju po dziadkach, że nie miałam już innego domu niż łóżko nauczyciela. Do siebie, do dzielonego z babcią pokoju, wpadałam na krótko i od razu kładłam się z książką. Rano budziłam się w ostatniej chwili, wiecznie niedospana z powodu intensywnego trybu życia. On tymczasem postanowił przekwalifikować się z pianisty kameralisty i instruktora pop-rock-classic na trzeciego skrzypka zawodowej niemieckiej orkiestry w miasteczku pod granicą francuską. Myślałam, że skrzypce nie są jego ulubionym instrumentem. Kiedy mówił o swoich planach, patrzyłam przede wszystkim na jego kształtne szczupłe palce. Nie myślałam o grze na żadnym instrumencie. Tamagotchi kopnęło w przeczuciu odcięcia stałych dostaw seksu.

– Nie można kapryścić – skomentował moje zastrzeżenie w sprawie skrzypiec.

Istotnie, legalny kontrakt zagraniczny był w tamtych czasach czymś właściwie niedostępnym. Domyśliłam się, że zadziałał emerytowany Ktoś.

Miałam nadzieję, że za każdym razem, kiedy nauczyciel odwiedzi nasze miasto, będę wracać do jego łóżka. Po butelce wina byłam pewna, że po maturze pojedę do niego do Niemiec. Wszystkie moje plany, prośby, zaklęcia, szantaże, które zatruły mi osiemnaste urodziny i wiele następnych dni, odsuwał niedbałym gestem; przygarniał mnie, co prawda, jeszcze na ten jeden raz, ale nie zmieniał zdania. Nie miałam honoru, nie znałam umiaru, nie dbałam o swoją wartość. Mówiłam mu, że już nigdy nie poczuje tego, co dają moje wąskie usta. Mimo to nie zmienił decyzji.

Ożenił się tam z dziewczyną z orkiestry i odgrodził się ode mnie dodatkowo ojcostwem. Z przeprowadzonych po latach obliczeń wyszło mi, że poznał tę dziewczynę, zanim wyjechał, może razem studiowali, a dziecko musieli począć w któryś z tych ciepłych dni naszego ostatniego lata, kiedy rozbierałam się szybciej niż zwykle, żeby wziąć prysznic

i poczuć nasz pomieszany świeży pot, zanim słońce schowa się za drzewami sięgającymi południowo-wschodnich okien trzeciego piętra. Kilkakrotnie deklarował pilną potrzebę opuszczenia miasta, a potem spotykałam go przypadkiem na ulicy z elegancką młodą kobietą. Kiwał w moją stronę głową, to wystarczało. Znałam procedury: przy obcych udajemy nauczyciela i uczennicę. Od pewnego czasu te zabezpieczenia nie były, co prawda, potrzebne – weszłam w dopuszczalny wiek, nie łączyły nas żadne zależności, jedynie pokój w mieszkaniu po dziadkach i stojące w tym pokoju łóżko, a właściwie wąski rozkładany tapczan – ale w tej grze pozorów z czasem zaczęło chodzić raczej o dreszcz towarzyszący zakazanemu, który chcieliśmy podtrzymać. A może i o to, że nauczyciel nie chciał dojrzeć, pokazać się ze mną. Przez wiele lat po jego wyjeździe zadawałam sobie pytanie, co go skłoniło do wzięcia na siebie roli ojca. Wtedy, kiedy mówił „Uwalniam cię”, i wówczas, gdy z tamtą elegancką wiolonczelistką płodził swoje pierwsze dziecko. Bo po latach miałam się dowiedzieć z wywiadu, którego udzielił wcale nie jako muzyk, że został ostatecznie ojcem trojga.

Cudem przeżyłam czwartą klasę liceum. Dołączyłam do wszystkich możliwych grup towarzyskich i konfiguracji erotycznych, jakie istniały w naszej budzie z tradycjami. Sporo piłam; trunki były gorsze niż te emerytowanego Kogoś, więc bardziej kacogenne. Przerazałam rówieśników zachłannością. Zamiast studniówki (tę szkolną zbojkotowaliśmy; trwał stan wojenny) urządzaliśmy regularne pijatyki w swoich domach – z przygotowanym przez matki stołem z zakąskami, wychodzeniem do pokoju obok i zamykaniem się w łazience. Chłopakom, choć nadal byłam dla nich niezbyt atrakcyjna, imponowało, że się nie kryguję. W niekrygowaniu się byłam od nich, nie bójmy się tego sformułowania, dużo lepsza. Erotycznie ich przerazałam, bo manifestowałam po prostu wolę. Brałam ich, dając za dużo. Za szybko, za bardzo wprost, za mocno. Nie udało mi się nawet zapracować na złą opinię, wszystkie te występy miały miejsce na prywatkach, po skrajnie wyczerpującym spożyciu, często nie pamiętali zbyt wiele. Własną pamięć następnego dnia oddawałam Tamagotchi do czyszczenia. Działo na zasadzie odnowy duchowo-biologicznej, uwalniało od moralniaka.

Jeden z chłopaków, starszy od nas (pamiętam tylko nazwisko, którego z oczywistych względów nie wymienię), przyszedł do mnie w niedzielne popołudnie po szczególnie wariackiej imprezie. Przez moment myślałam, że mogłabym pobyć z nim na próbę. Pachniał jasnym blondynem, drażniąco, bez pożądania nie do zniesienia. Poza tym byłam przyzwyczajona do niedziel w pojedynkę. Zaczął przygotowywać się do matury z kimś ze swojej poprzedniej szkoły i chyba nie trafiliśmy więcej na siebie w prywatkowej ruletce.

Nie wiem, jak udało mi się zdać maturę. Bez nauczyciela muzyki nie miałam motywacji do czytania. Musiała wystarczyć wiedza z lekcji i pierwszych trzech lat przerabiania

materiału do klasówek. Polskiego nie musiałam się bać, o wiele gorzej było z matką. Bałam się geometrii, a liczyłam na rachunek prawdopodobieństwa. Kto by pomyślał, że przez lata będę pracować z liczbami, statystyką i komputerami.

W końcu zdałam bardzo dobrze i dobrze. Po ostatniej imprezce, już bez szybkiego seksu, pojechałam złożyć papiery na studia do nieodległego większego miasta. Miałam zamiar zacząć od nowa. Zakwalifikowałam się na obóz integracyjny. Przestałam farbować włosy na blond. Od mamy dostałam na drogę podomkę. Od taty tłustego zaskórniaka. Byłam świetną kochanką. Żywiłam chudawe Tamagotchi. Prawie się wyleczyłam z sentymentalnego podejścia do seksu.

Pierwszy narzeczony

Miał tę zaletę, że się mnie nie bał. Mieszkał w akademiku pod naszym czteroosobowym dziewczęńskim pokojem, w sześćoosobowym chłopackim chlewiku. Połączyła nas higiena. Byliśmy jedynakami i nie umieliśmy się przystosować nawet nie tyle do wieloosobowych izb, ile do panującego w nich bałaganu, spartańskich warunków w łazienkach i tego, że współlokatorzy korzystali z zostawionego choćby na chwilę garnka, noża, chleba. Oczywiście, po wieczornym grzańcu krytycyzm znacznie się nam obniżał. Problem polegał na tym, że większość potrzebowała popuszczenia cugli; chętnie zasiadali wokół gara z grzańcem, po czym jeszcze mniej zwracali uwagę na mycie naczyń i wycieranie podłogi po wyjściu spod prysznic.

Wszystko wokół wyglądało podobnie: szarawe, rozjaśniane swetrami dzierganymi z resztek podczas zajęć przysposobienia obronnego, góralskimi chustami noszonymi na kozuchy i opakowaniami po zagranicznych towarach, używanymi jako element wystroju wnętrz. Na tym szarym tle nasze akademikowe życie nie odbiegało od średniej krajowej. My, dzieci z gęsto zakwaterowanych śródmiejskich kamienic z łazienkami ogrzewanymi piecykiem węglowym, który karmiło się resztkami drewna, nie mieliśmy dużych wymagań. Mieszaliśmy się z dziećmi wsi dostarczającej smalec w słoikach i cieszyła nas studencka stołówka. Mimo wszystko każdy wypracował jakiś sposób na wydzielenie przestrzeni dla siebie. Mój (i jego) polegał na znalezieniu drugiego ciała, innego człowieka, i wyhodowaniu wspólnej flory bakteryjnej.

Poza tym połączyło nas coś, o czym nigdy nie rozmawialiśmy. Nie było parcia na obgadywanie tego typu spraw, nie istniała moda na terapię, monopol na wgląd w duszę miał Kościół. Spowiedź cywilna za bardzo kojarzyła się z obowiązkową samokrytyką na mityngu partyjnym. Siedzieć w domu, nie narzucać się nikomu – uczyły nas matki, same niezainteresowane życiem światowym. Kraj zajmował się czym innym (na uczelni trzymali nas, można powiedzieć, jak pod pokrywką radzieckiego szybkowaru), a my studiowaliśmy nowe kierunki w sztuce, próbowaliśmy rozluźnić sposób rozmawiania o literaturze, goniliśmy Zachód. Szło o wolność; psychoanaliza narodu była przed nami, prawdę mówiąc, wciąż jest przed nami.

Każde z nas miało swoje za uszami. A może nie za uszami, może w hipokampie, bo chodziło o związek przeszłości z terażniejszością. W terażniejszości byliśmy nieźli, ładowaliśmy w siebie setki informacji i gadaliśmy jak nakręcane zabawki z RFN-u, ale przeszłość, choć wisiała nad nami w postaci mitów i złudzeń, była zarazem zakłamana, zakryta, nieprzetworzona w nic poza milczeniem. Przez kolejne dekady tę niepamięć symbolizowało słowo „Katyń”, ale w naszym akademikowym życiu, tak jak przedtem w domowej codzienności, chodziło o drobniejsze i niezaplanowane zerwania ciągłości, zapomnienia, przeoczenia i przemilczenia. Krótko mówiąc, każde albo niemal każde z nas pochodziło z rodziny częściowo pogruchotanej czy to wojną, czy to czymś tkwiącym głębiej, kto wie jak głęboko. Moda na opowieści rodzinne, która miała zawładnąć księgarniami w późniejszych latach, opierała się na deficycie pamięci długotrwałej. Rzecz jednak w wędrówkach genów. My, dzieci milczących rodziców, dziedziczyliśmy pijaństwo, nieszczęście, biedę. Byłyśmy potomkiniami cichych bohaterek licznych porodów, nasi chłopcy potomkami obdarzonych ułańską fantazją hazardzistów. Przemoc, której doświadczali nasi przodkowie, wracała w nas.

W dodatku strumień mówienia o tradycji był zablokowany poczuciem niestosowności. Dopiero w latach dziewięćdziesiątych zaczęły się ukazywać powieści o przemocy w rodzinie. Nawet najodważniejsi autorzy nie próbowali jednak znaleźć przyczyny w naszej przeklętej polskości, w naszej peryferyjnej europejskości. To nastąpiło w kolejnej dekadzie, niemal pół wieku od czasów, które odtwarzam. Wtedy byliśmy wdzięczni za prozę życia, lecz dość szybko skarciliśmy jej autorów, narzekając na zbyt ciemne tony. Chcieliśmy się śmiać, zanim poznaliśmy prawdę, objaw typowy dla społeczeństw zablokowanych emocjonalnie. Obracanie w żart nieraz ratowało nam życie. Byliśmy wyczuleni na pomruki wielkiej historii i górowaliśmy moralnie nad innymi. Żeby pogłębić swoją przewagę, używaliśmy nazw miejsc, geografia i onomastyka były naszymi sprzymierzeńcami.

Krótko mówiąc, pierwszy lepszy mityng DDA na amerykańskiej prowincji zdiagnozowałby nas jako współzależnionych, zarazem butnych i zakompleksionych. Nieuważnych i obraźliwych. Nieempatycznych i megalomańskich. Wesołkowatych i przekraczających cudze granice. Nienawidzących i gotowych z każdym się bratać. Po dziadkach, po ojcach, babciach i matkach.

Pierwszy narzeczony wspominał coś o tych sprawach i był dla mnie lustrem. Siedzieliśmy nad garem grzańca, dolewając chętnym chochlą do porcelitowych kubków i analizując znaczenie drugiego obiegu i naszych sytuacji domowych. Wkrótce poszłam do kandydata na męża na wypieki domowe i poznałam jego zmęczonego alkoholizmem ojca inżyniera i cichą, zadbaną, lecz szarawą matkę. Później przedstawiłam mu swoją,

odstawioną z tej okazji w jaskrawe kolory, za pierwszym razem tylko lekko pijaną, oraz narzekającą na migrenę babcię i jak zwykle spóźnionego na kolację milczącego ojca. Skonfrontowaliśmy swoich bliskich na obiedzie zapoznawczym; pasowali do siebie, choć pozornie byli różni. Matka od razu zaczęła flirtować ze swoim przyszłym zięciem, a potem z moim teściem *in spe*. Piersi jej falowały, ładniejsza od mojej twarz nabrała blasku. Matka mojego narzeczonego zaopiekowała się talerzem mojego ojca. Piersi, najobfitsze w tym towarzystwie, kładła mu na talerzu obok kurczaka. Po godzinie, kiedy wszyscy się rozluźnili, choć w różnym stopniu, moja matka zainicjowała tańce. My także ruszyliśmy w tany, na wszelki wypadek wtulałam jego głowę w swoje ramiona, żeby nie patrzył na kankana mojej matki. Barszczyk wszystkim dobrze zrobił. Mężczyźni rozwiązali krawaty i po wstępnym obmacaniu swoich żon i życiorysów zawodowych przeszli do polityki. Prawie-mąż trzymał moją rękę na swoim udzie, blisko zajmującego sporo miejsca członka. Zapowiadało się sielankowo.

Byli trochę przeciwni tak wczesnemu małżeństwu, ale nie pytaliśmy ich o zdanie, ani nawet nie podawaliśmy konkretnego terminu. Kiedyś, w przyszłości, raczej nieodległej, więc sypianie razem zostało przypieczętowane, mieściło się nawet w powszechnie stosowanej wykładni katolickiej doktryny. Zamiar powzięliśmy zresztą nieoczekiwanie dla nas samych, któregoś wyrazistego od wielokrotnych orgazmów poranka. Ślub byłby gestem nonkonformizmu. Skoro wolno było sypiać nam z sobą w przeludnionych akademikach – nikt nie był w stanie pilnować jeszcze i tego – skoro socjalistyczna moralność oznaczała w istocie hipokryzję, zabawiliśmy się w planowanie ślubu. Rejestracji w urzędzie stanu cywilnego dokonalibyśmy bez oprawy, ze świadkami z roku, w skromnych ciuchach. Kartki na alkohol zrealizowalibyśmy dzięki składce w akademiku, sami nie mielibyśmy środków na hurtowy wykup. Zakłócilibyśmy kilka nocy całej dzielnicy. Rodziny przełknęłyby gorzką pigułkę naszej niezależności i uderzyły w tony patriotyczno-sentymentalne podczas wspólnego obiadu. Oczywiście, młodzi potrzebują miłości. Oczywiście, nie czas na wesela, gdy wszystko kartkowe i brak wolności. Matka przyjęłaby nas tym razem w podomce i mówiła zdrobniejszymi. Takie snuliśmy plany, taką mieliśmy wizję. Uznaliśmy, że właściwie już jesteśmy małżeństwem. Tamagotchi wyglądało na lekko odłączone. Chyba się nudziło.

Mój pierwszy narzeczony był dla odmiany chłopcem także metrykalnie, nie tylko emocjonalnie jak nauczyciel. Z tego, co wiem, nigdy nie dorósł. Został dyrektorem firmy handlującej komputerami i po krótkim załamaniu spowodowanym odejściem kochanki ze współnikiem ożenił się z poznaną w Londynie Chinką z Hongkongu. Jej nikt mu nie uwiódł. Wróc: ona nikogo nie uwiodła. Nie wiem, jakim cudem zrobił karierę; w czasach studenckich choć niezwykle bystry, gardził mamoną i wyznawał niemal komunistyczną

ekonomię elementarnych potrzeb, uważając ją za odmianę postsarmackiego etosu. Pokochałam go wtedy za te wszystkie zalety: zamiłowanie do czystości, omawianą pod kocem możliwość dostania pokoju dla małżeństw (czego namiastkę uzyskaliśmy, połączwszy współlokatorów w pary), anarchizm intelektualny, podobieństwa rodzinne, ale przede wszystkim z tego powodu – w towarzystwie mieszanym kobiety nie mówią takich rzeczy, ale muszę to przyznać – że miał dużego. Dlatego nie używam jego imienia – żeby nie peszyć Chinki.

Pomieszałam dwie kwestie, a właściwie przeprowadziłam fałszywą analogię: rozmiar członka wzięłam za cechę charakteru. Kiedy po raz pierwszy, chyba w jego pokoju, opuszczonym przez pozostałych z powodu imprezy w innej części korytarza, niezobowiązująco zdjął spodnie i bez ceregieli wszedł we mnie, pomyślałam: „Oho, będzie dobrze”, i miałam na myśli nie tylko to, że szczelnie mnie wypełnił, co było, przyznać trzeba, satysfakcjonujące.

Nauczyciel był pod tym względem przeciętny, o czym przekonałam się, zerując wśród maturzystów. Miał przy łóżku powieść Maria Puza *Ojciec chrzestny*. Wrażenie zrobił na mnie wątek doboru wielkości członka i waginy, późniejszej żałoby Lucy Mancini po Santino Corleone i operacji zwężenia pochwy, jednej z pierwszych szczegółowo opisanych w oficjalnej literaturze, która miała na celu dostarczenie przyjemności obu stronom, z tym że jakby większej nowemu, przeciętnych rozmiarów, wybrańcowi. Wielokrotnie czytałam sceny, gdy Santino robi kobietom w środku rozgotowany makaron, oraz opis operacji, podczas której Lucy jest zszywana na szerokość dwóch palców, i nie mogłam się zdecydować, co wolę. Gwałtowność penetracji czy precyzję chirurga. Intymność przypominającą moją relację z nauczycielem czy wystawienie na widok na stole operacyjnym. Naturalne pchnięcie czy ostre cięcie. Ból czy bezwolność i oddanie. Takie miałam wówczas tożsamościowe dylematy. Nauczyciel brał prysznic, oglądając niewątpliwie swoje walory w lustrze umieszczonym w podejrzanym miejscu. Czy to jego dziadek miał takie zwyczaje?

Wracając do studenckiego prawie-męża: sądziłam, że duży zapowiada siłę. Pragnęłam mieć przy sobie (a jeszcze bardziej – na sobie) kogoś, kogo mieć wolno, a kto mimo wszystko będzie nade mną górował. Może liczyłam na makaron? W akademiku umiejętność gotowania dodawała uroku.

Pierwszy narzeczony dominował, w łóżku zaczynał od pozycji misjonarskiej, ale szybko zaraziłam go duchem przygody dzięki natężeniu swojej woli. Poprowadziłam po sznurku swego niemałego doświadczenia, udając, że idę za nim. W życiu nie zdążyliśmy się sprawdzić. Po roku nastawionego na obopólną eksploatację erotyczną związku wynajęliśmy, co prawda, dzięki pracy w Bratniaku mieszkanie na strychu starej

kamienicy, ale nie porzuciliśmy imprezowego trybu życia. Zaczęliśmy też sporo eksperymentować. Przeszliśmy całą listę praktyk uznawanych wówczas za urozmaiconą intymność i doszliśmy do lekkich, dopuszczalnych dewiacji, także z wykorzystaniem przedmiotów z epoki przedsilikonowej. Dużo przy tym rozmawialiśmy. Najwięcej o Hance.

Hanka była kobietą w typie bergmanowskim: skomplikowaną. Obdarzona klasyczną urodą, nie troszczyła się o wygląd. Wszystko jednak, począwszy od sposobu obgryzania skórki przy paznokciu, do gestu, jakim odgarniała włosy, uwydatniało ten cud natury, którym była. Nosiła się bardzo kobieco, oczywiście w stylu obowiązującym na uczelni z wydziałem artystycznym. Studentką była przeciętną, rozpraszały ją, jak wszystkich, kluby, dyskusje i DKF-y, do których dostęp mimo stanu wojennego stopniowo się zwiększał. Poza tym miała obowiązki domowe.

Przyjaźniła się najpierw z moim prawie-mężem. Może nawet coś między nimi było, ale mieszkała z rodzicami i nie uczestniczyła zbyt często w akademikowych bibkach, wobec czego miałam fory. Odziedziczyłam jej przyjaźń po nim, kiedy – o, porządni mężczyźni! – realizując zasadę wierności, odsunął się nieco na bok. Nocowała u nas, kiedy dostała pozwolenie od ojca na naukę z koleżanką, a impreza w naszym mieszkaniu przeciągnęła się do godziny milicyjnej, czyli w każdą sobotę. Miała miejsce od ściany, przy mnie.

Pewnego razu w sytuacji intymnej narzeczony wyznał, że ma na nią ochotę. Ukłucie zazdrości stłumiłam haustem mocnej, zimnej herbaty. Nie należało odczuwać takich małżeńskich, drobnomieszczańskich emocji. Poszłam w fellatio. Odpłynął, jęcząc tak głośno, że sąsiadka zaczęła stukać w sufit szczotką. Od tego czasu wciąż gadaliśmy o Hance.

– A może wzięlibyśmy sobie jakąś dziewczynę? – pytałam, wkładając mu pośliniony palec tam, gdzie mógł się zmieścić.

– Kogo masz na myśli? – udawał zaciekawionego.

– Jakąś ładną. – Poruszałam palcem.

Postępując normalną drogą takiej konwersacji, dochodziliśmy do „Hanka”. „Hanka”, „Hanka”, krzyczał, wodzony na pokuszenie przez byłą Agnethę, obecnie raczej czarniawą Anni-Frid. Przypadkowo wypadało na „Hanka”. Przekonałam się, jaką metodą szkolone były psy Pawłowa.

Kiedy jakimś cudem udało nam się Hankę oswoić, upić bardziej niż w inne soboty, położyć między nami i skłonić do zdjęcia rajstop, straciliśmy kontrolę nad swoją wizją. Straciliśmy ją także nad Hanką; zgodnie z naszymi rojeniami była namiętna, ale niezgodnie ze scenariuszem brała, nie dając nic w zamian. Nie chciała nas „obsłużyć”, zwłaszcza mało zainteresowana była moim prawie-mężem, który nieco zaniemógł, patrząc, jak zajmuję się obsługą naszej fantazji. Hanka szczytowała bez końca, ja byłam

wciąż na krawędzi, a załatwiony odmownie narzeczony leżał na brzegu pośłania.

Raz nam nie wystarczył. Zaczęłam spotykać się z Hanką, ignorując potrzeby prawie-męża, który nadal polegał na skraju tapczanu. Przed wakacjami zrobił dyplom i postanowił nas porzucić. Mieszkanie było opłacone do 30 sierpnia.

Odchodzący sierpień

Zajęta Hanką, nie zauważyłam, kiedy studencki narzeczony spakował worek żeglarski, z którym dwa lata wcześniej wprowadzał się do naszego wspólnego mieszkania. W dniu jego wyprowadzki byłam zdenerwowana, ponieważ przygotowywałam się do ostatniego egzaminu. Gdy teraz o tym myślę, muszę przyznać, że wykazał się siłą charakteru wprost proporcjonalną do wspominatej już cechy anatomicznej. Symbolicznie popłakał, pomarudził, popatrzył mi znacząco w oczy, przeżył kontrolowane załamanie nerwowe, z którego wyszedł przed egzaminem dyplomowym, nie zaniedbując jednak korekty pracy poświęconej demonicznym kobietom u Witkacego, a następnie po prostu zarzucił worek na ramię i raz na zawsze wyszedł z mojego życia. Nie wiem, czy poczuł się wyjątkowo zraniony faktem, iż jego miejsce zajmuje Hanka. Żadne z nas nie było aż tak otwarte, żeby przegadać stan rzeczy. Mogę tylko wczuwać się w jego położenie, czy raczej brak położenia. Nie jestem pewna, co zabolalo go bardziej: moja zdrada czy fiasko naszej fantazji.

Wciąż miałam małe stypendium, rodzice wysyłali mi pieniądze, na ile byli w stanie. Powinnam była rozglądać się za pracą, już nie wakacyjnym dorabianiem, którym zajmowaliśmy się przez całe studia, miło spędzając czas przy taśmach produkcyjnych państw Układu Warszawskiego i poznając zróżnicowane smakowo narodowe trunki węgierskie, czeskie, ernerdowskie i rosyjskie. W tamtych nieprawdopodobnych czasach brakowało wolności, mięsa i rajstop, nie brakowało natomiast pracy. Owszem, nie każdy dostawał to, co chciał, ale coś zawsze można było dostać. Mało tego, nadal obowiązywał stanowojenny nakaz pracy, nie można było się migać. Większość z nas miała załatwione posady lub planowała emigrację. Rozglądałam się na miejscu, póki zdawałam ostatnie egzaminy, trochę się uczyłam, a trochę marnowałam czas z Hanką. Dopamina od Tamagotchi wynosiła mnie na tyle wysoko, że miewałam wizję „żyły długo i szczęśliwie”, lekceważąc wyraźne symptomy erozji naszego związku.

Myślałam, że ten typ tak ma: branie zamiast dawania, niedbała wyniosłość, błyskawicznie wytwarzany dystans. Kochała się z zamkniętymi oczami, miała wyuczony sposób oddzielania aktów od emocji. Po seksie zasypiała szczelnie owinięta kołdrą, dbając

o to, żebym nie widziała ani jej ciała, ani twarzy. Wstawała wcześniej, kiedy się budziłam, była już ubrana i znajdowała się na jakimś innym poziomie rzeczywistości, niepodobnym do osiągniętego w nocy. Wolała późnym wieczorem. W sztucznym świetle wyglądała jeszcze piękniej i bardziej bergmanowsko.

Musiała opowiadać się rodzicom, zostawała na noc pod pretekstem nauki. Dom był surowy, wspomniała coś o tym, ale niewiele. Tak jak z prawie-mężem, przedtem z nauczycielem muzyki, a jeszcze dawniej z koleżankami, kolegami i z Alkiem, nie rozmawiałam z nią o rodzinie, bo w tamtych czasach się tego nie robiło. Nie w taki sposób, w jaki temat miał wypełnić nasze rozmowy po transformacji, gdy zaczęliśmy szukać zagubionej nitki psychologii zbiorowej. Rodziny stanowiły klęskę naturalną, bez której nie było życia. Wspierały i raniły po równo. Przede wszystkim jednak, bez względu na stan osobowy, nie podlegały przeglądowi z zewnątrz. Ktoś się czasem czymś pochwalił, ale nie pamiętam roztrząsania skomplikowanych relacji międzyludzkich. Ktoś miał komuś coś za złe, ale nie przychodziło mu do głowy robić z tego historii.

Podczas naszego romansu ani razu nie byłam u Hanki, wyczuwałam, że podobne odwiedziny byłyby niestosowne, poza tym nie byłam zapraszana. Bywanie u niej wymagało zaproszenia. Raz dostąpiliśmy tego zaszczytu, bodaj na trzecim roku; narzeczony i ja zostaliśmy zaproszeni na niedzielny obiad, który zaczął się od słodkiego. Z półsłówek Hanki wywnioskowałam, że ojciec ma ciężką rękę – Hanka pomagała dwóm młodszym siostrą w nauce, żeby nie musiały się o tym przekonywać. Obiad jedliśmy w zasadzie we czwórkę: ja, narzeczony, ona i jej ojciec, bo matka i siostry przez cały czas kursowały między kuchnią a gościnnym, donosząc talerze, półmiski i szklanki. Ojciec dawał znaki spojrzeniem. Wódki napił się z mężczyzną, babińcowi nie zaproponował alkoholu. Wiedziałam więc, dlaczego Hanka mnie nie zaprasza, serwując rodzinie jakąś półprawdę o przyjaźni ze zdolną koleżanką.

Żeby mnie dotknąć, potrzebowała zachęty i ochrony. Prowadziłam jej rękę wzdłuż swojego ciała, omijając piersi, jakbym udawała, że okej, nic tam nie ma. Nadal nie lubiłam, kiedy ktoś dotykał moich piersi, wciąż zresztą bardzo małych. Kładłam się przy niej bokiem, żeby ułatwić sobie operowanie jej dłonią między swoimi nogami. Moje palce na jej palcach, a pod nimi mokra miękkość i delikatna twardość, podobna do jej własnej. Bo byłyśmy dopasowane, jeśli w przypadku dwóch kobiet rozmiar ma znaczenie. Ten sam wzrost, ten sam numer buta, taki sam obwód w pasie, mogłyśmy pożyczać sobie ubrania. Różniłyśmy się rozmiarem biustonosza i długością włosów. Z długich włosów Hanki korzystałam niejako gratis, bez jej udziału, podstawiając pod nie twarz, brzuch, ramiona. Pieściłam się nimi. Podobieństwa ułatwiały przełamywanie lekkiego, lecz wyczuwalnego oporu: umiałam tak wszystkim kierować, żeby odczuwała robienie mi dobrze jako

zaspokajanie samej siebie. Liczyłam na podobieństwo: kiedy koniuszką języka lizałam jej twardą lechtaczkę, czułam przyjemność, którą można było sfinalizować paroma szybkimi muśnięciami. Moje ciało czuło poprzez nią, więc relacja mogła być zwrotna. Chyba była. Niewykluczone, że Hance nie chodziło o mnie, że zamykała oczy, bo byłam niepotrzebna. Że czuła przy sobie tylko siebie, albo kogoś innego – nie mnie.

Gdybym dzisiaj miała się tak wysilać, by podstawić siebie kobiecie, której sama nie żałowałam pieśzcot, oczywiście dałabym spokój. Wtedy jednak pamiętałam zabawy w łazience domu rodzinnego, spanie z zostającymi na noc kuzynkami i koleżankami z klasy. W dodatku Hanka była fantazją, a z fantazjami nie ma targów. Szło, bądź co bądź, o małżeństwo, które zakończyło się, zanim się zaczęło. Musiałam uznać, że gra jest warta świeczki.

Miałyśmy więc swoje Lato Śpiącej Królowej, czyli ślicznie pojękującej i dającej rozkosz z zamkniętymi oczami Hanka. Chodziłyśmy czytać do parku, odwiedzałyśmy teatry i znajome galerie, czy raczej znajomych w galeriach. Dużo rozmawiałyśmy o literaturze. O rosyjskiej klasycy i porewolucyjnym samizdacie, bo Hanka studiowała rusycystykę. Dzięki niej poznałam wiersze Achmatowej. Recytowała je po rosyjsku, z pamięci, bezwiednie stosując podstawowy sposób, w jaki dysydenci radzili sobie z zakazami. Sama bowiem stała z boku wszelkich nielegalnych inicjatyw. Wierzyła w samooczyszczenie systemu, chociaż swego czasu w ramach strajku spała na podłodze na wydziale, jak wszyscy. Przy jej legowisku było ciasno.

Spierałyśmy się o kobiety u boku sławnych mężczyzn: o de Beauvoir przy Sartrze, Arendt przy Heideggerze, Krzywicką przy Boyu, Kobro przy Strzemińskim. Wiedziała o tym bardzo dużo, czytała w kilku językach. Nie padało słowo „feminizm”, przerobiłyśmy jednak problem upodrzednienia kobiet, ich poddaństwa seksualnego i możliwego wyzwolenia przez intelekt. Podarowała mi tomik wierszy Safony w przekładzie Janiny Brzostowskiej. Mówiła o roli poetki-nauczycielki, nie o erotykach. Podarowałam jej indyjski szal pasujący do kolorytu. Wyglądała w nim na Hinduskę, na Ingrid Bergman przebraną za Hinduskę. Po pięć razy obejrzałyśmy *Piękność dnia* i *Wstręt*, po trzy razy *Casabankę* i *Morderstwo w Orient Expressie*.

– Dobrze – powiedziałam. – Niech będzie Catherine Deneuve.

Nie zależało mi tak bardzo. Pytanie brzmiało „Gdybyś miała wybrać jedną aktorkę, która by to była?”. Poza tym wybrałyśmy kolor: błękit, wyjątkowo w moim przypadku nietwarzowy; smak lodów: truskawkowe, na truskawki miałam uczulenie; ciastka: ptysie, ewentualnie z bitą śmietaną; kawę, nie herbatę, dyskusja bezprzedmiotowa wobec jakości obu na polskim szczątkowym rynku; powieść: *Annę Kareninę*. Ten wybór trochę mnie zdziwił, nie był zbyt wyszukany jak na rusycystkę, nie zaprotestowałam jednak, skoro już

oddałam smak, porę miłości fizycznej i ulubioną aktorkę.

Lato było piękne, chociaż od naprężania ud w niewygodnych pozycjach miałam zakwasy, a pieniędzy starczało tylko na makaron z groszkiem i wermut Istra, który powodował kolorowe odjazdy. Czekały mnie zmiany i przeprowadzka. Matka i ojciec jeszcze o niczym nie wiedzieli; kiedy im powiedziałam, zaczęły się awantury pod hasłem „A nie mówiłam!”, choć nikt nie mówił. Roślałam o ciągu dalszym, ignorując niemożność realizacji marzenia. Kiedy zaczęłam pakować akademickie książki przeznaczone na sprzedaż, Hanka zapytała, czy mam pracę.

– Bo ja od pierwszego października zaczynam w bibliotece – oznajmiła. – I mam nadzieję, że czasem wpadniesz do miasta. – Przypieczętowała swoją wizję pod tytułem „Dorośle życie po lecie Śpiącej Królowy”. – Z tym że rodzice nie lubią gości na noc – pospieszyła z informacją dodatkową.

Żegnała mnie na dworcu, przyznam, czule i oczywiście miałyśmy na siebie namiary. Nie odwiedzałam jej jednak; ograniczyłam kontakt do rzadkich telefonów i kartek pocztowych, nie listów, żeby zdawkowość pozdrowień była usprawiedliwiona. W połowie lat dziewięćdziesiątych Hanka wyjechała do Francji uczyć się digitalizowania bibliotek. Nie wyszła za męża, a po powrocie z przedłużonej delegacji współzakładała jedną z pierwszych polskich organizacji LGBT. Została cenioną specjalistką od e-bibliotek i lesbijską aktywistką. Kiedy patrzę na jej zdjęcia w internecie, mam nadzieję, że nie śpi, kiedy jej partnerka potrzebuje konkretnych działań. Bo na zdjęciach występuje z partnerką, bardzo, niestety, nie w moim typie. W pewnym sensie uparła się przy Catherine Deneuve przeciw Ingrid Bergman, gdyż jej narzeczona jest Francuzką. Cóż, tamten sierpień minął za szybko i skończył się pożegnaniem jak z *Casablanki*.

Intermedium

Opowiadam jak w transie lub orgazmowo-nostalgicznym ciągu. Bez nadziei, że mnie zrozumiecie, zaakceptujecie, bo nie podaję znieczulenia. Nie znajdziecie tu nic, co mogłoby was bezkarnie podniecić. Mięso, samo mięso zamarynowane w feromonach sentymentów. Tamagotchi kierowało mną, nie próbując wejść w ludzki kontakt.

Wówczas, trzydzieści lat temu, większości z nas najlepiej gadało się i kochało po prostu przy lub po wódce – nazywanej wódeczką, wódą, paliwem, gorzałką, gorzałeczką, naftą, charą; pieśczośliwie, mocno, chwacko, zawadiacko, straceńczo, odświętnie i codziennie – jeśli nie była to baltic vodka, straszliwa w natychmiastowym działaniu, unieruchamiająca w pozycji, w jakiej się ją przyjęło. Podobnie działał inny miejscowy specjał, obecnie wpisany na listę towarów podtrzymujących regionalną dumę: starka. Nie wiem, czego do nich dodawano. Wywoływały białą gorączkę, opisywaną przez znanych reportażyistów jako choroba niewielkich narodów dalekiej Północy. Normalne spirytualia, w tym cukrowe, owocowe i kartoflane samogony, działały w sposób zróżnicowany, ale wszystkie wywoływały dłuższą lub krótszą fazę wymowności i konfabulacji. Wyświetlały w głowach równoległe życiorysy sprawiające wrażenie zupełnie realnych.

Po pijaku opowiadałam nieraz o swoim związku z wpływową osobą, o dzieciństwie w domu dyplomatów, o śmiertelnej chorobie. Co ciekawe, opowieść o chorobie należała do wersji różowej, snułam ją i rozwijałam w ciepłe dotykowo-wizualne spektrum, gdy chciałam na użytek swój i współbiesiadników stworzyć przyjemne obrazy. W wersji płaczliwej i tragicznej umieszczałam fragmenty prawdziwych strat i lęków: chora tym razem była matka, obwinałam swojego mężczyznę za własną zdradę, powoływałam do życia nieistniejące przyrodnie rodzeństwo, pokazywałam blizny i opowiadałam ich nieprawdziwą historię.

Teoretycznie, czysto teoretycznie, picie sprzyja narracji. W praktyce zabija świat dookoła i uruchamia ciągi kłamstw, które udają literaturę autobiograficzną. Wspominam o tym, bo przecież moja opowieść ma być szczerą. Zacny trunek, dodajmy, spowalniał narrację, dopuszczał do niej współbiesiadników i rzeczywistość. Mogła to być finlandia, smirnoff, żytnia, bo o kombinacjach w rodzaju mojito nikt nie słyszał. Po mojito to można

rzygać albo tańczyć, nie opowiadać. Po żytku samo się mówiło. Po przepalance na sztucznym miodzie do pakietu dodawało się dziadków i wojny. Tak, były też dziwne, trącające aluminiowymi beczkami specjały, które wywoływały halucynacje. Ze strachu mogłabym się bić, ale jako kobiecie wypadało mi tylko krzyżeć. Stopniowo rezygnowałam z picia, dolewałam alkoholu pozostałym, zadowalając się innego rodzaju podnietami.

Spowiadam się, jakbym – wiecie, wiecie, o czym mówię – sączyła peweksowskie czerwone martini lub campari z lodem. Zanim żołądek odpowie na mieszankę alkoholu i aromatów w wiadomy, nieprzyjemny sposób i mnie uciszy. Siedzimy sobie elegancko w fotelach, popijamy, zagryzamy czymś innym niż wówczas – precz z paluszkami, orzeszkami, ananasek z puszki, kanapkami, krakersami, precz z pierwszymi mięsami z grilla – a ja staram się na wasz użytek zrekonstruować węzłowe momenty swojego życia erotycznego, historię osvajania Tamagotchi, swoje wątpliwości i motywacje. Spokojnie, leci z nami pilot i w stosownym momencie go użyję.

Czy cała moja egzystencja upływała pod znakiem podbojów miłosnych? Tak i nie. W dwudziestym czwartym roku życia miałam za sobą humanistyczną edukację formalną z zupełnie nieźle zaliczonymi przedmiotami ścisłymi. Wiedziałam o świecie wszystko, co dziś mogłabym przeczytać w Wikipedii. Przeczuwałam już także luki, nad którymi zamierzałam pracować. Już mnie uwierali Kundera i Hrabal, chociaż nie używałam słowa „mizoginia”, może go nawet nie znałam. Antykomunizm mi nie wystarczał. Klasycy literatury i filmu polskiego zaczęli budzić moje wątpliwości. Kino moralnego niepokoju niepokoiło mnie w niewłaściwy z punktu widzenia twórczych celów nadrzędnych sposób. W DKF-ie zaliczyłam *Emmanuelle*, nad samodzielnie przetłumaczoną *Historią* O spędziłam noc zaraz po nocy z *Małą apokalipsą*, którą kolportowała młodzież z duszpasterstwa akademickiego. Oczywiście, miałam etap Gombrowicza, ale już nie Witkacego. Z kobiet, poza przekładami francuskiej i angielskiej klasyki, nieco ukradkiem czytałam Gojawiczyńską i Nałkowską. Wydawały się jakoś za bardzo dla kobiet. Nie wiedziałam, co z tym zrobić.

Przeszłam też szkołę oporu. Stan wojenny zastał mnie w liceum, wychodziłam na trzeciomajowe demonstracje, na studiach strajkowałam, byłam przesłuchiwana. Jeździłam do NRD na dowód, czekałam w długiej kolejce do wydziału paszportów i nie wiedzieć czemu nie dostałam paszportu. Po latach wyszło na jaw, że mój ojciec odmówił współpracy z bezpieką, nie chciał zbierać informacji o kolegach, z którymi podróżował służbowo. Pozwalali mi jeździć na Ochotnicze Hufce Pracy do demoludów. Byłam ateistką, ale uczestniczyłam sporadycznie w kościelnych przedstawieniach. Robiłam swetry na drutach. Umiałam ugotować coś z niczego, najczęściej jedliśmy wówczas pizzę na grubym cieście z – uwaga – kiełbasą zwyczajną i majerankiem. Pasowało do niej piwo Bosman.

Co jeszcze? Kochałam wszystkie swoje polonistki. Mówię to pierwszy raz w życiu i nie wiem, czy się dowiedzą. W szkole byłam zbyt krytyczna, żeby to ujawnić. Kochałam je w sensie czysto intelektualnym i chciałam naśladować. Ubierać się jak one, mówić jak one, chodzić jak one, siadać na krawędzi biurka jak one. Klóciłam się z nimi o każdy akapit wypracowania, więc chciałabym umieć jak one reagować na takie bezczelne uwagi. Ze względu na wszystko, co już powiedziałam i co powiem, może wolałyby, żebym nie robiła takich wyznań, ale czy będzie kiedyś okazja? Kto ma coś do powiedzenia, niech uczyni to teraz lub zamilknie, bo taka jest kolej rzeczy. Kocham was, moje panie od polskiego, których imiona i nazwiska zagubiły się w moich euforiach i dołach. Utrwalam wasze istnienie każdym zdaniem, choć na pewno macie ważniejsze zasługi życiowe. Bez was nie byłoby nas – mnie, mojego czasopisma i moich historii. Ale przysięgam – nie umieszczałam was w centrum swoich fantazji. Co najwyżej nosiłam podobny do waszych naszyjnik. Nie zazdrościłam waszym mężom, nie wykorzystywałam was bez waszej wiedzy. Byłyście święte, trzymałam was na ołtarzykach i paliłam wam najlepsze fajki.

Może postronni nie dadzą wiary, bo znajome, dzięki wielokrotnemu wałkowaniu sprawy, już wierzą: nie miałam tak zwanych kłopotów z tożsamością. Nie słyszałam o zahamowaniach seksualnych. Podręczniki medyczne używały twardej nomenklatury, czytałam je od dziecka, więc byłam przyzwyczajona do tych nazw, a zarazem spokojna o siebie. Co nie znaczy, że seks był na początku tylko seksem. Przeciwnie, wymuszałam miłość – sposobem na bezdomnego psa, opuszczone dziecko, rychły zgon. Obiecywałam rzeczy, których nie miałam. Zbliżałam się do ludzi przez łóżko i niemal wyłącznie przez łóżko. Nie wierzyłam, że ktoś może mnie lubić po prostu. Za co? Jaką mogłabym mieć wartość, krótko obcięta, niewyjątkowa? W rezultacie nie zadawałam się z cnotkami płci obojga, dzięki czemu unikałam odmowy. Czasem traciłam kontrolę i uwodziłam kogoś „porządneho”, przyznaję. Częściej jednak wyczuwałam swego, proponowałam siebie tym, do których był łatwy dostęp. Na co liczyłam? Otóż nie, niekoniecznie na miłość. Czego chciałam? Ciepła, powstającego przez tarcie ciała o ciało? Na szczęście seks dość szybko okazał się także seksem. Myślę, że już w łóżku nauczyciela. Poczułam w nim coś, co znałam – ekscytację płynącą z różnicy, w tym przypadku metrykalnej. Różnicę czułam także, kochając się z kobietami. Kochając się z nimi, byłam kowbojem, zdobywcą. Kochając się z nimi, byłam małą dziewczynką. Mogłam wszystko.

Przyznam – choć niestraszny mi był czysty spirytus, stopniowo zaczęłam odrobinę markować picie w tej pijącej republice, jaką był końcowy PRL, bo potrzebowałam trzeźwego umysłu, żeby realizować planowane podboje. Prawdziwego kopa dostawałam przez własny układ krwionośny – od Tamagotchi.

Kiedy opuszczałam uczelnię z dyplomem w kieszeni, byłam niedoszłą żoną, która

uprawiała seks średnio pięć razy w tygodniu i za każdym razem miała przynajmniej trzy orgazmy, jakby co – po wyjściu partnerów. Właściwie nie znałam słowa lesbijka; gdy pisałam je palcem na szybie, stopą na piasku, majaczyła mi przed oczami rajfurka z *Nany Zoli* jako moja własna bohaterka literacka i ciotka ze Słupska, o której mawiano „piękna, ale nienormalna”. Byliśmy w tamtej epoce na ogół dość wyzwoleni seksualnie, ponure rozliczanie z nocy miało nadejść po odzyskaniu niepodległości.

Łabędzie lądują

Seks seksem, życie toczyło się według dość ograniczonej liczby schematów dostępnych mieszkańcom demoludów.

Zaczęłam, nieco bez związku z kierunkiem studiów, pracę w Badawczo-Wdrożeniowym Instytucie Informatyzacji Miasta i Województwa.

– Jest pani młoda, wciągnie się w komputery – powiedział kadrowy, do którego wysłał mnie ojciec. Kolega z wojska.

Zatrudniłam się, co było robić? Instytut wyglądał rozwojowo. Zarobki takie sobie, za to perspektywy nieograniczone. W moim pokoleniu mniej myślało się o kasie, więcej o realizacji marzeń.

Porządkowałyśmy z Sonią dane, które zbierał zespół ekspertów. Nikomu nie przyszło do głowy, że mogłybyśmy chcieć mieć własny, albo wnieść coś od siebie. Nasze dyplomy wpływały wyłącznie na zaszeregowanie w tabelce płac, nie na zakres obowiązków. Traktowano nas jak maszyny do układania i dziurkowania. Eksperci nosili wtedy swetry i przetarte garnitury. Każdy chciał mieć asystentkę, ale Sonia i ja nie nadawałyśmy się do tej roli. Byłyśmy niezależne. Ona w swoim czasie utonęła w odnowie moralnej i przeszła na utrzymanie męża. Ja do kapitalizmu dołączyłam w innym miejscu, a w Instytucie ze względów pragmatycznych pracowałam nadal. Bo byłam tyleż rozważna, co romantyczna.

Instytut się rozrastał. Na początku dziurkowałyśmy ręcznie karty do jedynego IBM, kupionego z dotacji centralnej, który miał uporządkować zasoby Instytutu i dzięki temu znacząco zwiększyć ich dostępność. Miałyśmy wszystkiego po trochu, każdy urzędnik miał swój program i chciał go wdrożyć tam, gdzie inni nie chcieli: ktoś w odpady, ktoś w stomatologię szkolną. Instytut prawem natury rozrastał się o kolejne pionki, referaty i zespoły. Zatrudniono grupę statystyków. Mieliśmy też komórkę danych poufnych. Pracowali w niej pochodzący spoza miasta godni zaufania mężczyźni. Ci, którzy zostali z nami na dłużej, by zapisywać w notesach z ceratowymi okładkami nasze kilkuminutowe spóźnienia i niewłaściwe odzywki na zebraniach, zaczynali gromadzić i wstępnie obrabiać własne intelektualne śmieci, zlecając urzędnikom niższego szczebla prowadzenie dziwnych badań regionalistycznych.

Dziurkowałyśmy ręcznie, bo dziurkarka wciąż była w naprawie. To była końcówka, ostatnie podrygi systemu zlecającego stażystkom takie roboty, przez następne lata karty walały się po szufladach i półkach, służyły jako fiszki; dobrze pasowały do pudełek po butach Syrena – brązowych damskich czółenkach lub czarnych męskich półbutach na słoninie, czyli grubej podeszwie faktycznie wyglądającej jak kawał skóry z tłuszczem z wystawy rzeźnika. Niektórzy trzymali parę butów w biurze, niczym przedszkolaki zmieniali rano butki na kapcie, tyle że nie przy szafce ze zwierzątkiem. Pudełka były dość liche, podklejałam je na wszelki wypadek butaprenem, starając się go nie wdychać; za bardzo przypominał ten krótki czas między piątą a szóstą klasą, kiedy na spotkaniach urodzinowych słoiczek kleju krążył jak puchar przechodni. Odjazd po butaprenie był jak połączenie upojenia z bezdennym kacem, tylko młode organizmy dawały radę.

Tak to wyglądało do końca lat osiemdziesiątych i jeszcze długo potem. Wejście do Unii dało nam kopa: przenosiny do nowego budynku, zakup najnowszego oprogramowania i sprzętu, zatrudnienie młodych wilków po prawdziwej informatyce. Za nimi przyciągnął tłumek asystentek, sekretarek, księgowych, referentek. Układ bardzo tradycyjny – mężczyźni zajmujący się sprawami merytorycznymi i my, kobiety, *de facto* prowadzące instytucję. W starej siedzibie zostawiliśmy po sobie muzeum techniki. Cały ten złom, atari, sprawdzarki, wielki jak szafa imb, pierwsze pecety z kartą Hercules i świecącymi żółtawo ekranami, na które zakładaliśmy uniemożliwiające zobaczenie czegokolwiek siatkowe przesłony, ponieważ baliśmy się promieniowania, piekielnego wyziewu o nieznanym natężeniu, mającego sprowadzać ślepotę, raka mózgu i bezpłodność. Robili nam na ten temat szkolenia, rozszerzając tradycyjny program BHP – bakterie na mydle, możliwość złamania nogi, porażenie mózgu od patrzenia w ekran; w tle majaczyła plansza z grzybem atomowym, wieszana w szkolnej pracowni przysposobienia obronnego. Opanowanie procedur awaryjnych miało pomóc tak samo jak hodowanie chińskich grzybków i domowego szczypiorku. Robiliśmy, co się dało.

Oszłamiająco nowoczesny sprzęt po latach zaległ w piwnicach, między starymi biurkami i regałami pełnymi zalatujących pleśnią książek i segregatorów z planami komputeryzacji miasta i regionu. Zaległ i czekał zmiłowania, czyli zgody pani z inwentaryzacji na sporządzenie protokołu zniszczenia. Wchodziliśmy w etap muzeum. Część sprzętu wzięła pobliska szkoła. Dodam, że w pierwszym raporcie rocznym, podobnie jak w dziesiątym, nasze instytutowe mózgi stawiały tezę, że trzeba dynamicznie komputeryzować administrację.

Zanim skończyłyśmy dziurkować, co było niezłym, rozwijającym zajęciem – ćwiczyłyśmy palce, przerabiałymy historię regionu, robiłyśmy sobie i innym prasówki z drugoobiegowych czasopism, wymieniałyśmy się przepisami na zupy i naleśniki bez

wsadu mięsnego – weszliśmy w Excela. Pejzaż za oknem uległ zmianie, moje życie osobiste także. Dziurkowanie było lepsze od służbowych wyjazdów do pobliskiego miasteczka, gdzie Instytut prowadził kursy komputerowe dla urzędników gminnych. Uff, Soniu, lubiłam te godziny w naszym pokoiku, o wiele przytulniejszym od nowoczesnych biur. Powoli, przyjdzie na to czas. Na razie praca daje perspektywy.

Nieoczekiwanie, nieplanowanie, bez ostrzeżenia – zostałam matką. Z prawem do sześciotygodniowego urlopu macierzyńskiego. Nic się nie zawaliło, przeciwnie. Nabrałam pewności siebie. Tamagotchi się przesunęło, ustąpiło pola, zaakceptowało przerwę. W tamtych czasach większość dzieci pochodziła z wpadki, więc „nieplanowanie” było normą. Rozrodowi towarzyszył romantyzm: zakochanie, wicie gniazda, kupowanie wyprawki. Ze mną nie mogło być inaczej, z tym że sama byłam gniazdem: w symbiozie ze swoim lokatorem.

Kiedy pojawiło się dziecko, mój stosunek do niego był bałwochwalczy. Kochałam Anię bezgranicznie, wyznawałam jej miłość na każdym kroku. Dzielnie opierałam się pokusie zatrzymania jej w macicy. Rodzicielstwo było wtedy w pewnym sensie automatyczne, obywało się bez podręczników, debat i autorefleksji. Dzisiejsze młode matki nie wierzą, gdy mówię, że nie pamiętam wielu rzeczy z niemowlęcej biografii mojego dziecka. Takie są fakty – nie pamiętam. Kilka fotografii, żadnych ząbków w pudełku. Próbowałam wychowywać córkę do jej, nie do swojego szczęścia. W miejscu „dziecko” nadal jestem liryczna.

Dużo myślałam o macierzyństwie, obserwując pewnej zimy łabędzie. Pierwszy raz zobaczyłam je nad Odrą, kiedy wracałam ze spaceru po miasteczku opuszczonym przez radziecki garnizon. Szłam przez most w stronę dawnego cmentarza żydowskiego, na którego terenie zbudowano później ośrodek sportu: lubiłam chodzić po tych ruinach na ruinach, po tym szczelnym sarkofagu skazanym na wieczny, zdawałoby się, rozpad: kto miałby go zburzyć do końca i wywieźć beton? Co zbudowałyby w zamian?

W zamarznętej zatoczce starsza pani wyjmowała z czerwonej siatki kawałki chleba, kruszyła dłonią bez rękawiczki i sypała kaczkom. Łabędzi w pierwszej chwili nie zauważyłam, nie odbijały od świeżego śniegu. Kobieta starała się trafić między kaczki, które mimo łagodności jej gestów nerwowo zmieniały miejsce za każdym rzutem. W pewnej chwili cała grupa odpłynęła na pełną wodę. Wśród okrągłych kawałków kry nie bez trudu wylądował wielki ptak. Kobieta natychmiast zadbała i o niego. Jego lądowanie wydawało mi się atakiem na kaczki, a szczodrość niezważającej na wiatr i kilkunastostopniowy mróz starszej pani miała dla mnie rys ewangeliczny. Po chwili rozpoznałam w wielkim ptaku szarego łabędzia. W otoczeniu kaczek wyglądał na potwora. Dwa białe, zgodnie krążące między krami i okruchami, wydawały się należeć do

innego plemienia. Zrobiłam im zdjęcie komórką, ale odległość była za duża – wyszedł tylko śnieg upstrzony szarymi plamami i czerwona siatka.

Zaczęłam wyglądać tej grupki za każdym razem, kiedy przechodziłam koło mostu. Koło południa zawsze spotykałam ptaki i kobietę. Czasem jakaś matka z dzieckiem urządzała konkurencyjne karmienie po drugiej stronie rzeki. Po zmroku ptaków nie było, nigdy nie widziałam, dokąd odpływają na nocny spoczynek. Szary też tam bywał, ale nie udało mi się już zobaczyć lądowania równie spektakularnego jak to pierwsze: furkot, kaczki odpływające na boki, rozpostarte skrzydła, gwałtowne ruchy tuż nad krą, wyławianie chleba z lodowatej wody. Szary odbijał od reszty, był poza grupą lub ponad nią. Wciąż wyglądał na obcego.

Dopiero po tygodniu zrozumiałam, że jest dzieckiem białej pary. Nie mogło być inaczej, każdy zna baśń o przeistoczeniu: przez całą zimę młode mają pierwotne upierzenie, czekają na swoją kolej, trzymane przez naturę w mundurkach rekrutów. Ten był już samodzielny, przebojowy. Wracał do wydzielonego z rzeki żerowiska z jakichś sobie tylko znanych miejsc. Rodzice nie wydawali się zaniepokojeni ani szczególnie przejęci losem potomka. Raczej trzymali się siebie, on i ona, to młody pilnował pór posiłku.

Podglądając życie na zimowej rzece, myślałam o wychowywaniu dzieci. Czy widać, że są inne? Kto trzyma łączącą nas nić? Czy przychodzą na żerowiska, zwracając na siebie uwagę trzepotem skrzydeł i efektownym lądowaniem? My zaś tylko czekamy na te wizyty, już prawie niewidoczni na środku zamarznętej rzeki?

Kiedy Ania była dzieckiem, widziałam sprawy zupełnie inaczej. Ja zarządzałam porami karmienia. Nauczona doświadczeniami z własną matką, starałam się nie zawstydząć swojego dziecka kolorowymi piórami, choć nie byłam oczywiście nieskazitelnie biała. Przyciągnęłam Anię w pobliże rzecznej wiru, na którego krawędzi od lat nieporadnie pływałam, żeby pomóc jej zacząć kobiecą przeprawę od innego miejsca. Udało się.

Zaszłam w ciążę ze swoim oficjalnym, stałym partnerem. Wyglądało na to, że wchodzę w prawie-małżeństwa, ale szczęśliwie żadnego nie finalizuję. Z pełnym poparciem matki. Na moje „Myślę o zamieszkaniu z nim” zakręciła pantoflem na czubkach palców i skomentowała: „Zamieszkaj, zamieszkaj, ale ślubu nie planuj. Tylko kłopot z rozwodem”. Była niesprawiedliwa, myślała wyłącznie o sobie, o własnej rozwodowej niemożności. Nawet zakomunikowana po paru miesiącach rewelacja numer dwa – „Spodziewam się dziecka” – nie zmieniła jej nastawienia. Uważała, że jesteśmy niezdolne do wykonywania obowiązków małżeńskich, ona i ja. Co prawda, sama od trzydziestu lat była mężatką, ale przecież wyłącznie dlatego, że umiała żyć w poświęceniu i bez radości. Ojciec był według niej przede wszystkim nieudacznikiem, impotentem i durniem. Nicowała każdy z tych aspektów swojego nietrafionego wyboru, szukając we mnie wad swojego męża, choć go

skądinąd bardzo kochała. Opowiadała niestworzone historie o tym miłym, schludnym, spokojnym mężczyźnie, z którym mnie jakoś jednak poczęła. Jeśli był impotentem, to co robili przez te wszystkie niedziele wypełnione śmiechem dobiegającym zza zamkniętych drzwi ich pokoju albo okupowanej godzinami łazienki? Jeśli był nieudacznikiem, to skąd mieliśmy pieniądze na wakacje w Bułgarii? Jeśli był durniem, to kto nauczył mnie, jak działają silniki spalinowe, i rozśmieszał do łez, naśladując znajomych? Tak czy owak, może nie chcieli mieć ze mną kolejnych kłopotów, mniej lub bardziej konwencjonalnie wydumanych, a sama też miałam sceptyczny stosunek do trwałości związków.

Ojca Ani – był biznesmenem, miał na imię Jarek i nie został moim mężem, a także okazał się kimś innym, niż sądziłam – poznałam w knajpie. Mam po nim córkę, pół bliźniaka, wydawane od lat czasopismo i sensacyjną historię do opowiedzenia.

Raz się żyje

Po intelektualno-erotycznej komunie studenckiej Badawczo-Wdrożeniowy Instytut Informatyzacji Miasta i Województwa wydawał mi się połączeniem statku kosmicznego, muzeum i Podstawowej Organizacji Partyjnej. Zadowalał, ale nie wystarczał. Ciągnęło mnie do czegoś innego. Ludzie wokół szli w biznes, zakładali organizacje pozarządowe lub wyjeżdżali na stałe za granicę. Instytut, zasilany finansowo z centrali, raz pędził do przodu, raz się zacinał, buksował w miejscu, mógł wznieść się w górę lub spaść na pysk. Obie możliwości wymagały bezustannego omawiania. Spotykaliśmy się w stałym gronie ówczesnych oburzonych, choć entuzjastycznych w knajpie Enigma, prowadzonej przez dobrego-na-wszystko biznesmena. Druga nitka mojej biografii zawodowej wysnuła się ze środowiska pierwszych pracowników BWIIMiW, złożonego w przeważającej części z humanistów lub niewyżytych literacko inżynierów. Ciągnęło nas do poezji, dyskusji i wina.

On, biznesmen, wyskoczył nie wiadomo skąd. Mówiono, że przyjechał ze Śląska, że zalegalizował spadek po ojcu, kamieniczniku z Londynu i żołnierzu armii Andersa. Że dorobił się na wtryskarce produkującej jakiś dinks do czegoś. Że jest synem dygnitarzy partyjnych albo po prostu handlarzem polówkowym, który zaczynał od sprzedawania marlborasów z łóżka polowego przy jakiejś Zigaretten Strasse. Nosił się godnie, używał zdań wielokrotnie złożonych, znał niemiecki. Podobał się, przyciągał spojrzenia kobiet, w eleganckim jak na tamte czasy garniturze, zdecydowanie lepiej wyprasowanym niż odzież moich starszych kolegów z pracy, i okularach „na Niemca”, czyli błyskających złotymi oprawkami. Nowy rodzaj samca, pasowałyby do mojej małej, lecz wciąż się powiększającej kolekcji.

Widziałam jednak, że leci na znacznie młodsze. Najmłodsze z dziewczyn czekających na niego przy służbowym stoliku – nie ukrywał ich przed gośćmi – mogły być czternastolatkami. Były chude, nieśmiało-bezczelne, przypominały mnie samą z czasów nauczyciela muzyki, chciały pokazać swoje prawo do pana, potrzebowały mdlących galaretek i słodkiej wódki. Dałyby sobie założyć obróżki, niekoniecznie z brylancikami, wystarczyłyby cyrkonie. Pragnęły słodkiej i stanowczej miłości, nie patrzyły na zysk. Nie

przychodziło im do głowy, żeby prosić o wpłaty na Szkolną Kasę Oszczędności, której książeczki trzymały pod kredkami w kolorowych piórnikach. Wystarczał sponsoring w zakresie samego piórnika, błyszczące i maleńkie dowody uczucia. Jaka ulga dla biznesmena, zmuszanego do zupełnie innych zakupów przez trochę starsze, bardziej wymagające branki! Czasem odrabiały jakieś zadania domowe w trzymanyh za wazonikiem i szklanką soku zeszytach. Wertowały podręczniki do nauki języków obcych, uzupełniały ołówkiem rozmówki. Żałowałam, że trwonią swój potencjał na niewdzięcznego faceta, raz czy dwa którąś zaczepiłam, ale resztki rozsądku powstrzymały mnie przed próbą uwiedzenia. Za coś takiego mogłabym zostać rozstrzelana na głównym placu miasta.

Biznesmen dawał nam, artystom, naukowcom i przedstawicielom nowej kadry urzędniczej o niesprecyzowanych zasługach, niewielki rabat i proponował urządzenie regularnych wieczorków literackich w podziemiu pałacu, którego parter dzierżawił od miasta na bardzo preferencyjnych warunkach. Snuł także inne plany, nierealistyczne i pełne rozmachu, obsadzające nas w roli wdzięcznych klientów niezbyt kosztownego mecenatu. Czuło się, że nie ma za dużo forsy, a już udaje wyższą klasę średnią. Wszystko było na kredyt. Ale wystarczyłoby na romans, gdyby nie te zmieniające się przy stoliku służbowym króliczki. I gdyby nie był łysawy i odrobinę oślizgły. Do swojej kolekcji doбираłam raczej ładnych ludzi.

Biznesmena dla siebie, Jarka, poznałam dzięki jednemu z króliczków. (Tak, w każdej kategorii można znaleźć kogoś dla siebie. Nie odrzucałam nikogo z góry, nie sądziłam po pozorach, nie dyskryminowałam). Dziewczyna nadużyła alkoholu, siedząc naprzeciwko tabliczki z napisem OSOBOM DO LAT 18 ORAZ NIETRZEŻWYM ALKOHOLU NIE PODAJEMY. Domagała się, żeby barman przywołał szefa, ale tego dnia biznesmena dla niej nie było, być może na horyzoncie pojawiła się żona. Nasz bohemiański stolik nie zwracał uwagi na rozwój akcji, od czasu do czasu rejestrowaliśmy tylko ruch między barem a stolikiem dziewczyny, jej niepewny podniesiony głos i uspokajające ojcowskie odpowiedzi starszego barmana, pana Stasia czy Czesia, profesjonalisty. Aż zrobiło się nieprzyjemnie, poleciało szkło, a dziewczyna wypaliła „On mnie, kurwa, nie będzie za darmo pierdolił!”, jakby ktoś się czegoś od niej domagał, gdy tymczasem chodziło w gruncie rzeczy o to, że nikt nie zamierzał jej teraz w żaden sposób pierdolić; przeciwnie: prosiło się małą, żeby grzecznie poszła do domu, skoro już wypila wino, i zajrzała ewentualnie jutro, gdy biznesmen być może znajdzie czas na popierdolenie za te drinki. Barman wyglądał jak wycięty z kadru jakiegoś *Bez końca*, opiekun doświadczony przez życie. „I co ja mogę?”, mówił do kogoś na zapleczu, ale naprawdę dyskretnie, tak że tylko dzięki swojemu wyczulonemu słuchowi złowiłam ten komunikat. Sądziłam, że zwraca się do biznesmena, żądającego oczyszczenia

pola, choć jeśli była z nim żona, trudno byłoby jej nie zrozumieć sytuacji.

I wtedy z zaplecza wyszedł Jarek. Był w zupełnie innym typie niż barman, moi koledzy przy stoliku, właściciel przybytku, mój pierwszy narzeczony, pierwszy kochanek, pierwszy człowiek na ziemi, radzieccy kosmonauci i amerykańscy prezydenci. Wyglądał słodko, chociaż może czułam słodycz swojego drinka; trochę przypominał pewnego znanego pisarza, którego nigdy bliżej nie poznałam, nawet kiedy miałam okazję, bo wydawał mi się onieśmielającym niedostępnym dominatorem i narcyzem. Paul Newman w rozkwicie, żeby wymienić jakieś nazwisko. Wolę Jarka nie opisywać detalicznie, nasza Ania jest do niego bardzo podobna, ponadto można w internecie obejrzeć zdjęcia i choć, co prawda, Jarek ma na nich zasłonięte oczy, to dużo pozostaje na widoku i ktoś mógłby go rozpoznać w szanowanym obywatelu ościennego państwa. Oczy miał przepastne, prześliczne, przeaksamitne. Ale nie ponadprzeciętnie atrakcyjny wygląd zrobił na mnie wrażenie, lecz to, jak Jarek rozmawiał z dziewczyną, przeżywającą w tamtej chwili najprawdopodobniej jedno z pierwszych upokorzeń, do których pewnie z czasem tak przywyknie, że będzie prowokować męża pijaka do porządnych awantur i porządnego godzenia się po nich. Zresztą może nie, może ta akurat się uratuje.

Usiadł przy niej i pozwolił jej mówić, zachęcał nawet uważną postawą i kiwaniem głową, a kiedy nabrała powietrza, coś jej krótko i dobitnie obwieścił, po czym wstał, poczekał, aż ona podniesie się z krzesła, jakby była ważną damą godną szacunku (i może pierwszy raz w życiu ktoś tak ją traktował – z szacunkiem, skądinąd nieprzydatnym i mylącym), poprowadził ją do drzwi i przytrzymał je przed nią, a potem odeszli razem w kierunku postoju taksówek. Nie dojrzałam w tej pantomimie ani śladu ironii. Podniosłam się z miejsca, żeby wyrzeć przez okno. Spodziewałam się, że mężczyzna zmieni wyraz twarzy z uważno-rozumiejącego na wściekło-obojętny, kiedy tylko taksówka z dziewczyną odjedzie, ale wyglądał tak samo, nadal wydawał się zatroskany, chociaż, prawdę mówiąc, jeśli nie gustował w podobnych aferach, powinien emanować złością, tym rodzajem powściąganej agresji, która w zwolnionych ruchach kowboja każe się domyślać gotowości do użycia broni. Młody kapitalizm nie przepadał za obyczajówką, nie prowadzili tu wyszynku z panienkami. Przeciwnie: starali się uchodzić za mecenasów kultury. Cha, cha, dodam, wybiegając nieco w przód.

Zajęty swoimi sprawami, nie zatrzymał się przy naszym stoliku, był wówczas obojętny na te wszystkie nowobogackie gesty – co miało się niebawem zmienić pod wpływem naszego romansu. Po chwili jednak pojawił się w towarzystwie współnika, który chyba czuł potrzebę zatarcia niedobrego wrażenia.

– Smakuje kawka? – zapytał główny biznesmen. – Bo właśnie mój współnik sprowadził nowy ekspres, najlepszy w mieście, tylko u nas. Jarku, dotrzymasz państwu

towarzystwa? – Niemal bezbłędnie poruszali się między mianownikiem a wołaczem. Nowa kasta.

Kawa była paskudna, jakiś tani włoski gatunek, kwaśno-gorzki, co w przypadku kawy jest dziwnym melanżem. Może mieszały mocno paloną gorzką ze słabo paloną kwaśną? Żaden ekspres nie mógł poprawić tego smaku.

– Na nasz koszt, proszę degustować.

Mecenas dziewczynek oddalił się, lawirując między gośćmi. Miał ambicję, żeby być gospodarzem w stylu włoskich jadłodajni. Dobre i to, lepsze od gangsterskich obyczajów konkurencji.

Jarkowi zależało na kawie, więc przysiadł na wolnym krześle i wdał się z nami w rozmowę o paleniu, parzeniu i dodatkowym mleku. Dawkował uśmiech, kładł dłonie na stoliku, demonstrując naturalny manicure. Wyobrażałam sobie, że wyprowadza mnie z tej sali, żeby obronić przed gorszymi od siebie. Miałam pokusę posłuszeństwa. Siadałam mu na kolanach i prosiłam, by mnie pogłaskał. Coś we mnie podniosło główkę. Popierało wybór, wysłało parę u-bootów z wizją.

Jeździłam wówczas ładą ojca, co w przygranicznym mieście oznaczało ciągle kradzieże tablic: dorabiali do nich dokumenty, żeby przewieźć przez parę granic łady kradzione u siebie. Zresztą może odwrotnie – kradli w Niemczech i sprzedawali na Białorusi. W każdym razie zawsze odkręcali nasze tablice. Ze względu na ten kłopot i wątpliwy wdzięk auta ojciec zaczął rozglądać się za czymś nowym. Jarek okazał się współwłaścicielem komisju samochodowego. Komisów. Stopniowo dowiadywałam się, że jest współwłaścicielem wielu innych obiektów, interesów, spółek. Na dobrą sprawę należała do niego cała okolica.

Biznesmen numer jeden był przy nim płotką, co pokrywał zachowaniem arystokratycznym jedynie w oczach młodych dziewcząt i w jego własnym mniemaniu. W tej parze ważniejszy pozostawał w cieniu.

Nawiązaliśmy rozmowę na temat zamienienia łady na coś mniej kuszącego dla złodziei. Wymieniał marki niskim głosem, patrząc mi w oczy. Położył między nami wizytówkę z adresem swojego flagowego komisju.

– Bywam tam dla specjalnych klientów – powiedział.

Naprawdę potrzebowałam nowego samochodu.

Tak, Jarek pociągał mnie od pierwszej chwili nieznanym mi wcześniej rodzajem seksapilu. Chciałam spróbować dla odmiany z kimś, kto ma na kolację, nie musi otwierać starych puszek. Poza tym – czemu nie? Sam się wprosił do kolekcji, a potem został fundatorem lokalu, w którym miałam zgromadzić zasadnicze eksponaty.

Można by sądzić, że to z Jarkiem było powtórką tamtego z nauczycielem muzyki, tyle

że przewagę wieku i doświadczenia zastąpiła przewaga ekonomiczna. Ale Jarek nie wiedział, że ma przewagę, z jakiegoś powodu wydawałam mu się kimś trudno dostępnym, przychodzącym z innego świata. Szkołę przeleżałam w łóżku nauczyciela, ćwicząc wyobraźnię. Studia przebalowałam, bawiąc się w narzeczeństwo. Próbowалам wszystkiego oprócz bycia obiektem starań. Z biznes-Jarkiem weszłam w ostrą fazę infantylną, być może ku chwale biologii.

Las i plaża

Zaletą Instytutu były spokojne wakacje. W letnie miesiące wymiatało wszystkich żonatych i dzieciatych, którzy oszczędzali urlopy na czas szkolnej kanikuły; mogliśmy z Sonią spokojnie dziurkować. Awansowałyśmy w ramach restrukturyzacji. Przesunięcie w tabelach. Zaufanie. Nadzieja, że raz zweryfikowane, nadamy się lepiej od innych, skłonnych do buntu jednostek. Może byliśmy, zgoda, zdolne. Do dziurkowania. Dyskretne. Zamieniane na dziurkowaną tekturę odkrycia naszych pryncypałów były u nas bezpieczne. Mimo zmiany zaszeregowania miałyśmy dalej robić to samo, tyle że teraz oczekiwano, że będziemy aktywniej uczestniczyć w planowaniu i wnioskowaniu. Po wakacjach miało się okazać, że czekają na nas wszystkie te zajęcia, których nikt nie chciał – tabele, tabele i wyjazdy do sąsiedniego miasteczka, gdzie zaczęła się epoka filii.

Tak, tam też co nieco działałam, ale nie wiem, czy znajdę miejsce na opowieść o delegacjach. Były to raczej epizody. Student zaoczny, emerytowany wojskowy. Znajomy z filii Politechniki Szczecińskiej. Ekspedientka ze sklepu z galanterią skórzaną. Niezmotoryzowany kolega z Instytutu, którego zabierałam spod przychodni przy ulicy Mariana Buczka i który zachwyił się grą mięśni na moich widocznych pod krótką spódniczką udach. Archiwista. Badaczka dziejów Papuszy. Lista wyjazdowa przemysłowym obraz w lusterku wstecznym.

Jarek – nie zamierzam ukrywać jego imienia, chociaż w archiwach prasowych czyta się o nim jako o J.J., pseudonim Ekspres (nie z powodu ekspresów do kawy) – postanowił ubogacić swoje życie, wciągając mnie na listę płac swojej spółki z o.o. Znów było lato, po kolejnym roku dziurkowania i siedzenia w kawiarni miałam dosyć mieszkania z rodzicami. Lato nie wytrzymywało porównania z najgorętszym w moim życiu latem z Hanką, ale jednak miło było nosić lekkie stroje z etaminy i wracać do domu nad ranem po ciepłych nocach pachnących miejską zielenią. Sposobu na zmianę adresu zamieszkania szukałam od pierwszego października po studiach. Żaden nie wydawał się możliwy, żaden dość atrakcyjny. Wynajmowanie jakiejś klitki z dostępem kuchni nie wchodziło w grę. Na coś sensownego i naprawdę samodzielnego nie było mnie stać. Matka zdawała się przyrastać do kanapy, ojciec wracał do domu coraz później. Nie mogłam urządzać spotkań

towarzyskich w swoim pokoju, co było mi na rękę: wolałam spotykać się z ludźmi w knajpach i w ich mieszkaniach, bo mogłam wyjść, kiedy mi pasowało.

Jarek mieszkał wystawnie, w dobrej lokalizacji, na jednym z nowych osiedli osaczających małe stare domki poza ścisłym centrum. Zawijające się właśnie spółki developerskie zaczynały od zabudowy szeregowej dla klientów korzystających z cienia PRL-owskiej ekonomii. Jarek zajmował dwa segmenty, bo – jak mówił – potrzebował przestrzeni, a nie miał czasu na budowę wolnostojącego domu, za dużo biznesów czekało na jego udział. Cóż, postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce i uruchomić mechanizm wyrównywania szans. Raz w życiu zachowałam się interesownie i miało to fundamentalne znaczenie.

Chciałam z nim w tym domu zamieszkać. Miałam zgodę ze swojej wewnętrznej fabryczki chemicznej, zanim przestąpiłam granice wypasionej osiedla. Ani żywoplot, ani ogródek, ani taras, ani zastawiony produkowanymi pod Szczecinem meblami z importu salon z wykafelkowaną podłogą nie zrobiły na mnie jednak wrażenia. Byłam miłośniczką mieszczkańskich przechodnich pokoiw dzienno-nocnych ze stołami pod oknem i ławami na wysoki połysk przed zwróconym w kierunku telewizora kanapotapczanem. Lubiłam, choć kontestowałam, przeszklone kredensy, w których eksponowało się co w domach najlepsze – butelki z zagranicznym alkoholem, kryształ, zdekompletowaną porcelanę po cudzych przodkach, ślubne zdjęcia w złotych ramkach, cukierniczki pełne cukru. Byłam przywiązana do swojego młodzieżowego sekretarzyka, obklejonego kalkomaniami, ale pojemnego jak mało które biurko. Zimna podłoga w eleganckim domu Jarka nie mogła się równać z miłym dotykiem starego dywanu, po którym biegałam do łóżka nauczyciela. Daleko jej było także do drewnianej podłogi w wynajmowanym z prawie-mężem mieszkaniu, podobnej do tej w moim rodzinnym domu – pokrytej wieloma warstwami farby olejnej, cieplej i swojsko skrzypiącej.

Krótko mówiąc – nie przepych na mnie podział. Za to pokusa wyprowadzenia się od rodziców – jak najbardziej. Matka nie przestawała opowiadać wciąż tych samych historii o niedołęstwie ojca i o swoich straconych szansach. Ojciec nie przerywał milczenia. Instytutowa pensja wystarczała na papierosy i obiady abonamentowe. Mój dwuznaczny status wciąż młodej wolnej zachęcał sąsiadów do wpadania na herbatę. Trzeba było z nimi grzecznie rozmawiać, w końcu miało się w kamienicy spędzić kolejne kilkadziesiąt lat życia. Jednemu zrobiłam w kuchni szybkiego lodu, więc wracał, ale nie chciałam przecież wychodzić za niego za mąż.

Jarek zaproponował mi zamieszkanie w nieurządzonym do końca i do tej pory prawie przez niego nieużywanym segmencie, mówiąc, że potrzebuje osobnej przestrzeni na spotkania biznesowe. Zgodziłam się prawie od razu, a ściślej: po weekendzie w nowo

wybudowanym hotelu Amber w Międzyzdrojach.

Pierwszy raz w życiu dotykałam dekadencji. Hotel stojący niemal na plaży, z własnym polem golfowym, elegancką kawiarnią, dyskoteką, fryzjerem i kto wie czym jeszcze, wydawał mi się szczytem szczytów. Pomknęliśmy tam nowym czerwonym volkswagenem Jarka („Skromnie, dla niepoznaki” – wyjaśnił). O modelu nic nie powiem, szanuję prawo ojca mojego dziecka – znanego dziś opinii publicznej z czegoś innego niż tamte biznesy – do prywatności. Tak, wbrew temu, co się słyszy, od początku, już jadąc tym volkswagenem, miałam na uwadze dobro dziecka. Nawet wówczas, gdy podświadomie liczyłam na zapłodnienie w hotelu Amber lub w szeregowcu Jarka. Nie wyobrażałam sobie zapłodnienia w moim, bądź co bądź panińskim pokoiku, z kimś jeszcze dobrze niepoznanym. Więc mknęliśmy po wybojach, z przytupem, nie oszczędzając niskiego zawieszenia na dziurach między płytami starej szosy do Goleniowa. Za Goleniowem zwolnił; wypatrywał ludzi stojących przy drodze z koszami grzybów i słoikami jagód.

– Kocham las – powiedział. – A zupełnie nie mam czasu na zbieranie grzybów.

Nie chciał kupować u byłych rolników płodów leśnego runa, by je potem ze mną czyścić, raczej szukał restauracji. Zaglądał tylko w twarze sprzedających i do ich koszy. Jakby patrolował stan lasu. Może już coś w tej sprawie planował? Nie wybiegajmy jednak do przodu. Na razie jesteśmy w drodze do romantycznego, mocnego i uzależniającego pierwszego razu. Miał u mnie punkty za restaurację, w końcu chciałam się oddać nie po to, by zająć stanowisko podkuchennej. Romantyczny i pragmatyczny – zestawienie nadzwyczaj kuszące u kandydata na ojca. Zjedliśmy w słynnej wówczas karczynie pod Goleniowem. Notowałam w pamięci kolejne zalety warte dziedziczenia: przewidujący i hojny. O wyglądzie już wspomniałam. Nie mogłam się go nachwalić i nadal dokładałam starań, żeby nie mówić źle o kimś brzemienym w skutki.

Hotel, na owe czasy kategorii „lux”, poczułam w podbrzuszu. Uderzył mnie od wejścia, wziął, zanim Jarek zrobił cokolwiek w tym kierunku. Cholera, serial *Dynastia* już wówczas chodził, miało się już wyobrażenie życia w zbytku. Kto wiedział, że budynek rozpyła feromony? Jechaliśmy bezszelestną windą pachnącą poprzednikami. Pokój na kartę – albo dodaję ten szczegół w niezgodzie z faktami, może jeszcze na klucz z metalowym brelokiem. Wszystko jedno. Wydany przez elegancką recepcjonistkę wytrych do komórki w ulu. Gładkość chodnika, gładkość ścian. Szum rozmów w obcych językach. Zapach kawy, słodczy i toaletowej świeżości. Szłam zapłodnić się najlepszym egzemplarzem samca.

Kwieciste zasłony i kwiecista narzuta dodawały pokojowi buduarowego sznytu. Była to, przepraszam, ewidentna jebalnia. Jarek wyjął z minibaru buteleczki szampana i zostawił mnie na chwilę. Czekanie. Lubiłam czekanie na mężczyznę, chyba nie mniej niż dalszy

ciąg. Czekanie wypełnione bąbelkami. Czekanie świergolące ptakami za oknem. Czekanie na jedwabną apaszkę, która związałaby moje ręce, żebym go nie rozszarpała w niekontrolowanym uniesieniu. Jak ja się w tym hotelu hamowałam, żeby go nie spłoszyć!

Wypatrywanie ludzi z grzybami zmotywowało mnie nie mniej niż szampan, nadal radziecki, ale w eleganckich malutkich buteleczkach. Nedorzecznie wystraszyłam się tego, że szukając świeżych podgrzybków, trafimy na Zenka.

Świnia na oświadczyńy

Mieszkał gdzieś w okolicy, kiedy zdałam na studia i pojechałam na obowiązkowy obóz integracyjny w pobliżu nadmorskich plaż, w pewnym nadleśnictwie nad zalewem. Mieliśmy się integrować, pomagając leśnikom w nasadzeniu lasu i innych egzotycznych dla nas czynnościach. O ekologii mało kto słyszał, od mody na sadzenie drzewek w celu ratowania Ziemi dzieliły nas lata, które miały zachwiać naszą wiarą w mądrość cywilizacji. Nie nadawałam się do tej roboty, podobnie jak nie bardzo radziłam sobie na szkolnych wykopkach.

Zenka przyuważyłam już pierwszego dnia. Woził nas traktorem z przyczepą, pełnił też rolę instruktora. Miał nami zarządzać, kiedy nadleśniczy albo leśniczy, w każdym razie jakiś człowiek w mundurze, musiał zostawić naszą grupę sam na sam z drzewkami. Żywiono pewne obawy co do tego, czy posadzimy je właściwą stroną i czy podczas przerywania rocznej szkółki nie usuniemy najlepiej rokujących egzemplarzy. Ktoś musiał pokazywać nam palcem, co mamy robić, i na bieżąco zapobiegać katastrofom. Byliśmy częścią uogólnionej katastrofy, czyli rozsypki w kraju, potrzebowaliśmy nadzoru. Zenek lubił zapalić, postać i pogadać. Właściwie pogadać oznaczało posłuchać, dać nam w mówieniu pierwszeństwo, a potem ironicznie podsumować nasze wywody jakimś dowcipem o miastowych, przywołać nas do porządku, pokazać, kto naprawdę wie, o co w życiu chodzi. Dysponował sporym arsenałem postludowych mądrości.

– Ja się miastem nie zachwykam – kwitował nasze dysputy na temat filmów widzianych ostatnio w kinie. – Tu też można co nieco zobaczyć.

Uśmiechał się całkiem inteligentnie, chociaż nie bardzo było wiadomo, co takiego można tu zobaczyć poza ptakami kryjącymi się w listowiu i przykrytymi szarym papierem toaletowym kupami. Miał prawie komplet zębów. Nieźle wyglądał jak na kierowcę ciągnika. Gibkie ruchy i niedbałość dodają pracującym mężczyznom seksapilu. Są jak zwierzęta, w tym przypadku leśne. Występują też w odmianie miejskiej, budowlanej lub regionalnej, na przykład stoczniowej. Na czyste paznokcie nie można liczyć, ale spryt w biodrach i siłę w ramionach zachowują dość długo.

– Ciągnik, ta maszyna nazywa się ciągnik, nie traktor – powiedział pierwszego

popołudnia leśny mężczyzna podkręcony szkołą techniczną.

– Okej – odpowiedziałam. – Zgrabnie ci idzie z tym ciągnikiem, może byś nam przywiózł coś ze sklepu?

– A pijecie nasze wino? Czy dla was za ordynarne? – spytał z kpinią w głosie. – Bo gatunkowych to tu nie ma, trzeba po nie do miasteczka.

– Pijemy, pijemy, co ty sobie myślisz? Na naszą kieszeń w sam raz to wasze patykiem pisane.

Zachęcony naszym entuzjazmem, ze składkowym groszem w garści jechał po wino, którego jednak w pracy, czyli w lesie, nie pijał. Piliśmy my, żeby potem leżeć pod drzewami w rozchełstanych koszulkach mundurowych i z czapkami na twarzach. Tak, mieliśmy wyfasowane mundurki Ochotniczych Hufców Pracy, szorstkie i nieprzepuszczające powietrza.

Czułyśmy się zobowiązane zaprosić Zenka na jakieś winko w dzień wolny, najlepiej w sobotę. Bardziej eleganckie, przynajmniej wermut.

– Do was nie będę chodził, przyjdźcie lepiej do Dziadka – zdecydował.

„U nas” oznaczało puste w lecie budynki szkoły rolniczej. Zenek miał swoje zasady, poza tym wolał spotkać się z dziewczynami na swoim terenie. W szkole rolniczej musiałby skonfrontować się z chłopakami. Wino dowoził całej grupie, od chłopaków przyjmował wynagrodzenie w formie paczek carmenów, ale – jak zaznaczył – umawiał się tylko z płcią przeciwną. Jakżeby inaczej, żadnych pedalskich akcji.

„U Dziadka” brzmiało jak nazwa Klubu „Ruchu”, a okazało się prywatną przybudówką do jakichś budynków niewiadomego przeznaczenia. Poszłyśmy we cztery. Dziadek był przedwcześnie postarzałym pięćdziesięcioparoletnim rencistą. Wiódł życie wolnego człowieka; zbierał grzyby, pędził bimber i wykonywał drobne prace w zagrodach sąsiadów. Rentę dostał po wypadku przy wyrębie lasu. Miał w nieprzeszkadzający, jak mówił, sposób niewydolną lewą stronę ciała. Jedynym jego zmartwieniem był brak towarzystwa. Ludzie z osady – kilka sąsiadujących z zabudowaniami nadleśnictwa domków wokół dawnego majątku zmienionego w szkołę rolniczą trudno było nazwać wioską – znali już na pamięć jego anegdoty o powojennym Szczecinie i nie chcieli oglądać notatki z „Kuriera Szczecińskiego” donoszącej o pierwszym ślubie w urzędzie stanu cywilnego przy ulicy Mickiewicza. Był to ślub Dziadka. Jego żona po paru latach uciekła, zacierając za sobą ślady. Na Śląsk, na Zachód? – naprawdę nie wiedział, ale życie mu spała. Ciągłe domysły i przepytywania – „Wiecie gdzie” – w sprawie rzekomych kontaktów z Zachodem wygnały go tu, niby niedaleko od miasta, które polubił zaraz po przyjeździe, ale jak wszyscy diabli daleko od życia, na zaplecze historii.

– Bo historia teraz w miastach – mówił przekonująco, robiąc szybki zwrot ku czasom

wojennym i wchodząc w rolę analityka. – Ale ja się dobrze czuję blisko lasu. Całą wojnę chodziłem z partyzantami.

Historia wojenna w jego wydaniu była dla nas, absolwentek dobrych liceów, nieco mętna. Przed kim ukrywał się w lesie i dlaczego po wojnie szukał azylu na Ziemiach Odzyskanych? Lekcje w dobrych liceach nie przygotowały nas na spotkanie z taką opowieścią, zresztą Dziadek kluczył i mylił tropy, nie miałyśmy pewności, w jakiej był partyzantce i czy na pewno po właściwej stronie. Na wszelki wypadek mówił nam tylko trochę, nie wiedział, czyimi byłyśmy córkami. Z tego samego powodu nie pił przy nas zbyt dużo. Tak czy owak lubił gości doceniających jego grzyby na słonince, jego domowe wino i samogon, jego gadanie.

Zenka traktował jak syna. Wystawiał go jak na giełdzie.

– Chłopak wartościowy, która zechce się przekonać? – zachwalał już po pierwszym kubku grzańca. – Niepijący, inteligentny. Dużo nie gada, nie będzie zanudzał. Do roboty zdalny. – Wyrazem twarzy dawał do zrozumienia, że nie o robotę w polu mu idzie.

Musieli prowadzić ten klub dla przyjezdnych panien od jakiegoś czasu. Letnie miesiące spędzały w osadzie nie tylko studenckie, ale także licealne grupy OHP. Nieprzebrane rzesze dziewcząt do czarowania. Zenek miał koło trzydziestki, w okolicy nie było wielu kandydatek na żonę. Czy serio myśleli o wyswataniu go z jakąś studentką lub uczennicą? Pewnie nie, pewnie był to tylko rytuał, sposób na zabicie wolnego czasu.

Kucharka ostrzegała nas przed złymi językami. Nie powinnyśmy psuć sobie opinii, kupując skrzynki wina i chodząc do wygodki starego. Nie zależało nam na opinii, Zenek i Dziadek urządzali oryginalne balangi, jakich w mieście nie uświadczysz. Najmniej na opinii zależało mnie, zdesperowanej po odejściu nauczyciela. Miałam ochotę wypić tego siarkowego wina tyle, żeby nareszcie porządnie się wyspać. Zalać robaka po czułki, zatopić w siarce. Niestety, sypiałam źle, w lesie było zbyt cicho. A siarczyny wywoływały biegunkę.

Uzależnianie Zenka od naszego towarzystwa oznaczało jego pomoc przy pracy. Weszłam w rolę sezonowej narzeczonej. Narzeczony był na szczęście nieśmiały. Nawet do lasu zakładał teraz koszulę i całkiem przyjemnie pachniał. O ewentualnym zbliżeniu nie chciałam myśleć, nie byłam aż tak nieszczęśliwa i nie ceniłam Lawrence'a: egzemplarz *Kochanka Lady Chatterley* dostałam na urodziny od nauczyciela, książka miała dla mnie wartość tylko o tyle, że on jej dotykał. Nauczyciel bywał o mnie bardzo zazdrosny, ale Zenka nie uznałby za konkurencję. Nie, zamierzałam albo szybko znaleźć kogoś fantastycznego, żeby odegrać się na zdrajcy, albo zniszczyć swoje porzucone ciało. Ale ten nawet nie drwał, zaledwie kierowca jeżdżącego do szkółek leśnych ciągnika?

Wszystko wydawało się grą, nasza piątka na górcie u Dziadka, Zenek w wyprasowanej

elegancko koszuli, gadki o ślubie. Dziadek mówi: „A usiądźże mu na kolanach, pocuj jakie solidne”. Siadałam, zachęcana śmiechem nowych koleżanek. Na wszelki wypadek nigdy nie wracałam sama do bazy, kto wie, czy Zenek wciąż byłby nieśmiały, gdyby mnie gdzieś po drodze przydybał? Czy dalej byłoby mu do śmiechu, gdybym stanowczo dała do zrozumienia, że to tylko gra w wakacje miastowych w osadzie leśnej? W lato leśnych ludzików? Miałam niejasne przeczucie, że seks z traktorzystą nie dałby się zapomnieć tak łatwo jak ten z kolegami z klasy i że te wspomnienia nie musiałyby być najcenniejsze. Nie byłam otwarta, nie byłam gotowa i w ogóle tego nie żałuję, okej? Wystawiałam Zenka na pożarcie całej naszej grupie, piłam kupowane przez niego trunki, siadałam obok niego w kabinie ciągnika, pozwalałam Dziadkowi cieszyć się pomyślnym rozwojem zdarzeń. Przed wyjazdem kupiliśmy całą skrzynkę wina i zanosiliśmy je staremu na górkę.

Po trzech tygodniach obowiązkowej integracji wróciłam do domu opalona i wypoczęta. Nie spodziewałam się żadnych konsekwencji. Osada pod Międzyzdrojami została daleko w tyle, zaczęłam pakować manatki na wyjazd do większego miasta. Aż tu nagle dzwonek do drzwi. Otwiera sąsiadka – i woła mnie, jawnie się podśmiewając.

– Ej, narzeczony do ciebie przyjechał!

Kto taki? Czyżby nauczyciel wrócił? Ulicą przeszedł Alek ubrany z szykiem, który rozśmieszył sąsiadkę? Albo inny kolega z podstawówki, z wielkim tranzystorem pod pachą, król półświatka na naszej ulicy? Tak, robił podchody, czyżby zechciał zaatakować tym razem bezpośrednio? Ki diabeł – narzeczony?

W drzwiach stał Zenek w czarnym garniturze, z niemałym, przynajmniej dziewięciokwiatowym bukietem goździków trzymanym łodyżkami do góry. Za nim – jego brat znany mi z libacji u Dziadka. Z walizką. „Wprowadza się do mnie” – zatrzepotało mi, bynajmniej nie radośnie, serce.

– Możemy wejść? – zapytał Zenek. – Nie będziemy tak w progu – wyjaśnił.

Bez traktora i lasu nie miał uroku, wyglądał na wiejskiego poczciwinę w drodze do kościoła. Starego poczciwinę, miał już wyraźne zmarszczki. Wiek ceniłam u nauczyciela, ten tu był poza grą. Typ ogorzały, robotny i niegramotny.

– Mamy trochę mięsa, biliśmy właśnie świnie – wyjaśnił brat.

– A kwiaty z kwiaciarni – uzupełnił Zenek, żebym doceniła wkład finansowy.

Wpuściłam ich szybko i zamknęłam drzwi. Czulałam ssanie w żołądku, jak dawno temu, kiedy zamykałam drzwi przed kolegą z piaskownicy, bo zapachniał czymś obcym, czego bardzo nie chciałam. Świeżym, chłopięcym potem, śladami damskich kosmetyków, przeniesionych na włosy ręką matki, pobytem w miejscach, do których sama nie zachodziłam. Może obcą szafą, a może kuchnią? Choć sądzę, że ciałem, odpychających i obcym. Innogatunkowym. Ta myśl, ledwie kiełkująca, rodziła poczucie winy, ciekawość

samej siebie i potrzebę zatrzaśnięcia drzwi. Zenek pachniał na pewno inaczej, ale wywoływał podobną, trudną do zaakceptowania po wakacyjnym niby-flircie, odrazę. Moje ciało zareagowało podobnie. Zakłuło w żołądku obok gniazda Tamagotchi.

Rozmowa, którą odbyliśmy następnie w moim pokoju, nie napawa mnie dumą. Musiałam stawić czoła sytuacji i zaznaczyć, że wakacje były piękne, ale teraz jadę na studia i nie mogę się angażować.

– Poczekam – zapewnił solennie.

Trzeba więc było przeciąć wrzód jego marzenia i dodać jeszcze, że mam narzeczonego, a tamto zdarzyło się pod wpływem świeżego powietrza. Bałam się ująć to ostrzej z uwagi na martwą świnię w ich walizce, nieobecność ojca i nieprzytomną obecność matki. Nie doceniłam sąsiadki, która najwyraźniej wyczuła (czy raczej podsłuchała), w czym rzecz, bo stawiała się w moim pokoju z sąsiadem z trzeciego piętra, który swoim zachowaniem dawał do zrozumienia, że jest właściwie u siebie. Usiadł na moim tapczanie, a potem na wpół się położył. Mógłby być moim chłopakiem, mościł się między poduszkami, jakby to były moje uda. Miał sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, nosił je bez kompleksów.

Zenek zrozumiał, że zajechał nie w porę. Nie było się komu oświadczać, nie wypadało rywalizować ze stu pięćdziesięcioma pięcioma centymetrami. Honorowo odmówił przyjęcia zapłaty za świnię i wyszedł. Próbował jeszcze przełamać mój opór i wyjaśnić nieporozumienie, pisząc list, w którym obiecywał nam osobny pokój w domu jego rodziców. Studia, deklarował, mogę po ślubie zrobić wieczorowo. Na moją twardą tym razem, a nawet niegrzeczną odpowiedź, zawierającą wręcz jakieś „nie jestem wariatką, żeby zamieszkać na wsi”, odpisał, że nie może się przenieść. Musiał mieć ostatnie słowo, więc po moim krótkim wyjaśnieniu – „Nie planowałam nigdy życia z tobą” – odpowiedział, że też nie planował, bawił się tylko moim zakochaniem.

Prawdę mówiąc, cała ta sprawa nie była taka prosta. Zabawa zabawą, chodziło w niej także o zdobycie uznania. Nie gardziłam nikim, kto okazywał mi zainteresowanie. Nie zwracałam uwagi na uśmieški koleżeństwa. Ktoś patrzył, więc dawałam mu patrzeć. Zenek się napalił, więc podtrzymywałam w nim napalenie. Akcja – reakcja. Nie umiałam jeszcze wyobrazić sobie bez tego życia.

Jadąc z Jarkiem jego niemiecką limuzyną, niespokojnie zaglądałam sprzedawcom grzybów pod kaptury. Mógł gdzieś tam stać, zniszczony już i podobny do swego mentora, Dziadka. Chyba że znalazł jednak żonę i sprawdził się w roli męża, miał po temu wszelkie dane. Pamiętałam jego kolana. Drżałam na myśl, że mógłby podejść z drugą ćwiartką prosiaka w walizce i zmusić mnie do zamieszkania w domu jego rodziców.

Przeciw porządności

W hotelu Amber miał miejsce mój pierwszy raz z Jarkiem alias Ekspresem. Odwlekanie konsumpcji uznałam za dość dziwne, ale ulegałam mu, chociaż nie bez sprzeciwu. Onieśmiało mnie wiszące w powietrzu domniemanie, iż jestem w jakiś sposób niewinna. Niewiele o sobie opowiadałam, fakt, ale nie miałam w klubie z Enigmy opinii dziewicy. Może zanim usiadł przy naszym stoliku tego dnia, gdy odprowadził nieletnią kochankę szefa do taksówki jak damę, usłyszał coś o mnie – kobiecie po przejściach?

Co we mnie odstraszało narzeczonych? Koledzy ze studiów gadali o moim niefarcie, może nawet wiedzieli coś o jego powodach. Opinia przyjechała za mną nie tylko w szarej teczce biurowej, złożonej w odpowiedniej komórce uczelni. O Hance i jej następczyniach raczej nie gadali, nie przyszło im do głowy. Uchodziły za przyjaciółki dotrzymujące mi towarzystwa w chwilach przestojów technicznych. Narzeczonego plotka zmitologizowała, zrobiła z niego brutala i egoistycznego maminsynka, być może impotentą. Nie mógł się bronić, nie znał linii ataku. Nie był, skądinąd, jedynym studenckim narzeczonym, który uciekł od razu po studiach. Minęło parę lat, sąsiadki zaczęły nade mną kiwać głowami. Każdy późniejszy powrót do domu, zwłaszcza jeśli holował mnie jakiś mężczyzna, komentowały, wpadając do nas na herbatkę. Czekwały na stały związek. Sama nie wierzyłam w swoją przeszłość, wydawała się skrojona na jakiś inny ciąg dalszy, nie na dziurkowanie, Enigmę i pokój przy rodzicach.

Jarek miał mnie za panienkę z dobrej zubożałej rodziny. Mój dom z matką w nadal fikuśnych podomkach i pantoflach, mojego ojca o szlachetnych rysach, moje wykształcenie – uznał za znamiona delikatności. Niestety. Wymyślił sobie dla mnie rolę porządnej dziewczyny.

Nie wiem, skąd się we mnie wzięła ta pogarda, nazwę ją klasową, do „porządnych” kobiet. Być może przykład matki rezydującej w naszym stołowym-salonie, który zamieniał się na noc w sypialnię, osłabiał we mnie chęć zostania żoną w podobnym mieszkaniu w jakiejś śródmiejskiej kamienicy. Co prawda, na studiach planowałam wziąć ślub, ale tylko po to, żeby zaszokować otoczenie brakiem rozwagi. Jeszcze bardziej niż stare mieszkania zastawione ponemieckimi kredensami odstręczały mnie małe

mieszkańka znajomych w mrówkowcach stawianych w nowych dzielnicach, które zagarniały stare przedmieścia. Niewielu naszych znajomych mieszkało w takich domach, ale zdarzali się. Odwiedzaliśmy ich z okazji imienin. Niskie sufity, paździerzowe szafki kuchenne, wnęki w przedpokoju. Firanczki, serweteczki. Dzieci pojawiały się w takich gniazdkach szybko, choć nie było miejsca na wózek.

W oknach mojego rodzinnego domu wisiały wielometrowe story, prane ceremonialnie raz w roku. Matka nie miała na nie dość siły, dyrygowała tylko zdzieraniem z okien firan i zasłon, myciem szyb denaturatem i ludwikiem, szorowaniem ram szorstką włosianą szczotką. Jej drużyną byliśmy ja i ojciec. Podobnie nie do udźwignięcia był dla niej kocioł, w którym gotowało się pościel. Między kuchnią a łazienką nosił go ojciec. Lubiła za to wychodzić na strych, żeby sprawdzić, czy pranie wyschło. Paliła papierosy, stojąc w drzwiczkach prowadzących na dach, chociaż strych był jedynym miejscem, w którym naprawdę nie należało palić. Mógł się zająć od jednej iskierki, drewniane belki wysuszone na wiór i uszczelniony słomą strop stanęłyby w ogniu, zanim zdążyłaby zauważyć. Wszyscy mieszkańcy kamienicy lubili puścić dymka na strychu, pety wały się po kątach. Brałam z matki przykład, też paliłam, oczywiście nie w podomce, stojąc na schodkach i patrząc na dachy śródmieścia.

Moja matka w szlafroku i domowych pantoflach z puszkiem, oparta o belkę, patrząca zamglonym wzrokiem na miasto, nie wyglądała na porządną kobietę, jeśli za porządność uznamy to, co prezentowały obrazki w czytankach. Sprawiała wrażenie przytłoczonej wizją bycia jak inne. Wydawała się zwolniona ze złudzeń. Chodziła do pracy, owszem, dbała o wygląd, ale właściwie nie prowadziła domu. O wygląd dbała nawet za bardzo, kładąc na powieki jaskrawe cienie z palety, a jakże, Polleny. Nie nauczyła mnie robić przetworów, maglować prania i unikać seksu. Miała kilka ulubionych dań, które gotowała nam w lepsze dni. Zazwyczaj jedliśmy jakieś odgrzewane, nie wiadomo kiedy przygotowywane potrawy. Z radością witaliśmy każdy nowy półprodukt na lokalnym rynku. Mrożone pyzy i parówki w puszkach. Kochaliśmy ciasta z pobliskich cukierni i lody Cassate, hit spółdzielni Społem sprzedawany w Pomorzance. Szybko nauczyłam się gotować według zasad matki: proste, niewymagające dania. Jeść na sucho, ale zdrowo, bez tłuszczu, zagryzać pomidorami, ogórkami i cebulą, bo jak ona ceniałam szczupłą talię.

Dla kogo dbała o ciało? Wklepywała w nie kremy i balsamy. Mimo że pomiatała ojcem, niewątpliwie lubiła się dla niego pozować w fotelu. Tak, w naszym domu kobieta była raczej od seksu niż od sprzątanania. Być może matka z przekąsem używała tych wszystkich „porządnicka”, „dama”, „pani domu”, kiedy gadała ze mną i moimi koleżankami. Ostrzegała nas? Tęskniła do takiej roli? Chciała dodać sobie uroku?

Z jakiegoś powodu widziałam w tym miejscu jej tyrad kobietę z kasztanowatymi

włosami do ramion, ubraną w bluzkę koszulową, spódnicę za kolana i fartuszek. W kieckę z Zakładów Przemysłu Odzieżowego „Dana”. Kobiętę schludną, z paznokciami pociągniętymi perłową emalią. Kobiętę robiącą wypieki na niedzielę. Drylującą wiśnie na przetwory, co uważaliśmy w domu za szczyt konformizmu – ojciec pakował do ust kilkanaście owoców, a następnie po kolei wypluwał pestki, celując w salaterkę z miną sztukmistrza. We wczesnym dzieciństwie wierzyłam, że je najpierw połyka, a potem wypluwa. W wieku piętnastu lat wiedziałam, że wycieranie naczyń lnianą ścierką dyskwalifikuje kobietę jako intelektualistkę. Kiedy myślałam, jaka nie chcę być, widziałam abstynentkę, moczącą dzióbek w kieliszku domowego wina podawanego z okazji imienin.

Mama, ja i nasze koleżanki lubiliśmy odwiedzać kuchnie niepracujących sąsiadek, porządnych, lecz trochę odbiegających od wyśmiewanego przez nas wzorca. Były nie tak znów szczupłe, nie tak uśmiechnięte, nie tak ciche, nie tak kompetentne. Machały z okien, przywołując dzieci na późny obiad. Wrzeszczały na mężów wracających do domu okreśną drogą, przez knajpę. Darły z sobą koty, jeśli akurat nie popijały zalewanych w szklankach kawek i dolewek. Chodziłyśmy po piętrach kamienicy grzać się w ich kuchniach pachnących pieczonym schabem i pić herbatę zaparzaną w porcelitowym czajniczku. W niedziele sąsiadki szły z mężami pod rękę, wyfiokowane przy wyglansowanych. Część zmierzała do kościoła, część na spacer do parku. Tylko niektóre pary zatrzymywały się przy cukierni. Domowe ciasto koronowało kobietę prawie tak jak dżem z agrestu. O tak, lubiliśmy ich przetwory, zupełnie inne w smaku od kupowanych w sklepie marmolad wieloowocowych.

U siebie byłyśmy inne, byłyśmy dekadencje, byłyśmy swobodne. Mama goliła nogi i nauczyła mnie kręcenia włosów na wałki. Oczywiście kręciłam jej włosy, moje nigdy nie osiągały odpowiedniej długości. Mimo tych umiejętności, a może przez nie, nigdy nie zbliżyłyśmy się do ideału. Byłyśmy dalekie od porządności, choć z innych powodów niż sąsiadki.

Odkąd wróciłam ze studiów, prowadziłam nasz nieporządny dom, mijając siedzącą w pokoju matkę z obojętnością, która ją raniła. Nie dawałam się już uwodzić, pięcioletnie oddalenie znieczuliło mnie na roztaczany przez nią urok. Nie miałam ochoty sprzątać po niej i robić dla niej zakupów. Miałam swoje sprawy. Patrzyłam ze świeżo zyskanego dystansu na swoje dzieciństwo i porównywałam je z dzieciństwem innych osób.

Porządne matki moich koleżanek, a potem same koleżanki potrafiły dobrze układać w szafkach i w swoim życiu. Nie piły nigdy tak dużo, żeby stracić przytomność, czasem wprowadzały się w nastrój paroma kieliszkami. Kończyły dobre studia, rozwieszały firanki. Nie czekały do ślubu, przywiązywały swoich świetnych, dobrze dobranych

chłopców za pomocą odpowiedzialnego „oddania się” we właściwym momencie. Za pomocą poświęcenia zasad. Spotykanie po latach bywały rozwódkami, ale zawsze z klasą. Umęczonymi domową krzątanią, ale zarazem pełnymi godności. Nienawidzącymi mężczyzn, którzy z modelowych samców zamieniali się szybciotko w opasłe wieprzki.

Moja matka siedziała w centrum mieszkania i odsuwała od siebie rzeczywistość. Z zapatrzenia wcześniej zaczęłam praktykować takie samo odsuwanie. Widziałam w tym wszystkim fatalizm kobiecego losu – w lekko przykrytej podomką melancholii mojej matki, w wyszorowanych kuchniach sąsiadek, w stukaniu obcasów jedynej upadłej kobiety w naszej klatce, Mariolki, która dawała wszystkim i podobno za pieniądze. Smutek matki wydawał się tylko trochę lepszy od uśmiechu znad ścierki, od podkrążonych oczu Mariolki.

Bałam się nieporządności, ale porządności nie chciałam. Robiłam wszystko, żeby nie trafić do paździerzowej kuchni. Prowizoryczne gniazdo, które zaczęłam więc z przejściowym narzeczonym, było swego rodzaju kompromisem. Nasze spotkania pod akademikowym prysznicem na pewno nie nadawały się na odcinek *Wojny domowej*. Nasze fantazje przekreślały możliwość powrotu na łono Kościoła, który porzuciłam po pierwszej komunii (co w domu przyjęto z ulgą; matka była w młodości członkinią Komsomołu). Jeszcze bardziej zaczęłam gardzić porządnością, kiedy zakochałam się w porządnej kobiecie. Hanka, sprowadzona w naszych fantazjach do roli obiektu, była przecież ucieleśnieniem porządności, zesłała między nas z wyniesionymi z domu zasadami, z powiekami zaciśniętymi na obrazie swojego nagiego ciała. Upadła tylko leciutko, nie robiąc sobie siniaków.

W akademiku poznałam inne nieczytankowe dziewczyny. Mało która umiała cokolwiek ugotować, może dlatego, że role kucharek były obsadzone przez matki. Większość nosiła się z hippisowska. Niedzielne poranki zgodnie przesypiałyśmy, tylko niektóre wieszały przy łózkach małe obrazki z Matką Boską. Akademikowa kobiecość polegała na wydzielaniu miejsca na intymność, małego kącika kosmetycznego. Poza tym uczyłyśmy się ostro, rywalizowałyśmy ze wszystkimi. Było kilka miękkich, które oczekiwały specjalnych względów, ale stanowiły mniejszość.

Kobiety porządne wydawały mi się interesowne, nudne, zbyt uległe lub po prostu głupie. Nie mogąc wstecznie sporządnieć, byłam bezkompromisowo niesprawiedliwa wobec całej tej kobiecej większości. Miałam wrażenie, że hodują same siebie niczym księżniczki na ziarnku grochu dla książąt – a przecież mieliśmy Polskę Ludową, jak okiem sięgnąć żadnego księcia. W latach dziewięćdziesiątych trudno się było u ekskinciarzy dopatrzeć arystokratycznych rysów, Jarek był wyjątkiem. Musiała minąć jeszcze dekada, żeby chłopaki i dziewczyny zaczęły jeździć do ślubu karetą.

Tymczasem zostałam potraktowana z szacunkiem przysługującym porządnym kobietom. Co za pomyłka! Jakież ciężar do dźwigania! Jakie wyzwanie, wezwanie do opanowania sztuki mimikry!

Jarek zaoferował mi kuchnię lepszą niż te w blokach i w mojej kamienicy. Może nie spodziewał się trzydaniowych obiadów, ale myślał, że spróbuję się potargować o pozycję, która nadałaby jego darowi odpowiednią rangę. Miał do zaoferowania sporo, więcej od niejednego, od niemal każdego, kto wchodziłby w grę. Musiałam spróbować czegoś, co znałam najwyżej w zarysie, z wykorzystywania ojca do mycia okien lub posyłania go do sklepu: działania w sprawach seksu według zwyczajowego cennika – ale pozostać przy niepodległości.

Wróćmy do hotelu Amber. Logika zdarzeń: żeby osiąść mnie w satysfakcjonujący sposób, Jarek najpierw pokazał mi swój dom i zaproponował przeprowadzkę, a potem zabrał mnie do luksusowego hotelu nad morzem. Na szczęście było jasne, że nie zaproponuje od razu małżeństwa, że gramy o podobną stawkę w sąsiednich ligach, z zastrzeżeniem że on nie jest intelektualistą. Oddałam mu się wobec tego odpowiednio do swojej pozycji wynikającej z protokołu rozbieżności i celów wspólnych. Leżąc na wznak i nie wykazując większej aktywności, żeby miał wrażenie, że robię ustępstwo. Myślałam o czymś innym, chyba o kąpieli w morzu albo o czytanej poprzedniego wieczoru książce. Powstrzymywałam orgazm, żeby mu potem ulec, dać kochankowi do zrozumienia, że rozpałił mnie niemal wbrew prawom natury, że zabrał mnie w boskie rejony. Hotel szturmował, napierał na łóżko, sprężyny jęczały, Jarek zamienił się w prośbę. Zresztą zaciskaniem mięśni trochę pomogłam tej sztuczce, która miała udać się jemu. Krzyknęłam dość przekonująco, żeby chciał więcej i więcej. I nagle zachciałam sama, jak cholera; tłumaczyłam to sobie wpływem otoczenia. Powstrzymywałam się, nie mogłam go pokochać, był za piękny. Tego przerywanego jak stosunek bez zabezpieczeń chcenia starczyło na następne trzy lata, najbardziej niebezpieczne w moim życiu.

Poczęcie drogą płciową

Ale nie od porządności zaszłam z Jarkiem w ciążę. Zawiniły wytrwale aranżowane przez niego wyjazdy. Robił interesy i lubił przy okazji pokazywać świat swojej nowej wybrance. Pierwszy raz w hotelu Amber stał się początkiem naszego rytuału. Nieoglądane wcześniej z perspektywy łóżka widoki za oknem, szybka jazda samochodem, szybka jazda na białym prześcieradle, minibar, prysznic w hotelowej łazience. Wszystko nas brało. Potrzebowałam powtórzenia, regularności w tych wypadach, w choreografii aktu na podwójnym obcym łóżku.

Samo łóżko, mebel porzucony przez Polaków na rzecz różnych rozkładanych potworów, rozpalało moją wyobraźnię. W mojej części segmentu, w naszej sypialni, raczej przez niego odwiedzanej niż zamieszkaney, mieliśmy łóżko z zagłówkami ze skaju. Kupił je, powiedział, kiedy oprowadzał mnie po domu, w Niemczech, gdzie pracował na początku lat osiemdziesiątych. Było wygodne i na swój sposób szykowne, ale nie hotelowe. Odbywaliśmy w nim poprawne, nudnawe stosunki, patrząc tęsknie na walizkę leżącą na szafie.

Pokoje hotelowe nawet w wytwornych miejscach były umeblowane dość tandetnie, trudno powiedzieć, co się nam w nich tak podobało. Może wyobrażanie sobie, ile osób uprawiało tam seks przed nami, ile będzie to tam robiło po nas, a ile robi to obok? Może w lustrach nad biurkami – po co w ogóle stawiano w tych sypialnych biurka? – widział, do czego doszedł? Z mojej strony było w tym hotelowym sporcie poczucie niechrześcijańskiego grzechu, kradzieży. Poza tym za pierwszym razem zaskoczył mnie powstrzymywany orgazm. Smakował inaczej. Chciałam powtórzyć wszystko – okoliczności i kolejność. Przebieg zdarzenia i jego intensywność.

Tak, było fantastycznie. Udawało nam się w hotelach w Bonn i w Koszalinie odtwarzać doznania z hotelu Amber, aż przechodziły w skurcze. Nawet brudnawe tapety, zapach papierosów i włosy w umywalce nie osłabiały fali wznoszącej nas gwałtownie niczym Bałtyk we wrześniowy poranek, który rozpościerał się wtedy za oknem, a którego z braku czasu nie umieliśmy docenić.

Próbowaliśmy też w innych miejscach. W koszu plażowym. W przebieralni domu

towarowego. W jego kanciapie na tyłach kawiarni. Nie byliśmy parą ekshibicjonistów ryzykantów, nie o to chodziło. Z czasem odkryłam, że Jarek lubi się pokazać przed innymi, że droga z recepcji do windy podnieca go nie mniej niż mnie czekanie, aż przyjdzie z łazienki do łóżka; zachowałam ten drobny feblik do uwodzicielskiego wychodzenia mężczyzn spod prysznic, ich zmierzania w moim kierunku, czekania na nich pod kocem, kołdrą, kapą. W hotelach pokazywał, że idzie. Nie byłam specjalnie efektywnym łupem, nabierałam wartości dzięki jego przekonaniu o mojej wartości. Prowadził do windy upadłą porządną kobietę, posłuszną i chętną. Tak, upadałam od razu. Najdłuższy w moim życiu epizod leżenia na plecach. Ewidentnie potrzebny był nam hotel, płacenie za dobę, wysiadanie z samochodu na parkingu, podawanie w recepcji dowodów osobistych z różnymi nazwiskami, niewypowiadane na głos fantazje.

Nie rozmawialiśmy o swoich pobudkach, mieliśmy alibi, oficjalne powody wspólnych wyjazdów – interesy i chęć bycia razem w wolnych chwilach. W połowie października po przedłużonym o zwolnienie urlopie wróciłam do zaawansowanego dziurkowania, ale wciąż miałam czas na wyjazdy. Coś się rozgrywało w naszych głowach, w mojej nie bez udziału Tamagotchi, które wysyłało mi sprzeczne sygnały. Popychało mnie, ale też powstrzymywało, strasząc po nocach wizjami długiego szczęśliwego życia.

Między słodkimi maniakałnymi pobytami w hotelach pędziliśmy ciekawe życie. Udawałam intelektualistkę sponsorowaną przez zakochanego biznesmena. Jarek przejął od współnika rolę mecenasa, a nawet ją udoskonalił. Korzystali na tym moi koledzy, spijali drinki po spotkaniach autorskich, które zaczęłam prowadzić w ramach wymyślonego z biznesmenem z Enigmy cyklu subtelnie nazwanego Kolacjami Czwartkowymi. Jarek zjawiał się pod koniec, dziękował gościowi i zapraszał wszystkich na skromny poczęstunek. Bardzo skromny, w kawiarni powodzeniem cieszyły się wtedy chińskie zupki podawane w chińskiej porcelanie. Zrobiliśmy krok w tył w stosunku do czasów pizzy na grubym cieście, żeby wkrótce skoczyć w przód, do owoców morza kupowanych w opakowaniach *big size*. Nieopodal w miasteczku powiatowym uruchomiono pakownię krewetek. Pracujące w niej kobiety odmrażały sobie dłonie i uczuły się na białko do końca życia. W domu czekało na mnie dobre jedzenie przywożone z pierwszego hipermarketu przy granicy. Popijałam więc gin lubuski z tonikiem międzychodzkiem, poczęstunek z wykwintnych gotowców zostawiając głodnym poetom. Jarek nie siadał z nami, zawsze miał jakąś robotę na zapleczu. W drzwiach na tyłach baru wyglądał na ucywilizowanego gangstera lub absolwenta elitarnej uczelni, zbyt przystojnego, by podjąć pracę poniżej stanowiska prezesa. Miałam ochotę iść za nim i zdejmować majtki po drodze, żeby pokazać wszystkim, że mogę tak robić, że ten silny samiec należy do mnie, że mnie wybrał. Wspólnik Jarka miał jednak wtedy kłopoty z żoną, która bez ostrzeżenia

wpadała na inspekcje.

– Groźniejsza od sanepidu – mawiał barman, który miał za sobą wieloletnią karierę kelnera w szczecińskich knajpach kategorii „lux”. – Moja kochana, szef straci w końcu wszystko – stawiał prognozę niewymagającą doświadczenia.

Było widać, że żona szuka haka. Małolaty by wystarczyły. Mnie prawie nie tolerowała, też należałam do gatunku nie-żon. Siadywałam przy barze, czekając na Jarka, który oprócz knajpy miał na głowie komisę samochodowe i kto wie co jeszcze. Nie mówił, nie pytałam. W każdym razie nie chodziłam za nim na zaplecze, żeby nie trafić na awanturę między szefem a jego żoną.

No więc zaszłam w ciążę przez seks hotelowy. Liczyła się w nim spontaniczność. Trudno byłoby spontanicznie założyć prezerwatywę albo poprosić go, żeby uważał. Cała gra opierała się na nieuważaniu – moim na niego, jego na mnie. Seks miał trwać krótko, zaboleć i zalać nas rozkoszą. Nie mogłam brać pigułek, były prawdziwymi messerschmittami hormonalnymi, mogły od nich zaniknąć piersi i rosły wąsy. Nie tolerowałam ich, próba podjęta w czasach studenckich skończyła się wymiotami w stołówce. Genialny wynalazek Gregory’ego Pincusa w wersji dostępnej wówczas w Polsce nie tylko uniemożliwiał zapłodnienie, ale też kompleksowo zapobiegał kobiecości. Ze swoimi mężczyznami praktykowałam stosunek przerywany, w ostateczności stosowaliśmy prezerwatywę. W ostateczności, gdyż produkty Stomilu były tak subtelną odmianą kondoma, jak wyrób czekoladopodobny jest smaczną wersją czekolady. Nie dało się w nich udawać, że się coś odczuwa. O AIDS nie słyszeliśmy, a choroby weneryczne dotyczyły innych. Tak, nos mógł odpaść, pamiętałam ze szkoły, ale choroby przenoszone drogą płciową dotyczyły nizin społecznych, narkomanów i kurew. Trzymanie się od takich ludzi z daleka zapewniało spokój. Do czasu pierwszych świadków i wysięków przypisywanych kontaktom z deską klozetową. A deski klozetowe w miejscach publicznych bywały straszliwe, prawdziwe czeluście odrazy, dżumy i poniżenia, czemu więc nie miałyby zarażać rzeżączką?

Nauczycielka biologii w liceum miała swoje sposoby, umoralniała nas metodą naukową, bez odwoływania się do dekalogu. Oprócz chorób grożących nam w konsekwencji narkomanii i braku higieny czyhali na nas zboczeńcy. Odmalowywała przed nami sugestywnie odrażające wizerunki homoseksualistów, konsekwentnie zwanych przez nią pederastami. Mieliśmy trzymać się od nich z daleka, żeby uniknąć fetoru spowodowanego uszkodzeniem zwieraczy. Pokazywała nam na modelu anatomicznym zasadę działania zwieracza. Część z nas dowiedziała się w ten sposób, na czym polega seks między mężczyznami. Miała talent, obywała się bez słowa „penetracja”, używała tylko nazw organów narażonych na uszkodzenia. Ulokowała homoseksualistów w rejonie szaleństw

miejskich, zanim proza gejowska upomniała się o te zapuszczone raje. Byli też ekshibicjoniści. Właśnie. Po tych lekcjach trudno byłoby ulegać przedmażeńskim pokusom. Stawiałyby to człowieka w jednym rzędzie z sadystami, zoofilami i pederastami nietrzymającymi kału. Seks inny niż służący rozrodowi już w ósmej klasie jawił się nam jako zagrożenie epidemiologiczne i coś niskiego; w liceum dostaliśmy na to naukowe dowody. Na szczęście osoby wykształcone mogły uniknąć większości niebezpieczeństw, wiedza niewyczerpaną skarbnicą.

Jarek przywoził gумы z zachodu, więc w domu owszem – używaliśmy ich. Podczas obowiązkowych aktów odbywanych trzy razy tygodniowo dawaliśmy radę z zabezpieczeniem. Na wyjazdach szliśmy na całość, stawaliśmy się dzicy. Być może po prostu byłam gotowa na dziecko, może Jarek przypadł na czas rui. Pragnęłam mieć go w sobie, czuć rozlewające się we mnie, spływające po udach i pośladkach nasienie. Po seksie nie szłam do łazienki, nie płukałam się z niego. Dawałam szansę plemnikom, chociaż nie było w tym planu. Planować dziecko? Na jakiej podstawie mogłabym poczynić takie plany? O Jarku wiedziałam tyle, że ma pieniądze, wygląda jak bóg seksu, dużo pracuje i traktuje mnie jak porządną kobietę, dopóki jesteśmy w domu.

Poczułam je w sobie pewnego ranka, gdy po raz kolejny nie miałam ochoty wstawać. Przedłużające się mdłości trzymały mnie w łazience o godzinie, o której powinnam dziurkować. A nie wypiałam poprzedniego dnia, uświadomiłam sobie, za wiele. Prawdę mówiąc, uświadomiłam sobie jeszcze dobitniej, nic nie wypiałam, ponieważ bolała mnie głowa. Skąd więc kac i wypędzające z łóżka zawroty głowy? Nigdy nie wiedziałam, kiedy powinnam mieć okres. Dziwne w czasach niedoboru środków antykoncepcyjnych, ale tak było: nie pamiętałam. Próby wprowadzenia jakiegoś takiego ładu w otrzymany w obskurnym gabinecie lekarskim kalendarzyk obrzydliwie zwany menstruacyjnym kończyły się po zanotowaniu jednego cyklu. Natychmiast zapomniałam, czy gwiazdki miały oznaczać dni płodne, czy może odwrotnie – bezpieczne. Czy na zaznaczenie krwawienia wybrałam czerwoną kredkę, czy nie miałam pod ręką innej i dlatego miesięczka jest fioletowa. Wszystkie te techniczne wykresy, z mierzeniem temperatury, z obserwacją śluzu, odbierały apetyt na mężczyznę, u wielu kobiet zresztą i tak okresowy. Kojarzyły się z porządną panią domu trzymającą słoiki w odpowiedniej temperaturze i przesiewająca mąkę przez sito.

W metodzie przerywanej nie chodziło o kalendarzyk, ale o trzymanie nasienia z daleka od środka. Uczyłam swoich mężczyzn specjalnego rytmu: najpierw byłam ja, potem oni we mnie, żeby się nawzajem poczuć, a następnie odsuwałam się od ich orgazmu na bezpieczną odległość, a oni oddawali się w moje ręce i już mogli przeżywać rozkosz. Tak było z obawiającym się odpowiedzialności karnej nauczycielem. Jego metodę uznałam za

normę. W rezultacie w moim łóżku plemniki nie miały dokąd zmierzać, umierały na płótnie. W hotelach złamałam swoje zasady, najwidoczniej sądziłam, że znajdujemy się tam – Jarek, jego plemniki i ja – poza realną czasoprzestrzenią, a mój śluz, nieznający prawie smaku nasienia, zapragnął go jak kania dżdżu. Zostałam zapłodniona i od razu wiedziałam, o co chodzi, chociaż nie miałam z czym tego porównać.

Ponownie na krawędzi małżeństwa

Nie zareagował źle, wręcz przeciwnie: wydawał się zadowolony. Mimo wszystko padło słowo „skrobanka”. Taki był system. Podczas każdej wizyty ze spóźniającą się miesięczką ginekolog wspominał o „zabiegu”. To stanowiło jedno z rozwinięć wątku. Trochę kłopotliwe, nienadające się do rozpowszechniania, ale realne. Jeden z aspektów bycia kobietą. Nasze matki znikwały czasem na dwa, trzy dni w szpitalu, przyjaciółki przychodziły blade do pracy. Trzymałyśmy za rękę koleżanki ze studiów w poczekalni studenckiej przychodni i pożyczaliśmy im w kilka małą kasę, kiedy umawiały się w prywatnym gabinecie po złowieszczej diagnozie.

Nie brałam tego rozwiązania pod uwagę. Bo właściwie czemu nie miałabym urodzić dziecka? Z jednej strony nie odczuwałam wcześniej tego tak zwanego instynktu, z drugiej – nie przerażała mnie specjalnie wizja posiadania dziecka. Niewiele o tym wiedziałam. Tak, w kuchniach sąsiadek pachniało pieluszkami, owszem, dzieci jednak widywałam na spacerach, śpiące w wózkach. Czasem zza ściany dobiegał nocny płacz niemowlęcia, ale tłumiono go dość szybko jakimiś tajemniczymi rytuałami.

Z Jarkiem mieliśmy okres godowy, po prostu. Wydawało się, że dziecko, choć stanowi niespodziankę i kłopot, należy do konfiguracji. Decyzję ułatwiła mi przekora: matka była przeciwna. Przyjęła nowinę ze szklanką zawierającą na pewno coś innego niż ziółka, w wyświechtanym szlafroku ojca. Uprała właśnie wszystkie podomki.

– Czy wiesz, że tak się kończy życie? – zapytała niezbyt grzecznie.

Początek nazywała końcem. Też nie miała instynktu, powinna już chcieć wnuka. Byłam prawie za stara na pierwsze dziecko.

– To cię udupi.

Nie lubiłam, gdy używała wulgarnych słów, a ona jakby specjalnie dla mnie miała cały zapas na podniebieniu. Zawstydziała mnie swobodą. Nie powiem, jak nazwała czynność, w wyniku której zaszłam w ciążę. Najłagodniej mówiła „pieprzyć”.

– Po co ci dziecko? Wrzeszczący bachor? I pewnie znów planujesz ślub? A ja ci mówię, będziesz przez niego płakać jak ja przez twojego tatulka.

Coraz bardziej mnie wkurzała. Byłam dla niej wrzeszczącym bachorem odbierającym

powietrze? Mój spokojny ojciec doprowadzał ją do płaczu? Skoro tak, tym lepiej. Urodzę sobie kogoś, z kim podzielę się powietrzem – przemknęło mi przez głowę. Zobaczyłam malutką dziewczynkę w uszytej na miarę podomce. Tak, będę ją ubierała elegancko. Matka dołała sobie brandy (co wyjaśniło herbaciany kolor płynu, który piła od początku mojej wizyty) i sięgnęła po album. Najpierw było dziecko w beciku, zaraz potem ja w kolejce do Królowej Śniegu. Dziecko w beciku też było mną, ale niepodobną do nikogo. Tak się zaczyna historia człowieka: od niepodobieństwa.

Rozmawialiśmy, popijając brandy i odkrywając w albumie kolejne wcielenia niepodobnego do nikogo bobasa. Jakby ciężę można było cofnąć, jakby wymagała zatwierdzenia w tym mniej więcej ósmym tygodniu, w którym byłam. Kolaudacji rodzinnej i społecznej, bo w końcu mój szef, pomięty, kurdupłowaty, kabotyński dyrektor, też mógł mieć coś przeciwko. Epoka *pro life* nawet nie majaczyła na horyzoncie. Dzieckiem można było, owszem, zaszachować i zobowiązać mężczyznę, ale w pracy nie dało się wymusić niczego poza szarmanckim ucałowaniem dłoni. W kolejkach ciężarne mogły liczyć tylko na pomrukiwanie, w przychodniach na trzydniowe zwolnienie.

Jarek nie wyglądał na postawionego pod ścianą.

– Chcesz wziąć ślub? – zapytał.

Pierwszy raz padło słowo „ślub”. Bez oświadczyń, kwiatów, pierścionków. Pierwszemu narzeczonemu oświadczyłam się sama, po pijaku, zakładając mu nie na rękę pierścionelek z kawałka włóczki. Z drugim prawie-mężem siedzieliśmy w jego kawiarni. Powiedziałam mu na pół godziny przed spotkaniem z poetą marynistycznym, który przyjechał na zaproszenie Kolacji Czwartkowych i właśnie upijał się przy barze, opowiadając barmanowi o trudnościach związanych z opłatami za mieszkanie, przydzielone mu przed dekadą przez rodzinne miasto nad morzem jako cennemu twórcy. Miał dzieci, a jakże, bardzo się wzruszał, kiedy pokazywał fotografie. Barman kiwał głową, bo nie takie historie słyszał, ale nie miał zrozumienia dla roszczeń całej tej zgrai, która nie chciała wziąć się do roboty. Patrzyłam na marynistę i mówiłam Jarkowi o ciąży, właściwie już na dobre we mnie zagnieżdżonej, bo postanowiłam urodzić tę – byłam pewna – malutką dziewczynkę i uszyć jej kwiecistą podomkę. Matka była jedyną znaną mi kobietą, która umiała siedzieć w miejscu, które uznała za wygodne, i nikomu nie ustępować. Podomka, koniecznie podomka.

W końcu mogłam zająć z kimś innym, nieodpowiednim. Z młodym poetą, studentem, naukowcem. Z rówieśnikiem na garnuszku rodziców, początkującym nauczycielem. Ale czy właściciel komisów samochodowych jest bardziej odpowiedni? Pierwszy raz pomyślałam, że to wszystko – kawiarnia, wyjazdy, samochody, waluty – jest nie do końca legalne. Nie może być uczciwe. Spotkania ze współnikami w drugim skrzydle bliźniaka.

Duże napiwki zostawiane w restauracjach. Nienormowany czas pracy. Z kim byłam? Czyj plemnik rozpoczął we mnie proces, który miał trwać jeszcze co najmniej siedem miesięcy i skończyć się nowym człowiekiem? Po rui nadszedł czas zagnieżdżania. Coś we mnie szykowało się do wykwaterowania trutnia, nadal przystojnego do bólu, ale już mniej użytecznego.

Nie, nie wystraszyłam się z powodu troski o „przyszłość dziecka”. Bałam się o siebie. Gwałtownie wytrzeźwiałam z zalewu ciążowej adrenaliny, oksytocyny, czy co tam się wtedy wydziela. Być może coś stymulowało mnie hormonalnie, może macica wysyłała sygnał do głowy. Siedzący naprzeciw nas (bo już myślałam o sobie w dostojnej liczbie mnogiej) mężczyzna miał gangsterską urodę i zupełnie do nas nie pasował. Zbyt pewny siebie, za stanowczy, za grzeczny, za przystojny, za bogaty, za doskonały. Nie podzieliłby się mną z nikim, uświadomiłam sobie. Z drugiej strony – miał pewien udział w mojej metamorfozie, trudno więc było tak prostu wstać od stolika w jego aspirującej do elegancji knajpie, zgarnąć po drodze któregoś z miejscowych pijaczków pozujących na artystów multimedialnych i pójść z nim na ławkę w pobliskim parku pogadać o poezji nowych roczników, zawierającej wulgarne określenia aktów seksualnych pomieszane z buńczuczными obwieszczeniami mocy. Trudno byłoby go zawieść, tego silnego samca, który tak łatwo wcielił się w rolę rodzica. Zwłaszcza w chwili, gdy poczuł moc i oczekiwał właściwego, pełnego wdzięczności zachowania.

– Już pewnie czas na dziecko – powiedział.

Nie wiedziałam, czy mówi o mnie, o sobie czy o nas. Niegłupio, choć banalnie. Adekwatnie. Przeleciało mi przez głowę pytanie, czy ten weekend spędzimy w hotelu. Nie zadałam go, bo zgadłam, że kończymy z seksualnymi wypadami. Będzie mnie karmił i doglądał. Okrywał kołdrą i wychodził do swoich spraw. Obsypywał prezentami i wyprowadzał na spacer. Wyczułam, że zbliża się koniec przyciągania między nami. Żałowałam. Patrzyłam na jego wyprostowaną sylwetkę oddalającą się między stolikami w niewiadomym kierunku. Postanowiłam zaczekać na rozwój wypadków.

Rzeczywiście, kiedy tylko poczuł we mnie naszą córkę, zamienił seks na dotykanie jej przez moje powłoki brzuszne. Nie śmiał, nie chciał, był przesądny. Żałowałam tego odwrotu, ale go akceptowałam. W bliźniaku szło nam, jak wspomniałam, tak sobie. Nie przypuszczałam, że i bez ślubu obsadza mnie w roli żony i do hoteli zabiera inne. W naszym wolnym związku miało nie być podejrzeń i zazdrości. Mieszkałam u niego, ale w pewnym sensie nie z nim, raczej obok. Leżałam nocami z dzieckiem w brzuchu, a on nie przychodził do mnie. Wstydziałam się okazać słabość, więc nie prosiłam, żeby przyszedł. Wiedziałam, że po porodzie odejdę. Może nie od razu, ale odejdę. Fala między Jarkiem a mną opadła i zaczęła zbliżać się do dolnych poziomów depresji, zamieniona

w inkubacyjną troskę.

Ciażę znosiłam świetnie. Nie przeszkadzała mi nawet abstynencja seksualna, znałam jej granice i traktowałam ją jak konieczne dla zdrowia odtrucie. Sonia zabawiała mnie w pracy historiami strasznych porodów, o których słyszała od ciotek, kuzynek i znajomych. Szykowała się do wyjścia za swojego wieloletniego narzeczonego – mieli szansę na własne M, jego matka obiecała je załatwić, pod warunkiem że się pobiorą. Sonia okazała się tradycjonalistką, planowała ślub w katedrze. Siedziałyśmy od paru lat w wypełnionym szczelnie biurkami pokoju trzy metry na cztery, a ja nie wiedziałam, że jest praktykującą katoliczką. Z naszych rozmów o seksie nic podobnego nie wynikało.

– Powinnaś wziąć ślub – mówiła. – To już nie żarty. Jesteś odpowiedzialna za dziecko.

O religijnej stronie życia nie wiedziałam zbyt wiele. Rodzice nie chodzili do kościoła, większość dzieci z mojej klasy nie poszła do komunii, w liceum byli oazowcy, którzy w nieoczekiwanych momentach wyciągali te swoje gitary, ale na co dzień nie gadało się o tym. Niektórzy nauczyciele faworyzowali oazowców, owszem, dało się zauważyć. Inni mieli sznyt lewicowy, także wyraźny. W domu, póki żyła babcia, czasem pozorowaliśmy katolicyzm, przyjmując księdza czy idąc poświęcić jajka. Na spotkaniu klasowym, tym samym, po którym poszłam do łóżka z Alkiem, dziewięćdziesiąt dziewięć procent zebranych okazało się katolikami. Pozostały jeden procent to ja, ale nie odważyłam się do tego przyznać. Zmilczałam i tyle. Podałam się bez walki. Pielgrzymki, fotografie z bierzmowania dzieci, krzyżyki między piersiami, datki na Kościół, poparcie dla prawicy. Część z nas wychowała się w robotniczym śródmieściu, w rodzinach żyjących nie bardzo po bożemu, ale z sakramentami. Część skorzystała z partyjnych układów rodziców. Okej, nie moja sprawa, uznałam, wodząc wzrokiem za Alkiem, ojcem chrzestnym dzieciaka kumpla z klasy.

Jarek, okazało się, nie myślał o ślubie innym niż kościelny.

– Termin w urzędzie da się załatwić od ręki, nie wiem, co z Kościołem – powiedział tego dnia, gdy ponowił propozycję. – Chciałabyś mieć duże wesele? U nas?

Leżałam tyłem do niego, obejmował mój ledwo zarysowujący się brzuch z zauważalną czułością, bez zamiaru dotykania mnie samej. Zobaczyłam siebie w białej sukience i przypomniałam sobie wesołkowate odgrywanie ślubu z pierwszym narzeczoną. Nasze „biorę sobie ciebie” wygłaszane w pozycji niestojącej.

– Nie chcę ślubu – powiedziałam, bojąc się obrócić do niego przodem.

Sprzeciwiałam się drugi raz. Trzeciego podejścia nie będzie. Sprzeciw w naszym związku pojawił się wraz z dzieckiem i nagle wyraźniejszą przyszłością, której nie braliśmy pod uwagę w podróży po hotelowych przystaniach rozkoszy. Przedtem nie był potrzebny. Jarek nie proponował niczego, czego nie mogłabym, nie chciała od razu dla

niego zrobić. Z drugiej strony – biała sukienka żony nauczyciela...

– Dla mnie papier nie ma znaczenia – zadeklarował jeszcze przy kawiarnianym stoliku. – Jeśli wolisz, możemy poczekać do rozwiązania. Ale zadbajmy o fasolkę – dodał i tym czułym według niego słowem przekreślił swoje szanse na zostanie Księciem Małżonkiem I.

Ale mimo wszystko był subtelny. Nie pomyliłam się tego pierwszego dnia, gdy wpadł mi w oko. Rozumiał, że powinien otoczyć nas opieką, wyglądać dziecka, mówić do niego, zanim „przyjdzie na świat”, podzielić się z nami dochodem z komisów samochodowych i czego tam jeszcze. Założyć dynastię. Ale jaką dynastię?

Moja matka w podomce, ojciec z teczką pod pachą, kuchnie sąsiadek. Jarek nie przedstawił mnie swojej rodzinie. Twierdził, że nie ma właściwie nikogo. Byłam jednak pewna, że gdyby przyszło do ślubu, zaraz ktoś by się znalazł. Kopie kopii ciotek znanych z autopsji. Chciałam go, póki był pod tym względem sterylny. Ograniczony do jednego egzemplarza.

Kiedy ciąża zaczęła być widoczna, witali go w kawiarni entuzjastycznym „Jak tam szefie, dorobione paluszki? Niech szef uważa, żeby zrobić wszystkie”, a on uśmiechał się jak przystało na ojca. Pilnował, żebym piła soki i mleko. Wierzyło się wtedy bardzo w soki i mleko. W cytrusy. W apetyt za dwoje. W śledzie. W mieszanki witaminowe z Niemiec. W kieliszek czerwonego wina „na krew”. Docieńcie, że z tego ostatniego nie korzystałam, nie piłam byczej krwi, znałam prawdę na jej temat.

Nasza córeczka urodziła się w czerwcu. Chciał nazwać ją Ania. Dałam mu ten przywilej – możliwość wybrania dziecku imienia. Patrzyłam na niego jak ktoś, kto odszedł, ale nie wie jeszcze, jak daleko. Miałam mentalnie spakowaną walizkę, czekałam na odbudowę sił, gromadziłam zapasy. Wolałabym, żeby to on odszedł, bo gniazdko było wygodne. Wyglądałam okazji do ostatecznej zdrady, przeprowadzonej z miłosiernym znieczuleniem. Los przygotował tak korzystną woltę, że do dzisiaj jestem mu wdzięczna. Komu? Losowi. I Jarkowi też, zgoda.

Arytmetyka

Co prawda, to był przekładaniec, nie codziennie planowałam odejście i niezbyt stanowczo. Hormony robiły swoje, siedziałam w gniazdku, wystawiając na zewnątrz tylko czułki. Póki co w naszej luksusowej jak na tamte czasy niesakramentalnej norce układało się nam dobrze. Ponieważ szykowałam odwrót, byłam dla Jarka czuła. Widziałam w nim pacjenta skazanego na niechciane procedury medyczne. Znałam to, prezent na pożegnanie. Wolałam odejść, zanim mnie porzucą, ale zanim odeszłam, byłam wielkoduszna.

Opływałyśmy z Anią w dostatki, miałyśmy kompletne wyposażenie kącika dziecinnego według zachodniej mody i ubranka raczej powyżej standardu enerdowskich Kaufhausów. Jarek, pachnący delikatną wodą po goleniu, starannie ubrany, codziennie przed wyjściem do swoich komisów pochylał się nad nami, śpiącymi w łóżku ze skaju udatnie imitującego skórę. Był głową rodziny. Nie zarywał nocy, sypiał nadal w drugiej, nazywanej biurową, części segmentu, którą wolał i przedtem. Nie chciałam go w tym całym mleku, zapachu świeżego białka, małych kałużach i słodkich wypadkach, co przyjął ze zrozumieniem. Żeby utrzymać porządek, zatrudnił pomoc domową, panią Stasię, podobno matkę kolegi – nie znałam kolegi, a ona niewiele mówiła o rodzinie. Nie, bynajmniej, nie tylko płacił, nic takiego nie powiedziałam. Zabierał naszą córeczkę na spacer. Podejmował moją matkę, trudną do rozpoznania bez podomki; jakoś się z nią dogadywał, mieli wspólne tematy, których brakowało mi z każdym z nich z osobna.

Dobrze, niech jeszcze i to. Instynkt miałam rozmieszczony inaczej niż znane mi matki. Koleżanki opowiadały o swoim osamotnieniu po urodzeniu dziecka. Czasem o bezradności, nawet rozpacz. Większość z nas macierzyństwo zamykało w lepkiem świecie biologii. Odizolowane od społeczeństwa hodowałyśmy w sobie młode, żeby po wydaniu ich na świat w ponurych szpitalach wypełnionych zapachem krwi zamienić się w fabryczki mleka. Spędzałyśmy całe dni w domach pachnących dla odmiany pełnym cyklem pieluszkowym. Dźwigałyśmy wózki, za ciężkie dla kobiet. Chętnie wracałyśmy do pracy, żeby uwolnić się od tej błogosławionej roli.

Nie zaznałam tego wszystkiego. Części – tak. Nawet za pieniądze nie dało się uniknąć

losu kobiety. Szpital wspominał niezbyt dobrze, potem, w domu, było lepiej. O ile jednak koleżanki opowiadały o unikach mężczyzn, o tyle ja sama stałam się jednym wielkim unikiem. Dużo fantazjowałam, nieniepokojona przez Tamagotchi, które wciąż uprzejmie drzemało.

O wyjściach Jarka z domu coraz częściej myślałam jako o „wyjściach na robotę”. O sobie jako o uwięzionej kobiecie z rodziny Corleone. O przyszłości jako o ciągu dalszym harlequina, gdyby harlequiny miały ciągi dalsze. O nim jako o przeszkodzie na drodze do jego konta. Rozdarta między chęcią spędzenia reszty życia w przesiąkniętej mlekiem pościeli a niechęcią do wstąpienia w legalny związek, planowałam morderstwo. Bezkrwawe, bezbolesne.

Kobieta gotowa na zapłodnienie widzi mężczyznę w lepszym świetle. Obiektywnie rzecz biorąc, Jarek był piękną sztuką, ale kiedy spełnił zadanie, dostrzegłam jego wady. Za bardzo celebrował swoją przystojność. Zbyt dosłownie traktował moją kobiecość. Był, niestety, przewidywalny. Okazał się nieco nudny. Zdrowy, zrównoważony, bogaty, uprzejmy. Idealny dawca. Nie wiedziałam jednak, czy przeczytał w życiu jakąś książkę. Nigdy nie brał udziału w czwartkowych spotkaniach – przypominałam sobie. Przychodził przywitać się i pożegnać, ale przecież nie słuchał. To my, zwłaszcza ja, prowadząca, narażeni byliśmy na wywody narcystycznych autorek i autorów, na ich agresywne odpowiedzi, na nedorzeczne głosy z sali. Pan właściciel stawiał chińską zupkę i nocleg w hotelu zdecydowanie marnej kategorii. Wchodził na scenę i zaraz ją opuszczał. Uprzytomniłam sobie też, że nigdy nie rozmawialiśmy; nawet ceniłam to nasze natychmiastowe przechodzenie do akcji bezpośrednich. Wizja spędzenia kolejnych lat w akcji bezpośredniej z Jarkiem zaczęła jednak wywoływać u mnie doprowadzające do mdłości i uczucia pustki ssanie w żołądku. Tamagotchi podnosiło łepetynę, a musiałam dopełnić cyklu.

Oto prawdziwa historia mojego samotnego macierzyństwa, niczego nie ukrywam. Dalszy ciąg związku z Jarkiem mógłby zostać opowiedziany na kilka sposobów. Nie był banalny i okazał się lepszy, niż mogłabym wymyślić. Należało poszukać wyjścia. Po miesiącach zawieszenia w niezwiązku byłam niegotowa na nieszystko. Plusy: dziecko i mieszkanie. Minus: ojciec dziecka i właściciel mieszkania. Nie, nie planowałam zabójstwa na poważnie. Skalkulowałam wszystko i napisałam mały donos.

Tak, znałam prokuratora, małego ryżego z mojej podstawówki. Nadal był mały i ryży, robił błyskawiczną karierę. O lewych biznesach Jarka nie wiedziałam wiele, ale wystarczająco dużo, żeby zainspirować śledztwo. Poszłam z małym ryżem na spacer do parku Kasprowicza. Zasugerował, żebym napisała anonim z mocną argumentacją. Zrobiłam, jak radził. Pisałam przy naszym wspólnym stole, nasłuchując odgłosów domu.

Szybko włożyłam list do koperty, zakleiłam, wysłałam, wrzuciłam do skrzynki.

Zapomniałam. Z prokuratorem kochałam się od czasu do czasu, żeby nie zapomniał o obietnicy: autorstwo anonimu nie wypłynie w śledztwie.

Sprawy były rozwojowe, Jarek przestał nocować w domu. Pakując walizkę, patrzył na śpiącą Anię. Przeszliśmy do jego połowy segmentu, żeby asystować w przygotowaniach do trochę tym razem dłuższego wypadu. Mówił mało i niejasno. Wyjął coś ze skrytki. Napisał na kartce papieru nazwisko kogoś, kto miał coś wiedzieć jakby coś. Nadawał do mnie szyfrem. Utwierdziłam się w samopoczuciu kobiety mafiosa. Nie odjechał swoim czerwonym volkswagenem (zostawił na stole kluczyki, dokumenty i umowę na moje nazwisko), wsiadł do bmw z przyciemnianymi szybami. W drzwiach się zawahał, spojrzał przez ramię na swój wygodnie urządzonego segment i usiadł na stołku kuchennym, powtarzając gest naszych przodków, którzy przysiadali przed podróżą. W tamtej filmowej chwili byłam gotowa wziąć z nim ten ślub, zatrzymać go jednak, takiego właśnie – silnego i podłamanego, mojego Ala Pacino uciekającego przed odpowiedzialnością, tajemniczego człowieka z blizną po operacji wyrostka. Na szczęście poszedł, zanim padłam przed nim na kolana, by przyjąć wyroki losu i zostać niewolnicą łaskawego, choć w gruncie rzeczy chyba dość marnego pana. Tak, w tle leciała powtórka *Niewolnicy Isaury*.

W gazecie przeczytałam, że ojciec mojego dziecka ma ksywkę Ekspres. Nie od parzenia kawy. Nadały mu ją panie lekkich obyczajów. Nietrudno się domyślić dlaczego. Same prostytutki nie występowały ani z nazwiska, ani z ksywki. Reporterka miejscowej gazety unikała upodmiotowienia ich, chociaż opisy zdradzały fascynację przybyszkami nie wiadomo skąd. Wyobrażałam je sobie jako bliźniacze siostry dziewczyn ze szwedzkiego kalendarza wiszącego na makatce w mieszkaniu sąsiada, który reperował moim rodzicom wszystko, co się w domu psuło: suszarkę do włosów, kolanko pod zlewem, junkersa, gniazdko elektryczne i palniki w kuchence gazowej. Pan Złota Rączka nie miał nikogo, mieszkał samotnie w jednym pokoju przyklepionym do zasiedlonego przez wieloosobową rodzinę mieszkania na trzecim piętrze. Wszyscy go lubili, był niezbędny, zastępował nieistniejący system usług w domu klienta. Lubił ładne kalendarze z przesadnie wygolonymi, jak się mawiało, paniami. Szwedzkie przodowały na rynku, choć dwie dekady później sprzedawanie seksu miało zostać w Szwecji całkowicie zakazane. Jak jakiś biznes dobrze idzie, wpada policja i przestawia łóżka – mawiał sentencjonalnie barman z Enigmy. prostytutki, otoczone aurą grzechu i nieszczęścia, choć także zazdrości, nie miały jeszcze wówczas opinii ubezwłasnowolnionych ofiar handlu ludźmi. Sypały, żeby nie mieć kłopotów z prawem, czuły się częścią rynku. Nie przyszłoby im do głowy, że policja, świeżo powstała z milicji, stoi po ich stronie. Podzielały w tej kwestii wątpliwości prawie całego społeczeństwa.

Bywałam już w różnych związkach. Tradycyjne jeden plus jeden od zawsze uznawałam za kompromis. W końcu stałam wśród pielgrzymów do grotty z Królową Śniegu, czekając na swoją kolej w bardzo poliamorycznym układzie. Pogodzona z losem, nie rzucałam się do gardeł innym dzieciakom. Dziewczynki na podłodze mojej łazienki cały czas potrzebowały zapewnień, że jest z nami On, kimkolwiek chciały, żeby był. Monogamia bolała – nauczyciel kazał mi ukrywać moje istnienie, a potem do naszego jeden plus jeden dodał jeszcze jeden. Zresztą kto wie, ile osób było w jego klasie. Małżeństwu przypisałam kształt trójkąta. Ze studenckim prawie-mężem dusiliśmy się we dwoje, potrzebowaliśmy otwierania okien. Dopiero Hanka dała nam poczucie pełni. Mój duet z nią okazał się efemeryczny. Do Zenka chodziłyśmy grupą. W pokojach hotelowych nawet bez urządzeń na podczerwień można było zobaczyć ślady poprzedników. Alek kochał się ze mną wewnątrz opowieści o swoim małżeństwie. A będą jeszcze inne konfiguracje. Jeśli ktoś sądzi, że to nowe wynalazki – bardzo się myli. Poważnie, kiedy naprawdę chodziło o jeden plus jeden, z ewentualnym ciągiem dalszym w postaci dziecka? Na całe, dajcie spokój, życie? Czy nic wam nie mówi popularność takiej, na przykład, *Mody na sukces*?

Ale tego się nie spodziewałam. W łóżku Jarka było nas o wiele za dużo. Sznyt hippisowski, spóźniony w Polsce o dwie dekady, już się wypłukał, a o *Big Love* nikt nie słyszał. „Facet to zawsze facet”, jak powiedziała starsza pani z serialu *Hotel Zacisze* po nieoczekiwanym kontakcie ze zmarłym klientem szalonego Basila.

Atmosfera się zagęszczała. Alfons Ekspres został ostrzeżony, jak przypuszczam, więc postanowił zmienić miejsce pobytu. Nie pomagałam mu w pakowaniu, zajęta dzieckiem. Było mi smutno. Wychodził z domu, do którego niedawno mnie sprowadził, przystojny i skupiony na swoich sprawach. Na chwilę odzyskał w moich oczach atrakcyjność, ale nie było odwrotu.

Telefonował czasem w umówione miejsca, uprzedziwszy mnie przez prawnika albo znajomych. Szłam do matki, jechałam do biura w jakiejś firmie transportowej. Odbierałam telefon po trzech sygnałach. Pytał o córkę, o formalności związane z przejęciem przeze mnie domu, możliwym dzięki dyskretnemu zapisowi u notariusza. Był porządnym facetem, przekonywałam się o tym na każdym kroku, instynkt naprawdę mnie nie zawiódł. Brzmiał dobrze, pewnie. Był też na swój sposób inteligentnym, wrażliwym człowiekiem, chociaż nie mieliśmy wspólnych tematów. Na odległość wydawał się wrażliwszy i bardziej inteligentny, dzielące nas kilometry działały jak feromony podczas pierwszych hotelowych eskapad. Czułam sympatię i ulgę. Nie mówił, skąd dzwoni i co robi. W końcu, nawet nie zauważyłam kiedy, rozpląnął się na długie lata, żeby wyłonić się w nowej, niewiarygodnie pasującej do całości roli.

Podczas procesu pozostałych członków grupy, której okazał się filarem, wyszły na jaw

deprymujące fakty. Nieobecny, ścigany listem gończym Jarosław J., pseudonim Ekspres, specjalizował się przede wszystkim w sutenerstwie. Był także koordynatorem przemytu kradzionych samochodów, owszem, ale nie to zmienia faktu, że jego prawdziwą pasją były kobiety. Samochody wpadły mu do grafiku trochę przypadkiem, kiedy rynek prostytucji zaczęły opanowywać gangi ze wschodu. Nie było co czekać na zmianę trendu, w biznesie obowiązuje zasada elastyczności. Niewykluczone, że ktoś z góry kazał mu mieć oko na wózki, jak czerpiąc z bogatego zasobu gwar Pomorza Zachodniego, nonszalancko nazywaliśmy lepsze auta.

Dziewczyny Ekspres kochał, zeznał świadek koronny w sprawie o zabójstwo na tle porachunkowym, który sypał przy okazji na rzecz sąsiedniej wokandy. Ksywka wzięła się stąd, że załatwiał się z dziewczynami bardzo szybko. Ot, wyszedł z narady i po pięciu minutach był z powrotem. Nie szczypał się w tańcu. W czasach Enigmy i naszego hotelowego romansu był już kimś – konstatowałam z pewną dumą – zaliczył staż szeregowca, awansował. Nie musiał osobiście dopuszczać się czynów przestępczych, raczej je nadzorował. Czerpał korzyści. Zarządzał. Tak, był alfonsiem, ale jakim! Puszyłam się do lustra, czytając artykuł w „Morzu i Ziemi”.

Prawdopodobnie właśnie te sprawy załatwiał podczas naszych wspólnych wypadów. Kto wie, może zanim do mnie przyszedł, wpadał na numerki do tirówki? Nie, tirówki nastąpiły później, w ramach demokratyzacji rynku. Policja zaczęła mieć pełne ręce roboty, ekologiczna troska o czystość zachodniopomorskich lasów służyła za przykrywkę pogardzie wobec stojących między drzewami kobiet. Wypisywano mandaty „za zaśmiecanie lasu”, skoro prostytucji jako takiej nie można było karać, a alfonsów łapać. Organizujący proceder mężczyźni byli agresywni i niebezpieczni dla kobiet. Policja także się ich bała. Tirówki kojarzyły się ze śmieciem, stanowiły nieestetyczny element na tle zieleni. Pieskie czasy. Jarek swoim dziewczynom wynajmował lokale, to znaczy pokoje na tyłach jakichś klubów albo mieszkania w mieście. Nie narażał kobiet na złe warunki atmosferyczne. Był z innego pokolenia, podaż kandydatek do zawodu w pełni zaspokajała trzymany pod kontrolą popyt, nie opłacało się robić krzywdy chętnym do prostytuowania się dziewczynom. Tak sobie próbuję tłumaczyć podwójną naturę mojego alfonsa – cenił kobiecość i pracował w branży opartej na wyzysku kobiet.

W szkole uczyli mnie, że gnijemy od spodu. Mężczyźni w garniturach byli poza podejrzeniami. Uczyli mnie też arytmetyki – jeden plus jeden plus ile? Z iloma kobietami użytkowałam w tym samym czasie tego samego samca? Chciałam go zapytać, z ciekawości, nie nadarzyła się już jednak okazja. Przestał telefonować, zszedł głębiej – poinformował mnie prawnik. Nie przysyłał do mnie kumpli, jak w filmach o gangsterach, żeby zapobiec zdradzie, postraszyć i zobowiązać do lojalności, na moje konto nie wpływały

tajemnicze kwoty. Dostałam coś w rodzaju jednorazowej zapomogi, dyskretnie wypłaconej w biurze prawnika. Poradził, żeby trzymać pieniądze raczej u znajomych niż w domu lub na koncie. Pół bliźniaka, przekazane zapisem ze wsteczną datą, było moje. Do drugiej połowy wprowadzili się jacyś nieznajomi, kupili ją przez pośrednika. Prokuratura dość szybko dała nam spokój – Jarek miał z nimi *deal*, powiedział mi jego wspólnik, lepiej żebym nie znała szczegółów.

Doszłam do wniosku, że okej. Jedna plus jeden plus iks równało się pół bliźniaka i dziecko. Ilu by do wstępnej dwójki nie dodał, opłacało mi się. Postanowiłam założyć czasopismo kulturalne, żeby kontynuować dzieło zapoczątkowane Kolacjami Czwartkowymi. Tak, byłam na dużym plusie. Lubiłam siebie razem z nadwagą i chichoczącym potworkiem, który właśnie zaczął się budzić.

Pani redaktor nie tańczy, bo ma dziecko

Do redakcji, podnajmowanej za symboliczną złotówkę od biznesmena numer jeden, który okazał się w opinii prawa uczciwy i miał za duże zaplecze, przychodzili starzy nudziarze, młodzi zdolni nie wiadomo w jakiej dziedzinie oraz nieśmiałe dziewczyny. Do pierwszego składu wzięłam kumpli z Instytutu i z Kolacji Czwartkowych, ale się rządźli i chcieli robić nudne pismo w stylu „Zeszytów Literackich”, tyle że zamiast nazwisk z pierwszej ligi zapraszali swoich kolegów z miast jeszcze mniejszych od naszego albo tłumaczyli dawno przetłumaczonych klasyków dwudziestego wieku, narażając mnie na kłopoty z prawem. Daleko jeszcze było do dyskusji o domenie publicznej, ACTA czy pięćdziesięcioprocentowych kosztach uzyskania przychodu, ale nawet w kraju małego języka mogli nas wytropić agenci bardziej zaawansowanych kultur. Koledzy oczekiwali, że wszystko za nich załatwię, i odstraszałem sensowniejszych autorów zawiłymi i spóźnionymi odpowiedziami na ich maile. Nie wspominając o tradycyjnej korespondencji, która wówczas wciąż była najpopularniejszym środkiem komunikacji – żeby skłonić któregoś z nich do napisania kartki pocztowej, trzeba było dać mu butelkę wina, a w końcu nie zamierzałam roztrwonić posagu. Nie zniżali się do robienia korekt, pisania wniosków do wyrastających jak grzyby atomowe fundacji czy mycia szklanek. Mówili tak głośno, że od przekrzykiwania ich bolała mnie przepona, a goście kawiarni skarżyli się, znudzeni pełnymi wulgaryzmów białych wierszy o zapaści cywilizacji. Ścianki z dykty nie dawały izolacji akustycznej. Moi redaktorzy chcieli organizować czwartki, podczas których mogliby prezentować własną twórczość. Zawsze byli gotowi odczytać swoje wiersze. Ba, znali je na pamięć. Pisali eseje interpretacyjne, które koniecznie trzeba było składać ich ulubioną zabierającą dużo miejsca bezszeryfową czcionką.

Na szczęście byłam u siebie, przytomnie zarejestrowałam tytuł na swoje nazwisko. Podziękowałam zdolnym miejscowym krytykom oraz poetom i zaczęłam pracować z dziewczynami. Chłopcy śmiertelnie się obrazili i od razu założyli konkurencyjne pismo, ale nie dotrwało ono do następnego lata: nie było komu wydawać poleceń, genialne koncepty zawisały w próżni. Podczas któregoś kolegium redakcyjnego podobno nie tylko się poobrażali, ale nawet pobili. O drobnych incydentach z zarzyganymi stołami nie warto

wspominać.

Też miałam kłopoty kadrowe. Sonia odmówiła, zajęła się małżeństwem, co wypełniało jej większość czasu. Nie siedziałyśmy już razem w pokoju, przeniosła się piętro wyżej, do gabinetu analityków. Potrzebowała zmiany perspektywy. Moje redaktorki reprezentowały skrajnie różne podejścia. I. była zainteresowana osiągnięciem efektu w pracy, wypuszczeniem kolejnego numeru. B. interesowała się autorkami. I. płaciłam, B. załatwiała dotacje.

Pierwszy numer zrobiliśmy z tego, co miałyśmy w teczkach. Musiałyśmy pokonać zastój – odkąd w redakcji nie było panów redaktorów, autorki przestały przychodzić. Ale nie trwało to długo, jakby zbierały się na odwagę. Po paru tygodniach siadały na naszej skórzanej kanapie i opowiadały o swoich planach artystycznych. Chłopcy też przychodzili, ale dość szybko odkryłam, że nie muszę czytać wierszy o snuciu się i prozy o snuciu się oraz podbojach miłosnych, a także o wywołującym snucie picie whisky i paleniu marihuany. Nie bardzo wchodziły mi również teksty o ojcach pijakach oraz o niewiernych kobietach. Wejrzawszy w siebie, stwierdziłam, że nie biorą mnie wszystkie te ujęte retrospektywnie tematy – ojcowie, młode kochanki, snucie się i picie, muzyka, przygody w wielkim mieście i powroty na prowincję – mające w tle teksty poprzedników, którzy również pisali o polskości i ją dekonstruowali, niezupełnie zarzucali pytania metafizyczne i balansowali między odpowiedzialnością a jej brakiem, co zawsze prowadziło ich do snucia się i picia, a także do ogólnego i szczególnego pieprzenia.

Dokonałam pospiesznego remanentu wątków i motywów, które mogłyby mnie zainteresować, i stwierdziłam, że w literaturze współczesnej najbardziej interesują mnie blondyni do dwudziestego piątego roku życia i szatynki powyżej dwudziestego piątego roku życia, bez względu na to, jakie stosują poetyki, choć z lekkim przegięciem w stronę prozy. Zaczęłyśmy wtedy w trzyosobowym damskim zespole bardzo intensywnie redagować kwartalnik „Bez Kompromisów”.

Teksty można było przynosić wyłącznie osobiście. Postawiłyśmy na relacje interpersonalne, nie chciałyśmy bezosobowych kontaktów przez pocztę, zwłaszcza elektroniczną. Założyłyśmy zeszyt przyjęć. Liczyło się to, jak autorka, z rzadka autor, potrafi się zareklamować, na ile przekonująco mówi o swoich utworach i czy ma ochotę dopuścić do głosu projektowane czytelniczki – jeszcze chodziły te kategorie strukturalistyczne, nikt nie mówił o konsumentkach, czytelniczka stanowiła konstrukt czysto teoretyczny, o którym rozmawiało się, jakby był zrobiony z białka. Czytelniczka miała mianowicie zarezonować, żyć w tekście i wystawiać głowę w rzeczywistość. Zaczęłyśmy organizować wieczorki pod nazwą „Morze empatii”. Bywali na nich i autorzy, choć tych w odpowiednim wieku i przejawiających cień oryginalności pojawiało się

niewielu i większość okazywała się gejami. Brałyśmy ich teksty, ale bez przesady, w końcu nie zainwestowałam pieniędzy Jarka w gejowski biznes, chcieliśmy coś z tego mieć.

– W. przyniesie nam na cycku numer – mówiła I., bo nie byliśmy pewne, jakie słowo się przyjmie.

„Cycek” pasował do stylu, klęłyśmy gęsto, bo nic nie przychodziło na czas i nikogo to nie interesowało. Miałyśmy przygody jak z filmu Barei, chociaż produkowałyśmy zupełnie naziemnie, żaden tam drugi obieg, w pierwszych latach wożenie egzemplarzy starymi samochodami, noszenie w plecakach było jednak naszym chlebem powszednim.

Pertraktacje z plastykiem, szalonym, niesłownym i zamykającym przed nami drzwi, ale niezastąpionym i utalentowanym w sposób obrażający wszystkich pozostałych w mieście. Mam od tego rozwalony kręgosłup. Od zadzierania głowy pod jego oknem, noszenia paczek, jeżdżenia z plecakiem na międzynarodowe spedy z budżetem pod tytułem „najwyżej pociąg drugiej klasy”, kiedy koledzy znów jakoś nie docierali na stację, rozdyskutowani w knajpie kategorii dawniej drugiej, nad dawniej kuflami, obecnie szklankami, za to pasteryzowanego piwa. Chciałabym dostać legitymację kombatancką, ale przecież nikt mi nie uwierzy, że to było bohaterstwo. Gdybym dźwigała drugoobiegowo, podziemnie, byłoby o czym pisać, a tak?

I w tym wszystkim pojawił się pierwszy mac, pierwsza pamięć w cycku, pierwsze aresztowanie komputera, na którym ktoś po godzinach na masową skalę piratował muzykę i filmy dla pierwszej wypożyczalni płytek, umiejscowionej zresztą tam, gdzie niegdyś mieścił się bar Bambino. Muza i płytki, uczyłyśmy się tego idiotycznego języka, bo chciałyśmy docierać do młodych. Do cholery, przecież same byłyśmy wtedy młode, a dałyśmy się przekonać, że są jacyś młodszy, mający większe prawo do swojego języka, do naszego świata. Młodszy z prawem, starszy z zasługami, a pośrodku my, naiwniaczki, zarzucające sobie na plecy więcej, niż ktokolwiek byłby w stanie udźwignąć. Swoje przeniosłyśmy, a teraz miałyśmy się posunąć, spierdalać na drzewo, bo czekało nowe pokolenie stowarzyszone z pokoleniem dziadków w sprawie słusznych praw do terytorium. Burowie zawarli sojusz z ludźmi Mandeli, no nie? A my mogłyśmy się ewentualnie dosłownie posunąć we własnym gronie, byle dyskretnie. No ale ja się nie posunęłam i teraz opowiem, jak było. Może ktoś się wystraszy, choć pewnie nie tak wielu. W dupie mają, z sobą trzymają. Ale gęby mi nie zamkną, nie ma mowy. Opowiem, jak było, nie patrząc na korzyści i straty.

Tamagotchi leżało w tym czasie podsuszone, malutkie. Przez całą ciążę zaledwie parę razy uprawiałam seks. Musiało odsunąć się gdzieś w zakamarki trzewi, żeby przetrwać. Odpasione za czasów Jarka na campari z sokiem pomarańczowym, małpkach

z hotelowych lodówek i słodkiej spermie, miało pewien zapas, który wystarczył do końca ciąży, ale od porodu marniało z tygodnia na tydzień i szykowało się do ataku. Podlane herbatą Lipton z mlekiem – napojem matek karmiących – postanowiło przez pewien czas nie wypuszczać toksyn. Tak, mogło rzucić się na dziecko, przenieść do ciała małej Ani, odebrać jej spokojny sen. Ten sposób rozmnażania – atak na członków rodziny – dobrze znało. We mnie weszło prawdopodobnie przez ulubiony kubek matki.

Było to pewnego wrześnieowego popołudnia. Matka siedziała w fotelu, jak zwykle otoczona aurą miękkiej kobiecości, przebrana w swój domowy uniform, rzewnie zapatrzona w przeszłość. Była piękna, chciałam się do niej zbliżyć, jak dawniej, gdy siadałam jej na kolanach po powrocie z przedszkola, ale wysyłała mnie wciąż po coś do kuchni, do łazienki, do sklepu. Przyniosłam jej mocną herbatę plujkę w moim kubku, jej ulubionym. Sprawiało mi przyjemność, że pije z mojego naczynia. Musiała sobie czegoś dolewać, bo niezmiennie był do połowy napełniony. Kubek niewypitek. W końcu zwinęła się w kłębek w rogu tapczanu, przykryta podomką. Kubek stał na kompaktowym stoliku, z którego wyrastała lampa zrobiona z żyłki. Wypiłam duszkiem resztkę herbaty i delikatnie odstawiłam porcelitowe naczynie z wizerunkiem Królowy Śnieżki na blat ze szkłopodobnego tworzywa w esy-floresy.

Zauważyłam szyjkę butelki wystającą z trzeciego elementu tego supernowoczesnego mebla: z gazetnika, który stanowił jego dolną część. Matka lubiła przedmioty kryjące w sobie niespodzianki, pojemniki, schowki. Trzymała w nich mniejsze i większe flaszki. Chowała je także pod zlewem, w zamrażalniku, za licznikami prądu, za rurą w łazience, w służbowym segregatorze. Trzeba było uważać z dokładaniem do pieca, a także z robieniem prania, które uznała za swoją wyłączną domenę. Trzeba było małym łyżkiem sprawdzać każdą otwieraną butelkę z kompotem i każdy napoczynany słoik z ogórkami kiszonymi. Czasem nie chciało mi się szukać, bo nie wiedziałam, co robić – wylewać czy przestawiać, oddawać ojcu czy pokazywać jej i ją zawstydząć. Prosić czy krzyczeć. Brałam większy łyk i odchodziłam do swoich lekcji, zabaw, koleżanek albo siadałam przy niej.

Tamagotchi wysłało we mnie swoje potomstwo, na wszelki wypadek kilka malutkich potworków w jednym łyku. Zauważyło, że lubię podpijać z butelek w barku, że wybieram z bombonierek czekoladki z rumem. Rumem, nie ajerkoniakiem. Wiedziało, że mam dobrą, dobrze transportującą krew po matce. Wiuuu. Wpadły gładko do gardła, wyminąwszy moje równiutkie ząbki. Rozbiegły się po przelyku i dalej, niżej. Kilka maluchów wbiło we mnie macki i przygotowało się na długą posuchę. Miałam jedenaście lat, nie byłam gotowa, choć już też nie całkiem zielona. Dla stworka wysłanie desantu stanowiło jedyny sposób na przetrwanie: matka wołała herbatki od tego, czym się żywił.

Po tym pierwszym kubku przekonałam się, że matka nie pamięta. Zaczęłam po niej

dopijać część przygotowywanych ukradkiem mikstur, zawierających pewną dozę herbaty i cukru. Miałam nadzieję, że w ten sposób poprawię jej kondycję, że będzie się po swoich krótkich drzemkach lepiej czuła, a rano jej oczy będą błyszczące jak dawniej, nie tak bardzo podpuchnięte i matowe. Zaczęła nosić okulary, narzekała na pogorszenie wzroku. Miała cały arsenał chorób, którymi się przed nami zasłaniała, żeby móc leżeć w podomce na tapczanie z kubkiem w ręku. Nie wspomniałam chyba, że rodzice byli księgowymi? Ojciec pracował w zakładach drobiarskich, matka w szkole – dlatego wracała dość wcześnie, zawsze przed ojcem. Nigdy nie brała nadgodzin. Dzięki swoim drzemkom oraz, tak sędzę, mojemu podpijaniu zachowała młodość.

Jedno z tych małych rozrosło się we mnie, zadomowiło, być może wypuściło kolejne odnogi. Nie chodziło mu o alkohol. Przez alkohol tylko się przeniosło. Kazało mi iść w miasto, podsycalo moje pragnienie. Całymi latami lizałam kobiety i mężczyzn, żeby dostarczyć mu pożywienia, zasłużyć na spokojną noc. Nie wiem, co z pozostałymi. Czy były gotowe do desantu na moją córeczkę? Uległy presji tego największego, które wyrosło na monstrum, i odeszły? Bo wciąż mimo wszystko sądziłam, że Tamagotchi jest smokiem wawelskim, nie miałam porównania. Niebawem zmienię zdanie, ale powoli, powoli. Cięża onieśmieliła je, nie miało dość sił, żeby zaatakować – a może też miało instynkt rozrodczy. Ania tego nie ma. Po latach zacznę myśleć, że niestety.

Zabierałam Anię na dyżury redakcyjne. Wprowadzała ład w obyczaje „Bez Kompromisów”. Nie oddałam jej ani do żłobka, ani do przedszkola, dobrze pamiętałam własne pobyty w instytucjach wychowawczych tego typu. Niby była tam Królowa Śniegu, ale także leżakowanie, grudki w zupie, zajęcia ruchowe. Opieka dziadków nie wchodziła w grę. Ojciec wracał z pracy coraz później, matka coraz wcześniej. Synchronizacja była niemożliwa. Zatrudniłam opiekunkę. Żeby na nią zarobić, wynajmowałam część swojej części bliźniaka. Spędzałam z Anią dużo czasu, susząc Tamagotchi, opętana wizją szczęśliwego życia z córeczką. Ale natura ciągnie wilczyce do lasu.

Pierwszy wyłom zrobiłam podczas wakacji nad morzem. Ania sypiała ponad godzinę w ciągu dnia. Wystarczało na szybkie wizyty. Lekkie oszołomienie i lekkie otrzeźwienie. Nie musiałam nigdzie chodzić, zapraszałam do siebie. Po wakacjach stosowałam tę metodę także w domu, ale wieczorami. Kładłam Anię czule, brałam prysznic, zawsze byłam gotowa ją przytulić, gdyby zapłakała. Zażywałam seksu niedużo, tyle żeby poczuć rozjaśniające uderzenie idące od brzucha do mózgu. Czasem przesadzałam, potworek tańczył obscenicznie, dziecko wierciło się w łóżeczku. Wracałam do mniejszych dawek, bojąc się wpadki. Czasem robiłam to sama z sobą, zwłaszcza w okresie grypowym, żeby nie wnosili do domu zarazków.

W każdym razie często zabierałam dziecko do redakcji, więc nieczęsto uczestniczyłam

w redakcyjnych rytuałach. B. rozwinęła całkiem interesującą działalność. Trudno było mieć do niej pretensje: dziewczyny siadały na brzeżku kanapy, wyjmowały z toreb i torebek manuskrypty, czekały na zachętę. B. miała dla nich dużo czasu, rozmowy przeciągały się do późnych godzin wieczornych. Zostawiałam redakcję otwartą, wracałam do domu zawsze przed dwudziestą. Ania musiała dostać kąpiel, bajeczkę i buziaka. Dopiero gdy usypiała, siadałam z jakimś tekstem, z którego wynikało, że autorka ma potencjał.

Masz talent

Nie poznałam jej w pierwszej chwili, ani nawet w drugiej. Uporczywie próbowała się przypomnieć.

– Pani przychodziła do Enigmy od początku, prawda? Często tam bywałam.

Ubrana punkowo, na czarno, nie kojarzyła się z żadną z młodych kobiet, które przesiadywały wtedy w tym lokalu. Ach tak, minęły trzy lata, mogła się zmienić. Ja wyglądałam cały czas tak samo, na ulicy rozpoznawali mnie dziwni brzuchaci panowie i zaondulowane panie, podobno znajomi z przedszkola, podstawówki i liceum. Nie doceniałam zmian wprowadzanych przez upływ czasu.

– Odwiedzałam szefa – powiedziała ze znaną mi nutką w głosie.

Podobnie zaznaczałam swoje prawa do nauczyciela muzyki. Dawno temu. Dziewczyna Jarka? Jego dziewczyny nie pracowały w Enigmie, miały inne rewiry, wiedziałam już wówczas o przynajmniej trzech burdelach, które kontrolował, rozwijało się dziennikarstwo śledcze. Dziewczyna biznesmena? Tak ubrana? Na czarno? Gustował w lolitkach.

– Nie pana Jarka. – Jakby czytała w moich myślach. – Nie pani męża.

– Nie byłam mężatką – sprostowałam. Słomianą wdową po mocnym zawodniku, tak, owszem. – Jarek nie był moim mężem.

W „Bez Kompromisów” stawiałyśmy na szczerść. Drukowałyśmy słabe teksty ładnych dziewcząt. Brzydkie musiały dobrze pisać, więc miały szanse dotrzeć do innych czasopism, jeśli pracujący w nich redaktorzy przyjmowali teksty przysyłane mailem, co zaczęło się upowszechniać. Nie potrzebowały naszego poparcia. My wyrównywałyśmy szanse. I tak poziom miałyśmy wyższy od przeciętnego w chłopackich periodykach, nie da się pisać tak źle jak faceci z ambicjami.

– No wiem, ale w sumie jakby był. Bardzo miły, nikt nie wierzy w tę jego działalność przestępczą – zapewniła skwapliwie. – Ja przychodziłam do właściciela – dodała.

Coś zaczęło mi majaczyć, wspomnienie dziewczyny w obcisłych różowych spodniach, jednej z kilku wytrwalszych.

– Stare dzieje, trochę inaczej wyglądałam – pospieszyła z wyjaśnieniem.

Powołała się na znajomość, a teraz próbowała pokazać, że nie jest nachalną nastolatką, na którą trzeba nasyłać ochroniarza. Chciała zostać.

– Mam na imię Asia. Mówią na mnie J.A., tak się nazywa zespół, który zakładam. Piszę ostatnio sporo o sprawach damsko-męskich, ale krytycznie – wprowadziła mnie w istotę trzymanego na kolanach tekstu. – Jestem, jak by to powiedzieć, w momencie zwrotnym. Zrywam z uzależnieniem od mężczyzn. Szukam wyrazu swojej kobiecości.

– To interesujące – rzuciłam niezobowiązująco.

Niepokoili mnie objętość wydruku. Wiedziałam oczywiście, że czasem wystarczy rzucić okiem, zwykle wystarczy, ale gdyby teksty okazały się choć trochę dobre, czyli nie do końca beznadziejne, musiałabym ślęczeć nad nimi nie wiadomo jak długo. Papierowe sformułowania, które stosowała, żeby mnie przekonać, nie działały odstrasżająco. Byłam przyzwyczajona. Autorki przygotowywały sobie wystąpienia jak na spotkanie rekrutacyjne. W internecie zaczęły funkcjonować strony z wzorami CV i listów motywacyjnych, powstawały organizacje pozarządowe doradzające w sprawie fasonu garsonki, wysokości obcasów i rodzaju makijażu. Nie za obcisłe, nie za wysoko, nie za mocno. Brzmiało jak doradztwo erotyczne. Rosło pokolenie cefalek.

– Asiu, przyjmujemy zwykle teksty po wstępnej selekcji. Kolekcję dziesięciu wierszy albo dziesięć stron prozy – zaznaczyłam. – Ważny jest tu wybór autorski. Spójność, tematyka, forma.

– Piszę i prozę, i poezję, właściwie to takie pomieszane – oznajmiła. – I trudno byłoby mi wybrać. Wszystko wydaje mi się ważne. Dominacja mężczyzn, nasza samoobrona. Marzenie o wspólnocie. Dużo czytam, *Mistykę kobiecości* na przykład. W oryginale. I w sumie wolę, kiedy się do mnie mówi J.A., bardzo proszę, nie Joanna d’Arc. Chociaż ja nie dałabym się dorwać. Raczej na pamiątkę niż w geście identyfikacji – zaznaczyła na wszelki wypadek.

Joanna d’Arc. Coś w tym było. Szarżowała w moją stronę z lancą w dłoni, na końcu jaśniał wydruk. Mówiła z dużym przekonaniem, wychylając w moją stronę górną część ciała. Nogi trzymała razem, nie zanurzyła się w naszym nieco za głębokim fotelu, siedziała na brzeżku napięta jak przed skokiem do głębokiej wody. Trochę za drobna, żeby usadowić się wygodnie – specjalnie je tam sadzałyśmy, same raczej tego fotela unikałyśmy, chyba że któraś z nas zamierzała pospać – miała idealną cerę i naturalne włosy ciemnoblonde założone za ucho, w stylu grzecznej sekretarki, nie ostrej laski. W czasach szefa, o ile pamiętam właściwą osobę, musiała je farbować. Szarej myszki nie zapraszały do służbowego stolika. Wybierał umalowane, z widoczną lolitkowatością. Wyglądała na naszą modelową autorkę. Spokojna, ale zaangażowana, nawet żarliwa, bardzo ładna. Punkowe ciuchy nie ukrywały jej zgrabnej sylwetki, nie były w stanie. Jej

chabrowe oczy były ocienione długimi rzęsami. Jeśli dobrze nazywam kolor – nie wiem dokładnie, jak wygląda chaber, ale ten kolor dają oczom bohaterek ulubieni autorzy mojej matki. Wyższy stopień wdzięku. Nie potrzebowała makijażu, ale chyba była lekko podmalowana. Wyobraziłam sobie, że gdzieś, może na brzuchu, powinna mieć tatuaż, nieadekwatny do obecnego wyznania, coś poświęconego dawnym miłościom zrozpaczonego dziecka. Przynajmniej kwiatek, sprytnie zakrywający inicjały. Później miałam się przekonać, że brzuch ma ciasno opięty skórą bez pieprzyków, blizn, o tatuażach nie wspominając. Szkoda. Na szczęście. Pokaleczone bohomazami ciała były jeszcze przede mną. Moje pokolenie zaczęło od bransoletek na kostce, jej doszło do kolczyka w pępku. Następczynie używały igieł i tuszu, wierząc we własną niezniszczalność.

– Masz swój ulubiony wiersz? – spróbowałam.

Nie miałam czasu na brnięcie przez te na oko sto stron „i poezji, i prozy”, zwłaszcza pomieszanej.

Zaczęła nerwowo wertować kartki, a ja odeszłam na chwilę od redakcyjnego stolika, żeby nalać nam wina z butelki schowanej za biurkiem.

– Wino pasuje do poezji – wyjaśniłam.

– Nie piję dużo – zaznaczyła najpierw, a zaraz potem wychyliła duszkiem kieliszek, który jej podałam.

– No to jak? Przeczytasz coś?

– Może to. – Usiadła pewniej, głębiej.

Wysokie buty zasłaniały jej łydki. Przez niedbale, trzeba w tym było docenić zamysł artystyczny, wyciętą w dzinsach dziurę widać było kawałek uda. Zauważyłam, że nie nosi stanika, pod koszulką z logo jakiejś grupy nieznanego osobom w moim wieku odznaczały się sutki.

– Dobrze – zaczerpnęła powietrza.

Czytała mocnym głosem, na tym jednym wdechu.

Jesteś świnią mówię do niego

A on i tak robi swoje

Bo takie jest przeznaczenie mężczyzny

Wieczorami wracają do domów

Do ciepłych żon i dzieci

A w dzień urywają się na świńskie kwadransy

Płacą za nie lub nie płacą

Biorą pod siebie gładkie ciała

Lepiej od tyłu żeby nie widzieć twarzy
Kupują za ledwie wisiołek z serduszkim
Nie pomyślą o prawdziwych potrzebach dziewcząt
Jesteś świnią ale cię Kocham
Mówię do niego i chciałabym
Zamienić się z jego żoną dzieckiem
Psem kotem kanarkiem
Spać z tą świnią w jej chlewie
Z tym chrapiącym nawet w trakcie wieprzem
Bo taki mój los
Maciory w rui która nie przestanie
Zanim nie dostanie od niego cudu
Dziecka lepkiej mazi kłamstwa

Siedziała teraz zupełnie swobodnie, jak po egzaminie. Poprosiła o więcej wina.

– Hm, tak. Bardzo proszę.

– Podoba się pani? – zapytała.

– O tak, w zasadzie bardzo mi się podoba. Odważnie.

Byłam jednak zakłopotana. Że on świnią, okej, ale że ona też świnią? Że to o mnie?

Wyczuła moją maciorowatość?

– Coś w tym jest, może ten punkowy styl?

– Właśnie – ucieszyła się. – To taki feministyczny punk, wiedziałam, że pani zrozumie.

Zakładałam z koleżankami kapelę. Ale to się do grania nie nada, nieregularność metrum – wyjaśniła ze znanstwem.

Rodzice chętnie łożyli na jej wszechstronne wykształcenie, w tym na naukę gry na zmieniających co roku instrumentach. Opanowała podstawy kilku. Nie w ognisku, jak ja, pobierała prywatne lekcje. Edukacja bezstresowa, w luce oddzielającej PRL-owski szkolny dryl od prywatnych i społecznych wytlaczarni talentów. Łyk swobody za pieniądze. Zmarnowane, bo to pokolenie z niczym nie dochodziło do końca. Nawet nie pobrzękają u cioci na imieninach, a na koniec zamkną się w pokojach ze słuchawkami na uszach.

Rozumiałam. Oczywiście, mogłam wziąć ten wiersz i wybrać jeszcze ze dwa utrzymane w podobnym tonie.

– Niepokoi mnie jednak maciora – zagaiłam delikatnie.

– Właśnie, maciora. – Wyglądała na bardzo zadowoloną. – Od razu pani zauważyła. Od razu! Wszyscy mówią, że pani ma pałec.

– Nietrudno zauważyć, bardzo ładnie czytasz J.A., sugestywnie – wyjaśniłam na wszelki wypadek.

Nie zależało jej na tym etapie na ładności, przecież widziałam. Wszystko, co pod spodem, wyglądało ładnie, czarne, jakby lekko poszarpane ciuchy nie mogły tego zniwelować, na tym zgrabnym ciałku błyszczała zbroja, która odbijała puste komplementy.

– Cały ten rytuał patriarchalny tak widzę. Nie tylko oni są jak świnie, nazywajmy rzecz po imieniu. My też maciorzejemy – zaszalała słowotwórczo, potwierdzając swoje poetyckie kompetencje.

Gdzie wobec tego mistyka kobiecości? – pomyślałam, ale nie zdecydowałam się zadać tego zacofanego pytania. Była niezwykle uzdolniona, widziałam to. Narzucała wysoki standard. Agresywna intelektualnie, można nawet powiedzieć. Agresywnie ładna. Czym się przed nią popisać? Sutenerem?

– Może chciałabyś trochę z nami popracować?

Przyszło mi to do głowy niespodziewanie. Miała potencjał, przenikliwe spojrzenie, była krytyczna. Mogłaby selekcjonować teksty, nie przedarłoby się nic landrynkowego, waniliowego, pomogłaby nam ostro skręcić ku niemistycznej kobiecości. Od pewnego czasu czułyśmy potrzebę takiego skrętu, prawdziwej zmiany. „Bez Kompromisów” szło na zbyt wiele ustępstw, żeby nie zrażać przyzwyczajonych do nabzdyczonego stylu mieszanej redakcji prenumeratorów z poprzedniego rozdania.

– Ja? – Zaczerwieniła się nieadekwatnie do poetyki. – Oczywiście. Mogę dołączyć w każdej chwili.

Widziałam ją kręcącą się zgrabnie w glanach i ramonesce wśród rozłożonych wszędzie papierów. Zradyzalizowałabym jej styl, powinna koniecznie założyć parę łańcuchów i zarzucić wielkie litery. Zdolna bestia, z każdą chwilą bardziej przekonywałam się do niej. Po prostu poetycka maciora, niejednemu dorodnemu wieprzowi każe chodzić za sobą na sznurku. Kończyłyśmy butelkę, wpatrywała się ze skupieniem w moje usta. Każde padające z nich słowo, powiązane z przeczytanym wierszem czy nie, zawisało tuż przed jej wargami i delikatnie je muskało, domagając się, by je wpuszczono. Mówiłam z ust do ust, tylko lekki powiew docierał do ucha; bardzo malutkiego, zdążyłam zauważyć, kiedy odwracała się profilem. Spijała ze mnie niezależną opinię, a ja przypominałam sobie wszystko, co ostatnio i na studiach przeczytałam na temat rewindykacyjnej twórczości kobiecej. Przeniosłam się do niej na fotel, usiadłam najdalej, jak mogłam, ale oczywiście na tym dwuosobowym meblu nie dało się siedzieć w zbyt dużej odległości od siebie. Podwinęłam pod siebie nogi, dotknęłam kolanami jej boku.

– Nie przeszkadzam ci, J.A.? – zapytałam obłudnie.

Wiedziałam, że nie czas, nie od razu, na dotykanie. Raczej mimowolne muśnięcia, lekkie otarcia, przelotne kładzenie ręki na ramieniu, owiewanie karku oddechem, kiedy będzie siedziała przy moim komputerze. Przyjmowanie od niej szklanki w taki sposób, żeby uwięzić na chwilę jej palce pod swoimi. Doprowadzenie teraz do aktu seksualnego byłoby lekkomyślne. Chodziło o to, żeby trzepotała rzesami, uwięziona w moich dłoniach, nieznająca dnia ani godziny, gotowa na wszystko. Na początku własnej hodowli tamagotchi (widziałam, że jakieś ma) poczuła smak odrzucenia, byłam więc pewna, że wydana na moją łaskę nie zrobi pierwszego kroku. Zbuntowana dziewczynka, gotowa sama siebie nazywać maciorą, byle oddalić pamięć dawnego wcielenia zabawki. Rogata duszyczka, niebojąca się złych języków, najwyżej bólu, od którego gryzłaby nocami palce. Jak dobrze ją znałam! Pachniała mlekiem i czymś przypominającym odświeżacz powietrza, czyli zapewne jakimś modnym dezodorantem. No tak, obok fotela stał karton mleka, więc ona tylko tym dezodorantem. Zawsze gdy otwieram mleko, napływa do mnie wspomnienie tamtej pierwszej fali i ogarnia mnie na parę sekund przeczucie rozkoszy. A zaraz potem mdłości, bo zasadniczo od czasów przedszkolnych mleko wywołuje u mnie odruch wymiotny. Do dezodorantów o zapachu odświeżacza powietrza nie przekonają mnie nawet najintensywniejsze spełnienia.

Zaczęła dla nas pracować. Dość pilnie, choć chimerycznie. Trudno było wyznaczać jej stałe dyżury, zmuszać do nielubianego czytania szczotek, czy prosić o cokolwiek, co nie budziło jej entuzjazmu. Z drugiej strony do każdego nowego zadania zabierała się ze słomianym zapałem. W dwa dni i dwie noce przygotowała nam bibliografię zawartości numerów, ale kiedy już tylko parę kliknięć dzieliło nas od zamieszczenia bibliografii na stronie, nie była w stanie załatwić tej sprawy z administratorem sieci. Wysyłana z numerami do prenumeratorów zapomniała wziąć od nich podpisy na przygotowanej w ostatniej chwili liście. Na maile autorów – nasza tradycja! – nie odpowiadała właściwie nigdy, chyba że miała do nich jakąś sprawę; najczęściej taką, żeby przeczytali jej wiersze. Redakcja zamieniała się w agencję promującą jedną autorkę. Nie pierwszy przypadek w historii świata, gdy zasady w pracy poddano grze namiętności. Dziewczyny patrzyły na mnie z troską, ale na szczęście jedyne prawdziwe pieniądze w tym wszystkim nadal pochodziły z mojego konta.

W międzyczasie J.A. zdecydowała, że woli poezję, co początkowo przyjął z ulgą – sama wolałam czytać prozę. Szybko się przekonałam, że to nie jest dobre rozwiązanie. Do druku przyjmowała tylko to, co mogłaby napisać sama, była kompletnie nieczuła na inne rodzaje wrażliwości. W dodatku potrafiła wyprodukować dziesięć wierszy w ciągu doby i domagała się komentarza. Z tym bywało krucho. Wyczerpałam zasób pochwał, a na korekty nie byłyśmy gotowe. Wiedziałam, że aby zachować autorytet, powinnam radzić

zmianę słowa lub dwóch w każdym wierszu, co kilka zachwycając się krystalicznością przekazu. Zdecydowanie nadużywałam słowa „mocne”. Ona zdecydowanie przesadzała z sytuacjami lirycznymi, w których pełno było kopulacji i niesprawiedliwości. Aż dziw brał, że jeszcze ktokolwiek chce kopulować, i przede wszystkim – że J.A. chce o tym pisać. Pożyczałam jej tomiki Ewy Sonnenberg, ale nie bardzo rozumiała aluzję. Tyle że przypadły jej do gustu, co pozytywnie wpłynęło na mój autorytet.

Po paru miesiącach przestała zajmować się sprawami pisma. B. skwitowała ten fakt złośliwym komentarzem, I. przyjęła go z ulgą. Obie wolały pracować bez pomocnic. J.A. przychodziła po prostu posiedzieć, odpakować listy, przeczytać nam na głos jeden, dwa wiersze z nadsyłanych tomików, opowiedzieć fabułę widzianego niedawno filmu. Patrzyłyśmy na nią znad roboty, B. z przyjemnością, I. ze złością, ja z niedowierzaniem. Kręciła nami, chociaż miało być odwrotnie, to my miałyśmy ją wykorzystywać.

Nie, w końcu się z nią nie związałam. Trochę seksu, ale nic poza tymi kilkoma razami w redakcji, kiedy obie byłyśmy zbyt napalone, żeby kontrolować sytuację. Cały plan trzymania jej na dystans do momentu, kiedy stwierdzą odpowiedni stopień zmiękczenia, legł w gruzach z powodu nalewki przyniesionej przez portiera. Portier, pan Janek, nie wyglądał na typowego przedstawiciela swojej profesji i istotnie nim nie był. Gdy zabrakło jego mocodawców, został w budynku, z którego niegdyś prowadził rozpoznanie operacyjne. Melancholijnie ciecował i szukał sobie rozrywki. Robił świetne nalewki i dzielił się nimi. Skrywały moc pod pozorami słodczy i intensywnego aromatu skórek czy pestek. Upiłyśmy się trzecim kieliszkiem. Tak wyglądał pierwszy raz – zrzuciła czarne ciuchy, pod spodem miała majtki ze Snoopym, też czarne, oczywiście. Zsunęłam je z niej końcami palców, żeby nie dokazywać przy dzieciach.

Próbowała zdyskontować naszą bliskość, przynosząc więcej wierszy. Nie знаła umiaru. Zostawałyśmy po dyżurach. Tak jak przypuszczałam – była słodka, ale monotematyczna. Nasza bliskość, puszczone na żywioł i zagadywana poezją, jeszcze nie rozwinęła się w nic złożonego, a już zaczęła mnie nużyć. Wolałam etap uwodzenia. Nie przewidziałam, choć powinnam była, że miała na stałe wdrukowany syndrom ofiary. Gdybym uważniej czytała jej wiersze! Jeszcze nie dała się pokochać, a już wiedziała, że zostanie zdradzona. Jeszcze nie oddała przyjemności, a już miała żal, że sama dostaje za mało. Ledwo złożyła pierwszy tomik, już czuła potrzebę zmiany poetyki. Zbyt nerwowa na moje nerwy. Za młoda. Za bardzo niezrównowazona.

Doprowadzona do ostateczności moimi zabiegami oswajająco-odpierającymi, oskarżyła mnie o molestowanie, kiedy odpór zaczął przeważać, bo na horyzoncie pojawiła się Iwona, ze swoimi wierszami ukrytymi w teczce z rozliczeniem rocznym. Skarga o molestowanie wpłynęła do dyrektora Instytutu. Nie mogła mi zaszkodzić, gdyż ewentualny proceder

odbywał się poza moim miejscem pracy. Choć dodać trzeba, odniosła pewien skutek. Dyrektor nie zachował sprawy dla siebie. Kolportował plotkę dyskretnie, ale z rozmachem. Gadali wszyscy, na mój widok milkli. Zaczęłam dostawać anonimy z propozycjami. Ktoś zostawiał mi pod drzwiami delicje szampańskie. Sonia bez uśmiechu usiłowała wyciągnąć mnie na poważną rozmowę.

– Nie rozumiesz swojej sytuacji? – Wpatrywała się we mnie oskarżycielsko. Odmówiłam pójścia do pobliskiej kawiarni. Nie chciałam gadać o J.A., o utalentowanych młodych kobietach.

J.A. przestała do nas przychodzić, ale nie zrezygnowała z kariery poetyckiej. Obserwowałam jej rozwój przez lata. Nadal występuje z zespołem punkowym, mają w repertuarze sporo mocnych kawałków. Śpiewa, patrząc w jeden punkt, aż dreszcz chodzi po plecach każdemu, kto próbował z nią być. Podobno trzyma zespół krótko i nie przyjmuje do niego kobiet. Aha, właśnie, to nie jest żeńska kapela.

Pachniała niewinnie, mlekiem z kartonu i odświeżaczem powietrza. J.A., wściekła i piękna poetka, uciekiniarka z Mityleny, nie wybaczała braku miłości. Rzecz jasna, nie miłości do ciała – miłości do wierszy. Zaczęła podejrzewać, że nie doceniam metafor macierzyńskich. Oddała mocno.

Zbyt delikatny mężczyzna i jego fantazje

Raz jeszcze spróbowałam klasycznego trójkąta. Po tym, jak J.A. z zazdrości o Iwonę doniosła na mnie, licząc na skandal obyczajowy, i na pewien czas przekreśliła w ten sposób swoją karierę bezkompromisowej poetki, a Iwona razem z teczką na kilka miesięcy zniknęła z horyzontu, poznałam bliżej Bogdana. Znałam go wcześniej, ale nie zwracałam na niego uwagi. No dobrze, nie dało się na niego nie zwrócić uwagi, ale po prostu nie zatrzymywałam na nim wzroku, nie brałam go w rachubę. Wysoki i ładny, ale jakoś dziwnie wiotki, jakby za wysoki i za ładny, efebowały, kręcił się po Instytucie, gdzie dostał pracę niedługo po Soni i mnie. Robił sporo zamieszania, lubił intrygować, zwracał uwagę kapeluszem i gatunkiem papierosów, chętnie wyświadczał przysługi. Naprawiał zepsute zamki w naszych zdezelowanych szafkach, przynosił z domu cukier, o którym nikt nie pamiętał, choć wszyscy słodzili, niektórzy trzy łyżeczki na szklanę. Mówiąc do kobiet, wstawał, gdy któraś z nas wchodziła do pokoju, zrywał się na równe nogi; górował nad każdą, więc jakby na wszelki wypadek, dla wyrównania proporcji, schylał głowę i chował ją w ramionach, unieważniając swoją dominację.

Nie jeździłam zbyt często na kursokonferencje i dziwne imprezy integracyjne w pałacach pod miastem. Miałam przecież dziecko, miałam „Bez Kompromisów”. Tamtego razu pojechałam, przyciśnięta przez kierownictwo. Anię zostawiłam z matką, której miał pilnować ojciec, na którego miała mieć oko sąsiadka. W przerwach między wykładami na temat statystyki i rozwoju regionalnego chodziliśmy po lesie, Bogdan teatralnie rozchyłał przede mną gałęzie, rzucał się rozpoznac głębokość wody w jeziorze, w końcu nawet położył się w trawie, żeby, jak oznajmił, mrówki oblaży jego, a moją delikatną skórę – „i zakamarki”, dodał – zostawiły w spokoju. Był sarkastyczny, inteligentny i empatyczny. Wyglądał się i uciekał w powagę. Rozumiał i prowokował. Mogłabym go trochę pokochać. Zwłaszcza w lesie, ale też w Instytucie, na tle osypujących się ścian, olejnych lamperii, zagrzybionych sufitów, skrzypiących drzwi. Tak bardzo mnie rozśmieszał, że nie miałam siły się bronić. Był odpoczynkiem po Jarku i J.A., oddechem przed Iwoną. Kochaliśmy się na wysepce mchu, chociaż las zawsze budził we mnie niepokój. Nie pozwoliłam się rozebrać, chciałam zachować zdolność do natychmiastowego odwrotu, trzymał więc ręce

wsunięte w mój luźny biustonosz.

Przez pewien czas, zanim poznałam go jeszcze bliżej, sądziłam, że jest trochę nudny. Ściskanie moich piersi zdawało się należeć do jego obowiązkowego repertuaru. Na mchu wykonywał niewielkie ruchy między moimi lekko rozchylonymi nogami, ograniczony przez zsunięte do połowy ud spodnie. Bogdan był lekki, wygląd nie mylił – miał w sobie coś eterycznego, przenikającego ciało bez potrzeby stosowania nacisku. Sprawiał mi przyjemność jak kot ocierający się o nogi. Przed orgazmem zaciskał powieki i wyglądał na zawstydzonego. Potem sięgał po chusteczkę, co potwierdzało widoczne na co dzień obsesje higieniczne. Próbował mnie wycierać, zbyt szybko przekraczając w ten sposób moją granicę intymności. Upiliśmy się pierwszego wieczoru na wesoło, wybuchy śmiechu zagłuszały leśną ciszę niemal do świtu. Było beztrosko. Pachniało ogniskiem.

Pozwoliłam mu się odwiedzać. Miał tych chusteczek, kondomów, żeli antybakteryjnych i lubrykatorów cały arsenał. Wyjmował je z kieszeni stanowczym ruchem prestidigitatora, kiedy tylko dawałam mu znak, że owszem, pójdziemy do łóżka. Przygotowywał się do stosunku jak do operacji albo przynajmniej usunięcia zęba. Śmieszyło mnie to, rozbrajało i niecierpliwiło, zwłaszcza w połączeniu z jego uniżoną grzecnością, łagodnością i skłonnością do autoironii. Wyglądało na to, że boi się dotykać słowem i ciałem, chce zminimalizować ryzyko otarć, zapobiec nie tylko ciąży, ale wszystkim możliwym konsekwencjom. Nie miałam sumienia szczerze mu powiedzieć, że od lubrykatora dostaję wysypki, a chusteczek wolę używać do nosa. Że skoro z nim śpię, nie chcę go unikać, jakby był trujący.

Obecność tej trzeciej była dla mnie pewnym zaskoczeniem. Nie zamierzałam powtarzać oklepanego scenariusza. Ja, on, jego kompulsje i środki czystości – uznałam, że mamy komplet. Akurat chwilowo nie wyglądałam atrakcji.

– Nie zdenerwujesz się? – zapytał po trwającym w nieskończoność szczytowaniu, które po trzecim kwadransie leżenia pod Bogdanem skojarzyło mi się z dobijaniem zwierzęcia gumowym młotkiem.

– Daj spokój, było miło.

Nieadekwatne słowo. Było zupełnie dobrze, chociaż pod koniec czułam pustkę w głowie. Przez pierwsze dwa kwadransy przemyślałam wszystkie bieżące sprawy, zapadając w półsen od delikatnego muskania szyi, którym Bogdan starał się przeprosić mnie za swoje urojone kilogramy. Na oko nie był dużo cięższy ode mnie, ale kiedy zważył się na mojej wadze łazienkowej, stwierdził, że przytył.

– Ja nie o tym. To znaczy w pewnym sensie tak. Nie chciałbym cię skrzywdzić...

– Naprawdę nie krzywdzisz, możesz śmiało się na mnie kłaść – zapewniałam go wielokrotnie, może wreszcie zrozumiał i postanowił spróbować.

– Nie, nie, nie mógłbym. Za duża dysproporcja. Powinienem był dawno ci powiedzieć, mam nadzieję, że mi wybaczysz, że to przemilczałem. Mam dziewczynę.

– Cóż, nie obiecywałeś małżeństwa.

Spotykałam się z nim z rozpędu, nie było w tym silniejszych emocji. Rozbawienie, muskanie chusteczkami, drobne przysługi. Nie umiałabym go traktować poważniej. Sam lekki jak chusteczka, wykonywał zabiegi higieniczne, uwalniając mnie od sporego napięcia w redakcji i przekształcającym się kolejny raz Instytucie.

– Wiem, ale... Jeśli teraz się zezłóscisz, zrozumiem. Mam dziewczynę i zwykle mamy jeszcze kogoś – mówił wyraźnie i dobitnie. – Szokujące? Robimy to we trójkę, zachowując wszelkie zasady higieny.

Chciał, żebym była zaszokowana, moja pobłażliwość raniła go jak nieporządnie rozrzucone ubrania. Zawsze składał ubrania w kostkę, moje na osobnym krześle, żeby nie stykały się z jego.

– W to nie wątpię – pozwoliłam sobie na odrobinę ironii.

Ironię wyczuwał na kilometr. Od razu chował się w swoją miękką skorupę. Kapitulował. Oddawał pierwszeństwo. Rozkwitał, kiedy doceniłam jego sarkastyczną szarżę, chociaż wiedział, że zaraz będzie za nią przeproszał. Zauważyłam, nie byłam erotycznie głupia, że prosi się o wzięcie krótko, ma fantazje masochistyczne. Niestety, nie znalazł we mnie sadystki. Za ciężka robota.

– Cieszę się i mam nadzieję, że mi zaufasz. Jeśli nie, odejdę. Jeśli wolisz uznać rozmowę za niebyłą, będę nadal przychodził. Jeśli chcesz spróbować z nami, będziemy zaszczyceni.

Wybór szeroki jak w sklepie wolnoćlowym. Mogło się zakręcić w głowie, każdy wariant do natychmiastowej realizacji. Należało bezzwłocznie pójść na całość, ale udawałam wahanie, odgrywałam teatr zawstydzenia. Lekkiego, żeby go nie spłoszyć. Jego dusza masochisty mogłaby ulec trwałem uszkodzeniu.

Nika okazała się bibliotekarką. Nerwowa, wygadana, wciąż gubiła swoje inhalatory i jego pigułki; poznali się w poczekalni u alergologa. Mieli tę samą tajemniczą alergię, która atakowała zawsze, gdy byli smutni lub przygnieceni pracą. W dniach szczęśliwych zanikała, cofała się jak Tamagotchi, pozwalała im swobodnie oddychać. Nika miała ponadto banalną astmę, nieskłoną do odwrotów bez inhalatora, której dopieprzała zmieniającymi co parę miesięcy sterydami. Nie było po niej widać choroby, dostawała zadyszki wyłącznie od gadania. I od seksu. Przesadzała z hiperwentylacją.

Prawdę mówiąc, nie pociągała mnie. Była fajna, fajniejsza od wszystkich moich przyjaciółek, wybieranych nie bez uwzględniania urody. Dodatkowym kryterium mogła być niefajność – ładne rzadko chcą być jeszcze i fajne. Była barwna, bystra, nieprzewidywalna. Nosila kolorowe spódnice, szale, korale. Gotowała i piekła. Chciała

pojechać wszędzie, wszystkiego dotknąć. Oszczędzała na wakacje, ale potrafiła hojnie obdarować koleżankę z pracy z okazji urodzin. Bardzo do siebie z Bogdanem pasowali, zauważyłam to przy pierwszym spotkaniu, ona ze swoją nadmiarowością, on i jego powściągliwość, wspólna choroba i widoczna na zewnątrz nieszkodliwa dziwność, pod którą ukrywali proste podejście do szczęścia. Nikt by ich nie podejrzewał o perwersję.

– Nie odmawiać sobie – mówiła Nika, a Bogdan kiwał głową.

– Zadbać o innych – deklarował Bogdan, a Nika starannie układała poduszki. Sybaryci.

Hedoniści. I altruści, gdy trzeba.

Kochaliśmy się godzinami w małym jak pudełko mieszkanku Niki. Nie pamiętam pierwszego razu, zaledwie ciągi kombinacji. Po kolei i razem. W dwójkach i w trójkacie. Pokazując temu z nas, które siedziało ubrane w fotelu, każdy etap aktu lub kłębiąc się we troje na dość ciasnym, choć wyściełanym miłymi w dotyku szmatami, łóżku i zachłannie próbując sprawić pozostałym jak największą przyjemność. Uprzejmie, z nieraniącym, choć ironicznym komentarzem. Wesoło. Dociekliwie. Sprawdzaliśmy swoją podatność na dotykanie zimnym, gorącym i lekkim jak piórko. Wytrzymałość na ból tylko po zgłoszeniu wyraźnego zapotrzebowania. Najczęściej prosił o to Bogdan, czym potwierdził moje podejrzenia co do jego masochistycznej natury.

Zapominał chwilami o uprzejmości, ale nie o szczelności. W mieszkaniu Niki zakładał dwie prezerwatywy, chępiąc się tym, że i tak nas czuje. Dlatego wolałam palce Niki, choć obiektywnie nie pociągała mnie tak bardzo. Patrzyłam na Bogdana, wystawiając biodra w stronę jej szczupłych dłoni. Doceniłam ją, kiedy wślizgnęła się we mnie po nadgarstek. Ból zaburzył mi widzenie, zobaczyłam kolorowe kręgi, przenikliwe światło, jakiś wirujący tunel. Na końcu stał on, ale w jej spódnicy. Położył zimne dłonie na moich piersiach, a w usta wcisnął mi jedną ze swoich chusteczek. Była słona, nareszcie go czułam. Nika objęła mnie za szyję. Ktoś, nieważne kto, mocno mnie całował. Potem ostrożnie wyciągnęła dłoń i zacisnęła palce na moich wargach sromowych, troskliwie je zamykając. Wszystko we mnie pulsowało. Płakałam chyba, albo jej palce w moich ustach smakowały łzami.

Nika mnie nie pociągała. Nauczyłam się czegoś nowego: najmocniej czuję oddawanie się nieopowiedziane uwodzeniem. Nice oddawałam się bez znieczulenia, jakie zapewnia pożądanie.

To mogłoby trwać miesiącami, latami. Już nie uderzenia gumowym młotkiem, ale mocne, wbijające w ziemię i unoszące do nieba doznania, całe symfonie odczuć. Chodziłam jak zaczadzona, przestałam przejmować się rządami B. i I., które poprzestawiały w redakcji meble i drukowały wiersze o zachodach słońca. Same kompromisy.

Nagle Bogdan zaczął się spóźniać, a my nie wiedziałyśmy, czy zaczynać bez niego.

Miałam ograniczone możliwości czasowe – dzieliłam dzień między dziecko, pracę, hobby i Tamagotchi. Gdy nie patrzył, miałyśmy słabą motywację, nie było dla kogo aranżować sceny przełamywania fizycznego oporu, nie było komu przewrotnie ofiarować bólu, w którego zadawaniu wyspecjalizowała się Nika. Lekkiego bólu, który robił Bogdanowi nadzieję na większy. Lizałyśmy się od niechcienia, nasłuchując jego kroków na klatce schodowej. Przychodził, uprzejmy jak zawsze, ale bez humoru. Zbyt uprzejmy, by powiedzieć prawdę?

– Wyraź swoje potrzeby – zachęcała Nika, która miała w tym trójkącie większe uprawnienia.

Uśmiechał się, podśmiewał się nawet. Mijały tygodnie.

– Muszę wam coś powiedzieć – zagaił pewnego dnia. Znałam już ten ton i tę frazę. Ciąg dalszy nastąpił natychmiast. – Poznałem kogoś. Nie musicie być zazdrosne. Chłopaka.

Nika klasnęła w dłonie, co oznaczało „nareszcie”. Była autentycznie podekscytowana. Czy mnie w taki sam sposób wprowadził do tego pokoju?

– Właściwie znam go od dawna, nawet byliśmy kiedyś razem. Zanim cię poznałem – zapewnił ją.

Obowiązywała swego rodzaju etykieta, Nika była bardzo zazdrosna o wyjątkowość ich spotkania w poczekalni u alergologa. Uważała, że są yin i yang przez wziewność.

Siedzieliśmy ciasno upakowani w dwuosobowym fotelu. Odwracał głowę raczej w jej stronę.

– Byłby skłonny do nas dołączyć – pospieszył z nowiną. – Oczywiście dajmy sobie czas na przemyślenie.

Nie było czasu. Nika przedsięwzięła akcję „inkluzja”. Musieliśmy szybko spróbować. Bogdan przyprowadził Heńka. Niewysokiego przystojnego blondaska, pracującego w handlu. Miejsce pracy niedookreślone, miejsce zamieszkania – przy mamie.

Orientacja – dajcie spokój, co będziemy gadać, odpieram pokusę analiz. Ogromnie był pozytywny ten Heniek, jak rewers autoironicznego Bogdana. Jak lek na alergię Niki. Jak jeszcze jeden powód, żeby nie szukać byle kogo po mieście.

Lubił alkohol, więc zawsze przywoziłam coś po drodze. Bez problemu, monopolowe wyrastały jak grzyby po deszczu. W naszym województwie było ich wyjątkowo dużo ze względu na tradycyjnie wysokie spożycie i rozbudzone kapitalistyczne apetyty.

W Instytucie mieliśmy ten fakt ujęty statystycznie. Żeby otworzyć aptekę, trzeba było mieć farmaceutę. Żeby prowadzić knajpę – koncesję. Do sprzedaży wódki wystarczyły smykałka, kontakty z półświatkiem i odległość od placówek wychowawczych. Dawało się zrobić, w ostateczności zamykano jedną czy drugą zbędną szkołę w śródmieściu.

Pierwszego razu we czwórkę dokładnie nie pamiętam. Spóźniłam się trochę i zostało dla

mnie miejsce z brzegu, za plecami naszego nowego partnera. Plecy szczupłe, gładkie, owszem. Zamknęłam oczy i runęłam między rozgrzane ciała, żeby wywalczyć sobie lepszą pozycję. Było ciasno. Kiedy zaczęliśmy się gramolić z legowiska, zobaczyłam najpierw znów całkiem ładne plecy, a potem uśmiechnięte oczy.

– Wow, małe to wyrko – powiedział wesolutko, jakby jedyny problem czworokąta dotyczył standardów meblarskich, i zapalił dwa skręty, zakładając, że wypalimy je w parach.

Pozory nie myliły. Heniek wniósł zdrowe podejście, nie bał się mikrobów ani tego, że któreś z nas urazi. Rozbierał się pierwszy, pierwszy przystępował do akcji. Nie przestrzegał niepisanej reguły sprawiedliwości. Rozbrykany dzieciak, zamienił nasz dobrze skalibrowany trójkąt w szalony czworokąt. Nie podejrzewaliśmy jednak, jak bardzo zarazem zwichrowany. Ponieważ kiedy docierałam do Niki, Heniek zawsze już tam był, sądziłam – podobnie jak Bogdan, co wyznał mi w naszej ostatecznej rozmowie – że po prostu krócej pracuje. Tymczasem Nika i Heniek knuli już za naszymi plecami.

– Nie chodzi o ciebie – zapewniła mnie Nika w naszej z kolei ostatecznej rozmowie. – Bogdan mnie zmęczył. Jesteśmy ze sobą już trzy lata i mam trochę dosyć jego neurastenii. Z Heńkiem mniej się stresuję.

Miała rację. Jeśli Heniek okazał się dobrym uzupełnieniem, czemu chciała zburzyć naszą relację? W dodatku przy pomocy Heńka, zdradliwa, powiem to, hipochondryczka.

– Obowiązują jakieś zasady – obwieściła. – Przyszłaś z Bogdanem, musisz znać prawdę. Możesz z nami zostać, ale Heniek ma jeszcze innych znajomych.

Na to nie byłam gotowa. Trójkąt wyglądał na dość trwałą, rozsypanka z wesołym Heńkiem stwarzała nieograniczone możliwości, a jako wielokąt otwarty przerażała mnie. Przypominała mi dawne orgie z czasów niedojrzałego, nieoswojonego Tamagotchi. Nie, potrzebowałam uczuć, twardego gruntu, obliczalności i uprzejmości.

– Chcesz zerwać z Bogdanem? – ujęłam się za nim. – Wyjątkowo do siebie pasujecie.

– Prawda? Wszyscy tak mówią. Nie martw się, nie zerwę. Już tak bywało.

Eksperymentujemy, a potem wracamy.

Pokiwałam głową ze zrozumieniem. Tak, było po nich widać, że są sobie przeznaczeni. Nika wciąż niezbyt mi się podobała. Bogdan pożegnał mnie bardzo uprzejmie.

Wyjście z wesołego łóżka neurasteników ułatwiła mi nie tyle propozycja dalszego otwierania związku, ile widoki na inny, nieco bardziej tradycyjny.

Wychowajmy razem dziecko

Iwona była księgową w firmie sąsiadującej z redakcją „Bez Kompromisów”. Robiła nam roczny bilans, który pokazywał, jak wyciekają pieniądze po Jarku. Twierdziła, że zna sposób na zdobycie dofinansowania, musi tylko zgłębić specyfikę naszej pracy, zwanej w tym kontekście projektem. Oczywiście pisała wiersze, całkiem niezłe, w pewnym sensie arytmetyczne, bo policzone co do głoski. Coraz częściej porzucała swoje zapracowane koleżanki i odwiedzała nas w redakcji. Spotkania przy kranie, z którego nalewałyśmy wodę do czajnika elektrycznego, zamieniły się we wspólne picie herbaty lapsang smakującej metalem i dymem. Alkoholu nie lubiła. Za szybko szedł jej do głowy – po kieliszku sophii gubiła wątek i śmiała się na irytująco wysokiej nucie. Poza tym nawet po takiej aptekarskiej dawce miewała kaca giganta. Tamagotchi patrzyło na mój nowy związek pobłażliwie, a gdy próbowałam dostosować swoje tempo do niej, urządzało harce i piszczało niegrzecznie „No, dalej, panny, dalej!”.

Po lapsangu rzygało. Upychałam jego bolącą główkę pod grubą klamrę od paska, żeby wiedziało, że nastąpiła era zdrowia. Za czasów czworokąta nasiąkał kadzidełkami i dżinem z małą ilością toniku, ulubionym napojem Heńka. Podczas redakcyjnych manewrów obiecywałam mu wieczorny haust jego ulubionych substancji, pod warunkiem że wytrzyma drugi kubek herbaty. Rozbrykane i złe, miało smak na kobiece wytryski. Rzadsze paliwo niż męskie, dawało się przekupywać. Prosiło jednak przynajmniej o zmianę gatunku herbaty. Szpanowałam przed nim i Iwoną, udając koneserkę. Żadnych pospolitych smaków.

Wobec suchego przebiegu znajomości niekiedy na spotkania z Iwoną zabierałam Anię. Iwona przepadała za dziećmi. Chętnie zostawała na wieczór z maluchami rodziny i znajomych. Mogła godzinami leżeć na dywanie i przemawiać niemowlęcym językiem. Nawiazywała kontakt nawet z kilkumiesięcznymi bobasami, które ufnie wyciągały do niej rączki. Starszym dzieciom pozwalała na dzikie harce w domach i zdobywanie placów zabaw, ale żadnemu nigdy nie stała się krzywda. Połączenie skrupulatności i fantazji. Powinna była zostać przedszkolanką, gdyby w tamtych czasach był to zawód, do którego wykonywania należało skończyć studia. Gdy tylko przeczytała w wieku czterech lat

pierwszą książeczkę o misiui, stało się jasne, że skończy studia, więc nie patrzyła nawet w stronę liceum pedagogicznego, chociaż z zapalem prowadziła drużynę zuchów. Wiedziała, od jakiego wieku można dzieci poddać musztrze.

Nie wyglądała na kogoś, kto lubi tarzać się w zabawkach. Nosiła okulary i ciasne spódnice. Przy dzieciach zrzucała szpilki i zdejmowała marynarkę. Po paru kwadransach spędzonych w świetle świergolenia, lalek i klocków wstawiała z dywanu, otrzepywała ubranie, spinała włosy gumką i znów była nieskazitelna. Styl biurowy właśnie nabierał smaku, panie stukały po posadzkach urzędów obcasami ładnych włoskich butów przywożonych z Niemiec, dziewczyny pociły się w zabudowanych sukienkach szytych przez nowe polskie zakłady odzieżowe zwane studiami modowymi. Iwona nosiła uniform biurowy, jakby był bawełnianym T-shirtem.

Nie potrzebowałam pogotowia opiekuńczego. Miałam zorganizowane życie, a jednak często przychodziłam z Anią do redakcji. Iwona zjawiała się natychmiast, jakby na to czekała, jakby wyczuwała zapach dziecka przez drzwi. Porzucała swoją robotę „na wczoraj”, przynosiła maskotki, kredki, cukierki. Nie uważała, by dzieciom należało wydzielać słodycze, ale pytała mnie, czy może poczęstować Anię. Pozwalałam, trudno było im, małej i księgowej, odmawiać.

Oprócz wizyt wypełnionych zachwytem nad postępami mojej córki, która rosła faktycznie jak na drożdżach, Iwona pojawiała się także w innych moich miejscach. Przysiadła się do mnie w We-ku, barze z wegetariańskimi hamburgerami, żeby zjeść swoją sałatkę, zdziwiona – „Znów tu jesteś” – mimo obiadowej pory. Zamawiała w Enigmie niegazowaną wodę, żeby potowarzyszyć mojemu kawiarnianemu urzędowaniu w dni wolne od pracy po południu. Raz czy dwa odwiozła mnie do domu. Weszła ze mną. W przepastnej torebce miała coś dla dziecka.

Zaczęłam z nią sypiać chyba z powodu przestoju, niepokojącego po okresie wzmożenia, czyli przeplatających się historii J.A., Bogdana, Niki i Heńka. Miałam na nią oko już wcześniej, Tamagotchi nie wyczuło jednak przez jej garsonkę wystarczająco mocnego smaku i kazało zabrać się najpierw za inne osobniki. Miesiące kotłowaniny na redakcyjnej kanapie i w łóżku bibliotekarki przyzwyczyły mnie do intensywności. Nudziłam się wieczorami, połam Tamagotchi eksperymentalną mieszanką samotnych orgazmów i wina. Źle sypiałam, nasłuchując dźwięków dochodzących z drugiej połowy bliźniaka. Sąsiedzi przestawiali coś ciężkiego, przesuwali po śliskiej podłodze salonu jakieś pakunki, rozmawiali zawsze półgłosem. Potrzebowałam seksu. Potrzebowałam drugiego człowieka do seksu. Nie chciałam masturbacji, trwającej zbyt krótko. Nie chciałam pustego łóżka. Wyczułam w sobie nieoczekiwaną falę depresji. Potrzebowałam kogoś od zaraz. Potworek potwierdzał: potrzebujesz, potrzebuję.

Iwona się nadawała. To, że z grzecznej księgowej potrafiła błyskawicznie zmienić się w piastunkę, pozwalało domyślać się innych potencji. Mały był jeszcze dość głupi, dlatego nie wyczuł w niej od razu smaku bergamotki. Bez okularów, w białej bluzce koszulowej, była równie ładna jak J.A. Miała podobny koloryt, delikatną cerę ciemnej blondynki, którą przed wyjściem z domu muskała tylko różem. Długie rzęsy ocieniające szare oczy krótkowidzki nie potrzebowały tuszu. Przez jej szyję, od ucha do linii włosów, biegła cienka blizna, pamiątka z dzieciństwa. Na swoje małe dłonie z krótko przyciętymi paznokciami zakładała srebrne pierścionki, których miała całą kolekcję. Potem, gdy lepiej poznałam jej obyczaje, zorientowałam się, że dobiera pierścionki do ubioru, a przed seksem chowa biżuterię pod poduszkę.

– Dlatego nie kupuję drogich ozdóbek biżuterii – powiedziała, kiedy zapomnieliśmy wyjąć depozyt z hotelowej pościeli podczas jednej z jej służbowych podróży, w której postanowiłam jej towarzyszyć, wiedziona sentymentem, jaki budziło we mnie wspomnienie wypadów z Jarkiem. – Nie żal mi, jeśli coś zgubię.

Tym razem był to oprawiony w srebrne łaпки koral, ładnie odbijający od koloru jej skóry. Kupiłam Iwonie pierścionek z ametystem. Zawsze odkładała go pod poduszkę, narażając na zgubienie. Miałam nadzieję, że tylko dla mnie огоłaca swoje smukłe palce.

O zgubionych pierścionkach napisałam wiersz, który opublikowałam pod pseudonimem w „Bez Kompromisów”.

Jestem pierścionkiem na twoim smukłym palcu
Cieniem rózu na twoim policzku
Moja kochana
Kiedy odwracasz się do mnie
Zdejmując stanik
Gra chór aniołów
Wymalowany ręką
Niepokornego mistrza
Nie przestawaj patrzeć mi w oczy
Ja służebnica twoja
Obiecuję wszystko

J.A. na łamach konkurencyjnego periodyku „Na Wprost” skrytykowała anonimową autorkę za sentymentalizm, a potem nagrała singla w garażu.

Suki noszą pierścionki
Bo bolą je palce
Wkładane gdzie nie trzeba
Suki nie poznają się na
Prawdziwych mężczyznach
Jebać suki
Jebać suki
Żeby zrozumiały

Jakoś tak szła pierwsza zwrotka i refren. Przez pewien czas nagranie miało wysoką pozycję na scenie alternatywnej. Interpretowano je jako faszyzujący odwet za rozbuchany, agresywny feminizm.

Ile takich zgub Iwona miała na koncie? Trudno było sądzić, że niewiele, zaznawszy jej precyzyjnie skomponowanej miłości. Była kochanką idealną, umiała znaleźć proporcje pomiędzy braniem i dawaniem. Przywierała do mnie swoim sprężystym ciałem, żeby zaraz potem stanowczym ruchem odłożyć moje ręce na bok lub za głowę i błędzić tak długo po mojej szyi, piersiach i brzuchu, aż nie wytrzymałam, wyszarpywałam się spod niej, przewracałam ją na plecy i zachłannie lizałam jak spragniona soli sarna. Smakowała ostro i słodko, jak kurczak od Chińczyka, a pachniała bagiennym kwiatem bergamotki. Tego chciała, mojego pożądania. Moje drzenie i pragnienie dawały jej rozkosz, przedłużaną na parę minut odciąganiem mnie za włosy, odcinaniem mi dostępu. Odwdzięczała się od razu, pytając czasem jak troskliwa pani domu: „Na co masz ochotę, kochanie?”.

O dziwo, nie miałam specjalnych życzeń. Jej wdzięczne ciało budziło moją wdzięczność. Leżałyśmy potem, głaszcząc się i oglądając uważnie fragmenty swojej skóry, badając wzajemnie swoją fakturę. Jej skóra była gładka, gładsza od skóry J.A. i wydelikaconych uczestników szalonego czworokąta. Najbliżej było jej w dotyku do stopniowo zapominanych ofiar moich łazienkowych podstępów z dzieciństwa. Tak, była jak dziewczynka, jak lody truskawkowe. Także blizna, której pozwalała mi dotykać, nasuwała rozczulające i dziecinne skojarzenia. Jej cipka była niewielka, jeszcze gładsza od blizny. Przypominała dziewczęce skarby. Pasowałyby do niej podomki w kwiatki, ale nie miałyśmy niczego takiego. Koszule Iwony, które wkładałyśmy, wychodząc na krótko z łóżka, żeby coś zjeść, czegoś się napić czy wychylić się na chwilę przez wychodzące na ruchliwą ulicę okno, przypominały fartuchy pielęgniarek. Piłyśmy earl greya. Bardziej pasował do naszych nocy niż lapsang. „Alkohol odbiera czucie” – twierdziła.

Tamagotchi szalało, chciało mieć w tych aktach swój udział, wystawiało paluszki przez moje powłoki brzuszne. Smakowała mu strasznie ta Iwona. Nie widziała go, chociaż odczuwała naprężenie skóry na moim podbrzuszu. Przekorna natura kazała mu szeptać we mnie, że tak dużo smaku to za mało. Że nie powinnam przestawać, nie powinnam zasypiać z nosem w lodach truskawkowych i bergamotce. Dobrze się czułam, więc robiłam skoki w bok, zabierałam potworka na szybki seks z poznawanymi w kawiarni mężczyznami i kobietami. Rano, kiedy zmywałam z siebie skorupę, Tamagotchi próbowało okazywać wdzięczność. Było przebiegłe i wciąż obce. Niezupełnie się rozumieliśmy na tamtym etapie, ale szło na ustępstwa: lapsang, earl grey, Iwona i woda dla mnie, jeśli miałam coś dla niego. Seks w nieznanymi miejscach, żeby dało mi spokój i nie ssało za mocno.

Z Iwoną przeżywałyśmy gody, w redakcji zapanował spokój. Iwona – teraz, podczas naszych *tête-à-tête* mówiłam Iwonka, sekretareczka, księgoweczka – załatwiła nam dotację. Znała się na tych wszystkich tabelkach, wówczas zresztą dość nieskomplikowanych. Młode autorki przechodziły przez pokój redakcyjny i zatrzymywały się naprzeciwko biurka B., która też rozkwitła. Nadal ubierała się w bluzy z kapturem, ale rozpiniała zamek do połowy dekoltu. I. pilnowała terminów.

W Instytucie dali mi kolejny awans. Bogdan starał się omijać mój gabinet, a nawet toaletę na moim piętrze. Słyszałam, że gorzej się czuje, ale może w łóżku Niki zrobiło się tłoczno i po prostu bywał zmęczony? Jego alergia przeszła w astmę. Te wszystkie stymulowane wewnętrznym przymusem uprzejmości, zanim w kogoś wszedł, mogły go wyeksploatować.

Ania rosła. Sąsiedzi nocami wynosili z domu duże przedmioty i ładowali je do wynajętej półciężarówki z wciąż widocznymi reklamami niemieckich firm przeprowadzkowych. Może zresztą nadal pracowały w Niemczech, a u nas tylko zbierały towar. Dobrze sypiałam, widziałam czasem ich światła wsteczne, ale nie podchodziłam do okna. Wywózka zdawała się nie mieć końca. Zastanawiałam się, kiedy te przedmioty wnoszą, bo nie mogły to być zostawione przez Jarka meble, ale od razu odkładałam przemyślenie sprawy na następny dzień i zapadałam w sen.

Iwona oszalała mi nowymi perfumami; wcierała je za uchem, wydawało mi się, że w bliznę. Znów usypiałam szybko i mocno, budziłam się tylko na krótko, gdy obok podejmowali dziwną wyprawę.

Sielanka miała tendencje rozwojowe. Do dnia, gdy Iwona zaproponowała coś, co wisiało w powietrzu.

– Wychowajmy razem dziecko.

Leżałyśmy w jej przestronnym mieszkaniu w centrum miasta. Chodziłyśmy tam

z redakcji pieszko. Było wysokie, z dużą łazienką od strony podwórka. Urządzone nowocześnie, z pojedynczymi antykami ładnie wyeksponowanymi na tle białych ścian. Odziedziczyła je po dziadkach. W te dni, kiedy umawiałyśmy się niezależnie od godzin pracy, witała mnie ubrana w dzinsy i obszerną koszulę, wyglądającą na większą wersję tej, w którą się ubierała, wychodząc z domu o 7.45. Była odpowiedzialna. Nadawała się na matkę.

Pomyślałam o porankach, zabawie w piżamach, gotowaniu posiłków. O podomce, którą mogłabym sobie kupić. W kwiatki albo w paski. O sąsiadach z drugiej połowy bliźniaka. O rodzinnych wakacjach. We wszystkich związkach miałam jeden problem – intymność. Prościej byłoby dzielić się jej codzienną dawką z kobietą, ale nadal trudno. W miłości łatwiej przychodzi mi zrzucanie ubrania niż wspólne jedzenie posiłków. Kobiety i mężczyźni, których kochałam, mogli patrzeć na moją nagość, ale nie w kąpiele. Wolałam sama ściągać i wkładać bieliznę. Nie lubiłam mieć wspólnego śmietnika z nikim oprócz Ani. Mój pierwszy kochanek, nauczyciel, wyrobił we mnie nawyk bycia na cudzym terytorium. Kilka razy niemal weszłam we wspólnotę meldunkową, ale ostatecznie od niej uciekałam. Kobiety wychodziły, Jarek zabierał mnie w podróż. Gotowałam czasem dla kogoś, ale nie od razu. Musiał minąć pewien czas, żebym zechciała uchylić lodówkę. Uda rozchylałam bez oporów. Poranna kawa tak, jajecznica – tylko w ostateczności. Ich zapach w moim łóżku – tak, ale żadnych suszących się na kaloryferze skarpetek.

No więc wyświetlałam sobie w głowie filmiki, montowałam kolejne sekwencje szczęścia. To było możliwe, było w zasięgu ręki. Ale czy na pewno? Czy powinnam podzielić się mieszkaniem po Jarku albo przenieść się do mieszkania po dziadkach, zrobić miejsce w swojej szafie albo wprowadzić się do tej dużej, stojącej w wykończonym stiukiem pokoju w śródmiejskiej kamienicy, w sumie dość blisko moich rodziców?

– Nie powinnaś sama chować dziecka.

Użyła zwrotu mojej babci. Chować. Chowało się też inwentarz. Zaczynała moralizować?

Nie wiem, może zgodziłabym się chociaż na jakiś czas, na próbę, może coś by z tego było. Bardzo lubiła Anię. Nie, nie pomyślałam, że nie można mieć dziecka z kobietą. Nikt wtedy nie mówił o takich sprawach. Kto miałby nam zabronić, gdybyśmy chciały rodzinnego szczęścia?

Decyzję podjęłam pewnego poranka. Nie odbierała telefonu, więc zaszłam do niej w drodze do pracy, żeby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuje. Otworzyła zdenerwowana i od razu zaczęła się spieszyć.

– Mogłabyś coś dla mnie zrobić? – zapytała.

Byłam gotowa. Poprosiła o uprasowanie bluzki. Tamagotchi chichotało. Nie umiałam prasować. Tak, racja – prasowałam nauczycielowi, kiedy bawiłam się w jego gospozię.

Mogłabym zrobić dla niej wszystko. Leżeć ze związanymi sznurem od żelazka nadgarstkami. Klęczeć. Oddać nerkę. Może nawet założyć pierwszą w mieście otwarcie nienormalną rodzinę, choć wówczas tak by się to nie nazywało.

Zawsze idzie o jakiś drobiazg, o coś, co nas w kimś nieoczekiwanie zniechęca. Czasem mimo wszystko brniemy, rzucamy się głową w dół. Jak mogę mówić, że poszło o prasowanie? Na szali leżało dziecko, a przeważała koszula? Ale tak, właśnie tak, nie znalazłam w naszym związku miejsca na żelazko.

Pozostałyśmy w przyjaźni. Iwona przejściowo zamieszkała z B., która zrezygnowała z bluz z kapturem. Wystrzeliła spod nich z wesoło podskakującym biustem. Okazała się zwinna i szczupła. Po B. Iwona miała trochę starszą kochankę, którą poznała podczas jakiejś konferencji. B. zajęła się wtedy na dłużej jedną z naszych autorek. Wciąż spotykałyśmy się przy kranie. Czasem Iwona zgarniała mnie z kawiarni, odwoziła do domu i bawiła się z Anią. Wodziła za mną wzrokiem, a ja starałam się zobaczyć, w jakim stanie jest jej bluzka. Zawsze była nieskazitelna, nawet po długim dniu pracy. Żałowałam, nieraz żałowałam. Obu rzeczy: seksu i niezrealizowanej możliwości wspólnego życia.

Kobiety nie do tego zostały stworzone (przerwa techniczna)

Podsumujmy: na tamtym etapie nieźle sobie ze wszystkim radziłam. Prawie wyeliminowałam melodramaty. Tak, dało się zauważyć, że częściej wybieram kobiety.

Prędzej czy później kobiety dają sobie spokój z mężczyznami. Normalna dynamika życia. Bywa, owszem, że żyją z nabytymi wcześniej mężami i jakoś sobie radzą, ale zwykle z czasem cały ten ambaras okresu reprodukcyjnego odpada. Koledzy z tego samego pokolenia zamieniają się w smutasów, młodszy mężczyźni są głupszy, starsi zaczynają chorować. Otłuszczenie brzucha i serca, paniczne gromadzenie środków na funduszu emerytalnym, zanik zmysłu przygody. Nudziarstwo.

Kobietom przestaje się chcieć zajmować dużymi dziećmi. Powiedzmy sobie szczerze, kobiety najlepiej czują się w swoim towarzystwie. Jak w dzieciństwie, w szkole. Niekończące się tematy. Stroje i fryzury do wypróbowania. Serwisy informacyjne. Geopolityka przy kawie. Kiedy jedziesz z kobietą na wycieczkę, możecie zabrać jeden zestaw kosmetyków. Jest od kogo pożyczyć zmywacz do paznokci, jeśli się zapomni. Łatwo dojść do porozumienia w sprawie spędzania czasu na urlopie. Przyjaciółka nie obrazi się z powodu twojej niechęci do pokonania kolejnej góry. Przyniesie ci z niej kamień i chętnie przyjmie w zamian zimne piwo, odpuści sobie jednak nieuniknione w przypadku mężczyzn niekończące się głośne opowiadanie o wyczynie. Właśnie, kobiety mówią ciszej. Na plaży nie robią ci wstydu, nie odstrasza leżących w sąsiednich grajdołach rodzin. Czytają interesujące książki, które ci chętnie pożyczą, a nawet je z tobą przedyskutują. Jedzą mało, gdy wypada twoja kolej, żeby zrobić zakupy, nie musisz jechać minivanem do hipermarketu, wystarczy przechadzka na rynek. Na widok słynnego zabytku nie krzykną „Co za kupa kamulców!”, a jeśli nie wiedzą, co to takiego, sprawdzą w smartfonie. Nie robią ci „śmiesznych” zdjęć tylko dlatego, że kupiły nowy telefon komórkowy lub inny obciachowy gadżet. Są lżejsze i bardziej zwinne. Zajmują mniej miejsca na fotelu w samolocie i głowa nie opada im na twoje ramię. Nie chrapią. W drogiej restauracji możecie zamówić jedną porcję na dwie. Nie drapią opalanej skóry zapuszczanym z okazji wolnych dni zarostem. Kobiety są pod każdym względem fajniejsze.

Nie, nie byłam na etapie ostatecznego odrzucenia mężczyzn. Lubiłam ich egoizm i sposób, w jaki nie starali się z nim walczyć lub podkreślali głębię poświęcenia, jeśli jednak zawalczyli. Lubiłam oczywistość różnicy niewymagającej ode mnie żadnego wysiłku. Ich prostotę i braki w lekturze. Ich przechwałki. Siłę fizyczną. Załatwianie pirackich kopii filmów na wieczorne seanse. Nawet kłamstwa, łatwe do przejrzenia. Lubiłam być zdradzana. Lubiłam ich zdradzać. Lubiłam swoje wspomnienia o nich. Spadki i dary. Oglądanie w internecie zdjęć łysych byłych przystojniaków. Ich żalodne drugie ożenki. Późne kolejne dzieci, przy których wyglądali na dziadków. Ich bawełniane T-shirty, w sam raz do spania. Powagę i niechlujstwo. Kupowanie na kredyt. Tytułomanię. Zapach ich ciał – ale wyłącznie po prysznicu. Drogie wody toaletowe stojące w łazience między moimi. Lubiłam swoje ustępstwa.

Może byłam tak wychowana, zsocjalizowana. Bo jednocześnie wcale tego wszystkiego nie lubiłam, potrzebowałam całej łazienki i własnego zapachu. Dlatego wybierałam mężczyzn łagodnych, interesujących, gładkich, odpowiedzialnych, zadbanych, z poczuciem humoru, intrygujących. W trzy minuty rozszyfrowywałam bufonadę, narcyzm, zakłamanie, przeszacowane ambicje, niedostatki higieny i intelektu. Miałam radar na kryptogejów i pseudointelektualistów. Przewidywałam ich riposty i następne posunięcia. Zawsze miałam na oku swoją torebkę. W razie chrapania wychodziłam bez usprawiedliwiania się.

Miałam szczęście, wykruszali się sami. Można powiedzieć, że znikali, wypłukiwało ich. Wystarczyło okazać trochę niezależności, poderwać kogoś innego, wbić szpilkę w śmiesznie nastroszone ego i miało się ich z głowy. Chociaż straty kilku żałuję, najbardziej Alka. Melancholijny wątek, obecny w każdej biografii. Ledwie napoczęty wydaje się niezrealizowaną szansą.

Póki reagowałam na testosteron, Tamagotchi się cieszyło, bo lubiło facetów. Wiedziało się, że kobiecy testosteron jest rarytasem, a progesteron przedłuża młodość. Nie jestem pewna, czy stan dzisiejszy nie stanowi kompromisu – zaczęłam traktować stworka jak partnera. Nie był już dla mnie potworniakiem, zaczęłam uwzględniać jego gust, zestawiając erotospisy. Znając regułę – coraz mniej mężczyzn – nie odpłynęłam jednak na wody ortodoksyjnej Lesbos.

Facet w przetartym garniturze

Mężczyźni wymagają nadludzkiej cierpliwości. Za pozycję kobiety musimy słono płacić. Nie będę wyliczać wszystkich przypadków, dość nudnych, niech wystarczy ten jeden.

Kłopoty w pracy zaczęły się od faceta w przetartym garniturze. Jednego z tych, tak. Byli odporni. Kursowali między oddalonymi od siebie o kilkaset kilometrów miastami, zatrudnieni na intratnych posadach, zwykle ojcowie, czasem dziadkowie. Pakowali się w teczkę, wystarczało miejsca na drugą koszulę, pożółkłe notatki i solidne kanapki, niekiedy na piersiówki z tanim „koniaczkim” produkcji, w dobrych czasach, enerdowskiej lub bułgarskiej oraz, o zgrozo, na tak zwane slipki, choć radzili sobie też, robiąc przepierki w zlewie i susząc majtki na kaloryferze. Lubili zjeść i wypić. W porównaniu z przedstawicielami późniejszego pokolenia byli cyborgami. Kondycji nie zawdzięczali siłowni. Ich determinacja nie wymagała treningów. Trwali. Hemoroidy nie powstrzymywały ich od podejmowania kolejnych podróży. Kiedy, bez wychodzenia z za rozległych biur, zrobili swoje, dość tajemnicze, emablowali kogo się dało – zwłaszcza niższe stopniem współpracownicy, bo tego uczyli ich mentorzy jeszcze w międzywojniu. Wiedzieli, że droga do w miarę, jak na warunki podróży, wygodnego życia wiedzie przez opiekę kobiet, przez kuchnie kobiet lub choćby kąciki socjalne wygospodarowane przez kobiety w biurze, przez ciepło emanujące z ramion i podbrzuszy kobiet. Na co dzień, w domu, bywali pantoflarzami, ale po opuszczeniu rodzinnej miejscowości zamieniali się w ludzi czynu i donżuanów. Dopuszczani do higienicznych łóżek żon w nagrodę za przynoszone ze świata zdobycze w postaci pasków wypłaty, ciułali na żony i na społeczny prestiż. O tak, otaczani podziwem, niezbędni.

Mój facet w przetartym garniturze, z tytułem profesorskim i odpowiednią przynależnością, był nieco mniej ewidentnie przetarty niż średnia krajowa. Już nieco stuningowany, na miarę postury i możliwości, bez łąt na tyłku. Ubranko miał w zgniłozielonoszarobrazowym kolorze, kolorze straszliwym, wynalezionym w polskich fabrykach anilany, czymkolwiek była. Dobierał do niego pasujące kolorystycznie koszule, które ozdabiał uformowanymi na kształt krawatu szmatami w dyskretny dzięki swej niewyraźności rzucik. Zależnie od sezonu nosił brązowe kamasze lub beżowe sandały,

a gdy trzeba było – łapcie lub męskie kozaczki. Łapcie, gdy nikt nie widział, kozaczki, gdy długo utrzymywał się śnieg. Nie zapominał o szaliku w sraczkowatą kratkę ani o berecie noszonym na zmianę z karakułową czapą. Był przygotowany na każdą okoliczność. Jestem pewna, że do teczki pakował też termos, grzałkę, mały ręcznik o szarawym odcieniu i mydelniczkę zaszpunktowaną pokładami mydła. O pędzlu i maszynie do golenia wolę nie myśleć. Nosił też zawsze pasek ze świńskiej skóry, który wrzynał się mocno w chroniący narządy wewnętrzne tłuszcz.

Nie okazuję klasowej wyższości odzieżowej, skąd. Staram się odtworzyć szaty, zaraz przejdę do człowieka. W gruncie rzeczy kieruje mną sentyment, a nawet podziw dla tych nieliczących się z niczym i z nikim wsteczno-postępowych komiwojażerów, którzy kursowali po obrzeżach i wzmacniali system. Gdyby nie oni, prędzej doszłoby do głosu kolejne pokolenie, nieodpowiedzialne, niemające nawet notatek z wykładów i nieszanujące rytuałów. Pokolenie w swetrach wydzierganych przez matki i narzeczone. Agresywne intelektualnie i neurotyczne; skłonne do nieumiarkowanego pijaństwa i roszczeniowe. Tamci garniturowcy składali banknoty w pugilaresach, obracali każdą stówę trzy razy, zanim ją wydali, i dwa razy zalewali torebkę herbaty. Palili papierosy bez filtra, lecz nie dmuchali w stronę interesantów. Cenili szansę, jaką stworzyła im socjalistyczna ojczyzna. Wiedzieli, że w kapitalistycznej też się zmieszczą. Nie chodzili na pasku rynku, zgarniali należność.

Niektórzy zdążyli przejść na garnitury Vistuli, wyszlachetnili, kupili walizki na kółkach, przesiedli są z pociągów do małych francuskich samochodów. Jeśli nie zabił ich przedwczesny zawał, okazywali się dobrymi narciarzami. Zabrali się do kierowania prywatnymi przedsiębiorstwami i uczelniami. Żenili się jakimś cudem z sekretarkami. Pojawiali się w programach telewizyjnych w roli odwiecznych autorytetów. Mieli sporo do powiedzenia, w końcu wzięli udział w kilku zwrotach akcji. Swojego, jeśli mogę go tak nazywać, straciłam z oczu.

Mój, tak go będę tytułować, nie chcę zdradzać imienia, był osiadły, choć jeździł jeszcze tu i tam. W Badawczo-Wdrożeniowym Instytucie Informatyzacji Miasta i Województwa dostał na tyle intratną posadę (z mieszkaniem), by porzucić akademicki ośrodek z tradycjami i zostawić córce mieszkanie z żoną opiekującą się wnukiem. Szczegóły znaleźmy od sekretarki, nam takich historii nie opowiadał. Czy muszę dodawać, że nie umiał się posługiwać komputerem? Miał inne zasługi.

Mawia się, iż władza bywa afrodyzjakiem – być może, ale plastikowe skarpetki przeszkadzają w konsumpcji. Całe to zgrzebne *emploi* naszego szefa świetnie pasowało do reszty, czyli do jego warunków fizycznych. Niski, grubawy, siwy, łysiejący, niedosłyszający, w okularach. Ile musiałby mieć władzy, żeby jego ujemny seksapil podniósł się do poziomu

zauważalnego dla, powiedzmy, kobiety ceniącej walory osobowości? Boję się szacować, jak duża przy jego odstrasającym potencjale musiałyby być praca, żeby zmieniła się w energię aktu seksualnego. Musiałby być, moim zdaniem, przynajmniej tak obiecujący finansowo jak współnik mojego biznesmena, czyli pedofilny właściciel Enigmy. Wpływowo jak prezydent średniego kraju, przynajmniej Berlusconi; nie, Berlusconi był wówczas mało w Polsce znany, czyli może raczej jak Gorbaczow. Uroczy i pozornie trudny do zdobycia jak nauczyciel etyki na dworze watykańskim, gdyby ktoś taki był do pomyślenia. Z tym że faktycznie przeniósł Instytut do większej siedziby i załatwił podwyżki.

O dziwo albo właśnie dlatego, panie się uśmiechały. Parzyły kawki, częstowały ciastkami. Studentki politechniki, gdzie prowadził gościnny wykład jako autorytet od statystyki, przywdziewały na egzaminy wabiącą odzież, która ogłupiała go jednak tylko do pewnego stopnia, bo ogłaszał dodatkowe terminy. Rzadko, i liczę mu to na plus, dawał się porazić barokowym dekoltem na tyle, żeby postawić trzy bez pytania lub dać urlop w Instytucie bez mocnego uzasadnienia.

Musiało do niego dotrzeć, że jestem kobietą samotną i nieortodoksyjną. Mógł wiedzieć, że miewam romanse – zdaje się, że Sonia zdradziła, że odkąd siedziała w lepszym pokoju, z oknem, dodatkowymi krzesłami i aneksem czajnikowym, gadała na mnie, jakbyśmy nie miały siostrzeństwa w dziurkowaniu, jakby nie obowiązywał już pakt wspólnotowy, przeciw całej reszcie nabzdyczonego biura. Zdradzała tajemnice, przez to, że się o mnie martwiła. Zdradzała, bo o czymś trzeba było gadać podczas krótkich przerw i dłużących się zebrań w sprawie braku strategii jako przemyślanej strategii.

Nie potrafię odtworzyć toku rozumowania naszego szefa, dość że zaczął się mną interesować. Oficjalnie – służbowo. Miał obowiązek roztaczania opieki nad młodą kadram, dzielenia się, obdarzania, ubogacania.

Koszule nosił teraz jaśniejsze i kupił prawie czerwony krawat. Jego nalana, lecz pocziwa twarz zyskała na autorytecie. Wchodził w fazę motyla, opuszczał wyprodukowany w fabrykach PRL-u kokon poczwarki. Miał stać się silnym, wpływowym, pożądanym mężczyzną, z którego ciętych ripost śmiałyby się kobiety, którego dłoń ścisłaliby inni, gotowi do oddania pierwszeństwa, samce. Na drodze do pełnego przepoczwarzania stanęło kilka przeszkód, ale sekretarki chwaliły tę połowiczną metamorfozę i widziały w szefie kolorowego motyla. Ile może zdziałać poliestrowy krawat!

Zaczął mnie wzywać do siebie. Podczas pierwszego spotkania – które miało charakter ściśle i wyłącznie służbowy, ale odbyło się w atmosferze życzliwości, by nie szafować słowem przyjaźń – wyłożył mniej więcej zasady naszego zbliżenia. Ręką lekko drżącą, bynajmniej nie z emocji, tylko w wyniku wieloletniego spożywania napojów

euforyzujących, otwierał wytarty na rogach notes. Od ilu lat go używał? Czas dziesiątek kalendarzy z miejscem do notowania, rozdawanych na początku roku przez współpracujące z nami firmy, miał dopiero nadejść.

– Droga koleżanko, wynotowałam pani osiągnięcia za ostatnie dwa lata, zajrzałam w przebieg kariery. Obiecujące, obiecujące – zagaił, wskazawszy mi stojące naprzeciw swojego biurka wyściełane przybrudzonym materiałem krzeselko.

Wyjaśnię, że osoby pracujące w dziale technicznym miały ambicję przejścia do działu zbierania danych, a te ze zbierania marzyły o skoku do raportów i strategii. Najwyżej głowy nosili statystycy, ale kąskiem bardziej łakomym finansowo były wdrożenia. Miałam szansę, staż pracy i uzupełniane na kursach wykształcenie. W moim dziale pracowało coraz więcej bezustannie zmieniających się młodych ludzi.

– Dziękuję, panie dyrektorze.

Byłam skromna i konkretna, nie zdawałam sobie sprawy, że go w ten sposób nakręcę. Tego potrzebował, choć gdybym zechciała zrozumieć jego intencje i ugłaskać uwięzionego w nim małego chłopca, to wzorem powinna być dla mnie jakaś ostrzejsza panienka, w rodzaju rezydentek restauracji Europa, miejscowego lokalu dla marynarzy. Mały chłopiec mojego faceta w przetartym garniturze miotał się od kilkadziesiątu lat bez widoków na wolność, a teraz usiłował przycupnąć w jego cienkich nóżkach i ramionkach, z dala od warstwy tłuszczu w worku brzuszny. Tylko kiedy łowił ryby z siostrzeńcem, szef był sobą sprzed lat, mieszkańcem kresowego miasteczka, który marzył o zostaniu kimś takim, kim został Tadeusz Konwicki, koronowany na króla prozy po zniesieniu drugiego obiegu. Żona i siostra mojego wymiętego faceta pobłażliwie traktowały brodzenie w płytkiej mętnej wodzie rzeczek, których szukał podczas wakacji, by porównywać je do tej z dzieciństwa, monotonnie powtarzając tę samą frazę o zanieczyszczeniach.

Wewnątrz, tam, gdzie nikt nie zaglądał, był łagodnym, miłym chłopczykiem i jako taki uczył siostrzeńca nakładania robaka na haczyk, ale kiedy patrzył na niego ktoś oprócz siostrzeńca i ryb, wracał do skorupy pocziwego starego męża.

Gdyby do czegoś doszło, wyjawiłby może swoją małą predylekcję do wyobrażania sobie kobiet w pozach i ubraniach z pornopisemek i użyłby tego strasznego słowa, którego nie wypowiedziałby w obecności żony i córki, bo jako dziecko brał w skórę za lingwistyczne wykroczenia, a nawet za myśli, w które matka umiała wejrzeć. Składał swoje kroniki miłosne i spisy cudzołóżnic, wsłuchując się w stukot kół pociągu wiozącego go do żony z zaondulowaną głową. Mogłam zostać jego dziwką, a on zrobiłby mnie królową Instytutu. Wielcy mężczyźni zasługują na takie rozrywki, a czyż nie był wielki? Rozsiadł się i zapanował nad drzeniem. Wewnętrzny i ręczny. Dawałam tyle razy, dlaczego jemu miałabym nie dać? Widział we mnie zepsucie, proces gnilny

zapoczątkowany jakimś beczelnym dzieciństwem albo studencką młodością przeżyta zupełnie inaczej niż jego, biedna, wypełniona ukradkową modlitwą i internacjonalistycznie proklamowanym szacunkiem do kobiet.

– Potrzebuje pani opieki – oznajmił stanowczo i odważnie. – Być może wspólnie udałoby się nam nadać kierunek pani poszukiwaniom zawodowym.

Oddałby część swojej wymęczonej chwały za parę rzeczy, których według niego nie miała jego żona. Odsunął na bok segregatory zasłaniające wybrzuszenie w okolicach piątego guzika koszuli. Miał kłopoty z doborem rozmiaru na swoje wąskie ramionka i okazały kielich brzucha. Śmiały szeroki krawat przysłańiał rozpinające się dolne guziki. Spodnie były luźne, pod brzuchem trzymał je pasek. Zwróciłam uwagę na obierający się paznokieć lewego kciuka. Działka; pewnie w te dni, gdy wracał do domu, zrzucał garnitur i w krótkich spodenkach à la tropik uprawiał żonine grządki pod jej dziarskim przewodnictwem. Zwalniała go z tego obowiązku, gdy mieli gości. Rozumiała, że profesor dyrektor powinien co najwyżej serwować wyszukane własne wyroby – nalewki, ogórki kiszone. Pewnie w czasie prac przyziemnych uderzył się nieborak szpadlem. Mógł też odnieść obrażenia podczas męskich prac domowych, na przykład wbijania gwoździ, przepychania zlewu, wkręcania śrub lub piłowania. Bo chyba nie od pisania pamiątkowym wiecznym piórem marki Pelikan, które zawsze trzymał tak, żeby interesanci widzieli wygrawerowaną dedykację „Towarzyszowi w dwudziestopięciolecie pracy zawodowej”.

– Mogłaby pani udać się ze mną na bardzo interesującą konferencję branżową. Na najwyższym poziomie – zaznaczył. – Taki wyjazd, połączony z satysfakcjonującą ofertą integracyjną, działałby cuda.

– Pan dyrektor zna moje ograniczenia rodzinne? Samotnie wychowuję dziecko i nie mogę pozwolić sobie na dłuższy wyjazd – niehonorowo sięgnęłam po argument macierzyński.

Buzia w ciup, kolanko zasłonięte spódniczką, chociaż pewnie raczej spodniami. Zmuszałam jego wyobraźnię do galopu, nie wyglądałam na nadzieje, jakie we mnie pokładał.

– Ależ to zaledwie trzy dni i dwie noce! – wykrzyknął z akcentem na „noce”.

Zobaczyłam mały pokój w jakimś hoteliku (diety nawet on miał takie sobie), wąskie tapczany, ciasne przejście do wspólnego prysznicza, jego brzuch tarasujący drogę do stołu, na którym postawiłby butelkę słodkiego wina. Pewnie starannie składa ubrania, nawet w miłosnym szale nie zapomina o braku żelazka i o tym, że kant musi dotrwać do następnego czyszczenia chemicznego wypadającego za dwa miesiące. Jeśli szal jest tu dobrym słowem, ale od czego mężczyźni mają wyobraźnię z „Playboya”, pożyczanego od śmielszych kolegów? Poczułam miękkość w nogach.

– Każdy dzień i każda noc, zwłaszcza noc, to w życiu dziecka bardzo dużo. Jako samotna matka muszę dbać o poczucie bezpieczeństwa córeczki – powtarzałam frazy, które sąsiadki rodziców wypowiadały nad moją głową podczas kuchennych posiedzeń przy kawce.

Smętnie kiwał głową. Wizja strasznej rozpusty na hotelowym tapczanie oddalała się z każdym moim słowem. A już czuł, jak się we mnie okrutnie wbija, miał obmyśloną całą technikę. Wielomiesięczna abstynencja i ćwiczenia pamięciowe, obejmujące zwłaszcza wspomnienia z wojska, miały pomóc mu w utrzymaniu równowagi między wzwozem a niebotycznie wysokim wskaźnikiem długości stosunku. „I tak ze dwadzieścia minut”, widziałam w jego oczach. Zasłużyłby na „misiaczkę” i potwierdził wysoką sprawność bojową swojego pokolenia. Już czuł moją wymanikiurowaną dla niego łapeczkę na swojej owłosionej po męsku kłacie. Bo łysina coś mówi o mężczyźnie, pokazuje, czego się spodziewać. Dostałabym przynajmniej awans. Wiele zależało od jego woli. Już widział mnie wdzięczną do łez, przywiązaną na zawsze, co byłoby może odrobinę kłopotliwe ze względu na obecność w tle żony i zwłaszcza córki, młode kobiety są takie roszczeniowe. Ale dawałby radę, lawirując między nami do szczęśliwego końca. Jakiego – nie wiedział.

Niestety, widziałam mniej więcej to samo, ale pod innym kątem. Pompowanie materaca, skrzypienie tapczanika, zapach sflaczałego ciała umęczonego ubraniami z materiałów z syntetyczną domieszką. Szczękające o siebie sztuczne zęby. Zadyszka, siwe włosy wystające spod pach. W łazience szary ręcznik i szczoteczka do zębów z naturalnego włosia w kubku służącym również do gotowania wody na kawę zalewajkę, którą chętnie przyrzadziłby dla nas o świcie. Przerazająca wizja. Apokalipsa w świecie erotyki. Trzymałam się twardo wersji: czuję się zaszczycona, piłabym z pana ust każdą mądrość i uczyła się od niego życia, ale niestety, kobieta składa się z powinności i należy do dziecięcia. Nie ulegnę, mimo przemożnej ochoty oddania się pod tak świetną opiekę intelektualno-erotyczną. Wiłam się jak włosy na umywalce, starając się zachować delikatność.

Nie będę opisywać naszych kolejnych spotkań, pytań o córkę, uprzejmości, zniecierpliwienia. Wiedział, że o kobietę należy zabiegać, nie szanowałby mnie, gdybym od razu się zgodziła, ale to? Odmawiałam. Być może opowiadałam o jego awansach koleżankom z pracy. Zamiast się położyć z rozpustnie otwartymi oczami albo go – w trosce o kręgosłup autorytetu – dosiąść, migiałam się bezczelnie, żeby robić najgorsze rzeczy z jakimiś innymi, bezwartościowymi egzemplarzami męskiej fauny. O tak, widziałam w jego spojrzeniu własną degradację, która sprawiała, że nie chciałam skorzystać z uszlachetniającej drogi do łóżka szefa.

Dokręcił śrubę. Zakupił i upowszechnił w Instytucie sporą liczbę egzemplarzy

miejscowego dziennika ze swoimi erotykami. Zorganizował małe przyjęcie imieninowe, podczas którego panie składały pocałunki na jego policzkach, tuż nad łupieżem na klapie marynarki. Urządził dyskusję na temat szczególnie udanego tekstu o metodologii badań nad ubytkami wody w regionie w kontekście informatycznym. Jako szef, człowiek sukcesu i wrażliwy poeta, a ponadto nieskazitelny obywatel z bojową, może i wewnątrzpartyjną opozycyjną kartą, spodziewał się nagrody. Miałam szansę zostać jego muzą. Albo chociaż przyjaciółką, co pozwoliłoby mu wyjść z honorem z widocznego już dla innych tańca godowego.

Jeden z erotyków sekretarki wywiesił na tablicy przy wejściu do salki konferencyjnej.

Jakże pięknie wyglądasz muzo
Różanopalca jutrzeńko
Zapalasz konie cwałujące we mnie
Zdobywam od Boga wskazówkę
Wojennym trudem wieńczę
Nasz grzeszny związek

Przynajmniej był to wiersz biały, ale mój facet w przetartym garniturze nie zawsze unikał rymów. Różewicz, jego zdaniem, wiódł poezję w niewłaściwym kierunku. Proszę, pokazał, że też potrafi. Przeczuwał, że poruszeni miejscowi literaci nie omieszkają urządzić seminarium porównawczego, na którym uznają jego wiersze za nową awangardę zachowującą najlepsze cechy tradycji.

Gdyby nie zauważył osadu dawnej zażyłości między mną a Bogdanem, nie zaczęłyby staranniej sprawdzać mojego grafiku. Gdyby Bogdan nie przystanął w drzwiach na nasze piętro tego dnia, kiedy mój biedak w przetartym, przepraszam, nowym garniturze zmierzał do toalety. Gdyby po wódeczce, pitej całkiem legalnie z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, Bogdan nie pocałował mnie w szyję, dość niestosownie jak na standardy państwowego Instytutu, choć na ogół mijał mnie z demonstracyjnym brakiem zainteresowania. Gdyby.

Mój facet w garniturze – może i nowym, lecz błyskawicznie szarzejącym w coś niepokojąco zgniłego wymieszanego z czymś starym – poczuł się głęboko dotknięty w swej zaoferowanej szczodrze męskości, która wisiała teraz smętnie w szerokich spodniach. Nie musiał nawet się macać pod stołem. Wiedział: odebrałam mu moc. Odrzucony i smutny, nie dokona upragnionego wyczynu na potrzebującej samotnej matce.

Gdyby. Gdyby nie kolejny obrót biurowego koła, nadszedłby kres mojej pracy

w Instytucie. Przyszła do nas Irka, po informatyce na zachodnim uniwersytecie i stażu w placówce podobnej do naszej. Nie ustawała w zgłaszaniu propozycji organizacyjnych i programowych. Zakłócała spokój. Była do tego, na swoje nieszczęście, bardzo ładna. Miała szczupłą talię, wydatne piersi i biodra, nogi po szyję i długie, kręcone, rudawe włosy. Spinała tę nieprawdopodobną miedź w węzeł, ale gdy podczas rozmów wzrastała temperatura emocjonalna, uwalniała je spod szpilki. Sypały się jej na plecy, ramiona; dotykały biurowej zastawy, butelek z mineralną, dziurkaczy i spinaczy. Każde z nas odkrywało następnego dnia rude włosy na własnym grzebieniu. Łączyła seksapil z inteligencją, nie mogła pozostać niezauważona.

Odwróciła uwagę od pozostałych kobiet, w tym ode mnie. Atmosfera miała potencjał wybuchowy. Panowie zaczęli dbać o garderobę. Nie widywało się już tyłu brudnych szklanek we wspólnej łazience. Każdy miał do załatwienia sprawę przy umywalce. Paradowali po korytarzach pod pretekstem mycia naczyń, parzenia kawy, sprawdzania sprzętu, wymieniania dyskietek. O grze dowiedziałam się od Bogdana. Wróciliśmy do niezobowiązujących pogawędek, na tyle rzadkich, by nie groziły wznową.

– Prowadzę w Spotkać Irkę Częściej – oznajmił i znacząco zawiesił głos, stanąwszy nade mną z talerzem zupy w bufecie, który dzieliliśmy z pobliskim Archiwum Szkolnym.

– W czym?

– W Spotkać...

Wyraźnie się zawstydził. Zdecydowanym gestem postawił talerz naprzeciwko mojego. Przysiadł się; nie robił tego od czasu, kiedy opuściłam nasz czworokąt otwarty.

– Co to takiego?

Wiedziałam, że nie odmówi wyjaśnień. Był dobrze wychowanym neurastenikiem.

– No, mamy w biurze taką zabawę. Naprawdę nie słyszałaś? W tygodniu zbieramy punkty za kontakt z Irką, w piątek wygrany nie płaci za fajrantowe piwo.

Zaczęłam coś kojarzyć. Tak, grali. Ruchy po stałych trajektoriach, palarnia na korytarzu w pobliżu pokoju 69, nagłe zainteresowanie reformą naszej pracy.

Dowiedziałam się potem, że gra pozytywnie wpływa na kreatywność i kompetencje panów. Najpierw robili notatki, z czasem przygotowali tabelę. Sprawnie opracowywali dane statystyczne. Zrozumieli sens słowa „strategia”. Kiedy włączyli się informatycy, akcja przeszła na poziom programu komputerowego. Pierwszy *network* w firmie dotyczył spotkań z Irką.

Czy nic nie zauważyła? Wciąż jej proponowano poniesienie dokumentów, podwiezienie po pracy, skoczenie po pączki, kupienie czegoś w bufecie. Bardziej pomysłowi oferowali ostatnie z puli socjalnej karnety na Lodogryf lub wyjście do kina. Ktoś się oświadczył. Czyjaś żona wpadła do szefa z awanturą. Czyjeś planowane małżeństwo zawisło na

włosku. Dyrektor chciał Irkę awansować, ale zamiast tego udzielił jej nagany za sianie niepokoju. Po roku wszystko się uspokoiło. Przedmiot gry nie grał w gry. Poszła plotka, że musi mieć feler, najpewniej jest lesbijką.

Męski personel przygarnął szefa, dopuścił go do zakładów. Miał łatwiej, mógł Irkę wzywać. Nie było to uczciwe, fakt, nierówne szanse. To była rozgrywka zbijanego, w której celem był dyrektor. Podejrzewałam, że o włączeniu uprzywilejowanego gracza zdecydowało wstawiennictwo Bogdana. Z daleka pomagał mi wywikłać się z trudnej sytuacji. Truchtając za zdolną informatyczką, mój facet w szarzejącym garniturze przeboleł stratę szansy na obsadzenie mnie w pożądanej roli. Zatrudnił zdolną studentkę, sprawdziwszy wcześniej, czy nie jest zaręczona. Od tamtej pory traktował mnie wyniośle, dokupił kolejne krawaty, emanował spełnieniem.

Odpywanie

W mieszkaniu Renaty na ostatnim piętrze nowego bloku odbywało się ostre picie z ostrym seksem. Renata pływała na promach pasażerskich. Nie wiem, skąd ją znałam – ona знаła pół miasta. Kiedy zdążyła się zapoznać z tym tłumem ludzi? Pozdrawiali ją na bazarku, w modnej kawiarni w barokowej bramie miejskiej, na ulicy. Pływała w systemie tydzień na tydzień, bardzo wygodnym ze względu na nałóg. Mieszkanie w centrum miasta, w wieżowcu otoczonym trzypiętrowymi kamienicami i zielenią, nieopodal przystanku tramwajowego, sklepu spożywczego i postoju taksówek, kupiła za gotówkę na kielkującym wolnym rynku. Wyposażone w Peweksie, wygodne, choć małe, dwupokojowe, z widną kuchnią i dużą lodówką wypełnioną baltonowskim żarciem. Z pachnącą dobrym mydłem łazienką i living roomem zastawionym ciasno skórzanymi fotelami. W tym pokoju – mimo dość marnych rozmiarów naprawdę nazywanym living roomem, bo Renata znała języki – centralnym punktem był barek na kółkach, wypełniony po brzegi różnymi gatunkami alkoholu, szklankami, kieliszkami, popitkami. Była tam także, niedostępna dla wszystkich uczestników oficjalnych libacji, sypialnia z wielkim łóżkiem zarzuconym miękkimi poduchami i pledami, białą toaletką naśladującą biedermeier (stołek przed nią był autentycznym antykiem) oraz szafą wnękową – oferowaną przez pewną firmę polonijną nowością na rynku. Wszędzie stały reklamówki z zakupami z krajów, do których pływała gospodyni. Najczęściej ze strefy wolnocłowej, rzadziej z drogiej Szwecji, czasem z Niemiec. Zakupy niemieckie oznaczały, że Renata ma kłopoty i czasowo odsunięta z intratnej trasy bałtyckiej i zacumowana jako marynarz bez patentu oficerskiego obsługuje pasażerów rzeczno-promu wycieczkowego. To się zdarzało – karą za niestawienie się, zapicie, urządzoną podczas służby libację była degradacja. Na szczęście miała w kadrach swoich ludzi, wiedziała, jakim prezentem zaskarbić sobie sympatię.

Mieszkanie w bloku stojącym w środku miasta niczym statek pasażerski na środku oceanu przypominało miniaturę posiadłości bohaterów *Powrotu do Edenu* w skali 1:100. Wszystko tam miała, wszystko tam było – zapach perfum, szelest drogich materiałów, brzęk odkładanej na stolik biżuterii, chrzęst kostek lodu w szklance whisky, głośny

śmiech i śmiałe riposty po szwedzku, urywki puszczonej na kasetowym grundigu Abby, porcelanowe filiżanki do herbaty, reprodukcje impresjonistów, afrykańskie maski, botki na szpilce leżące w przedpokoju, coca-cola na popitkę, aspiryna Bayera na rano, wymiana partnerów między gośćmi.

Była jedną z piękniejszych kobiet, jakie staczały się w mojej obecności. Piękne kobiety na ogół są zbyt zachwycone sobą, żeby trwonić czas i niszczyć ciało. Hodują włosy, paznokcie, skórę, rzęsy, opaleniznę, mężczyzn. Jeśli nawet mają skłonność do upadków, upadają w samotności, w zaciszu zamkniętych mieszkań, z kimś zaufanym. Nieczęsto mają autodestrukcyjną determinację Marilyn Monroe, bo rzadko bywają gwiazdami w skali przekraczającej kilkudziesięciu satelitów. Raczej czekają na okazję, czerpią małe profity, oszczędzają na przyszłość. Renia niczego nie oszczędzała – ani pieniędzy, ani siebie. Prosiła tylko, żeby ostrożnie obchodzić się z mieszkaniem, bo potrzebowała go na kolejne imprezy.

Poznałam ją w czasach, gdy spotykała się z kapitanem promu pasażerskiego, który miał żonę gdzieś w centralnej Polsce. Nie było to sprawiedliwe: najpiękniejsza kobieta w polskiej marynarce oddawała się szczodrze mężczyźnie przeciętnemu fizycznie, zaledwie sympatycznemu, niewyrafinowanemu intelektualnie i w dodatku nastawionemu rabunkowo. Kradł Reni sprężystość, gładkość, godziny, orgazmy, uśmiechy. Bolała mnie myśl, że nie odkłada z nią na starość, nie planuje rozbudowy domu, nie przynosi jej w zębach każdej upolowanej zdobyczy. Chociaż pieniędzy nie żałował, nie. Rozrzutnie kupował wolnocłowe flaszki, wrzucając te zakupy w koszty zawodu. Kręcił jakieś biznesy, na pewno, nie należał do kryształowych, i miał dzięki temu luźną, nieprzepatrzoną przez żonę gotówkę.

Renata była królową. Siadała tyłem do okna, żeby słońce mogło przeświecić jej kręcone rude włosy i ocieplić mlecznobiałą skórę mocno naciągniętą na delikatną czaszkę. Pokazywała aż po uda umięśnione długie nogi, kładąc stopy na jego kolanach, żeby mógł je od niechcienia masować – był kiedyś stewardem, wiedział, jaka to ciężka praca, a ona od czasu do czasu upadała tak nisko, do statkowego kelnerowania. Palce u stóp miała szczupłe, równe, paznokcie pomalowane zawsze lakierem w odcieniu królewskiej czerwieni. Paznokcie u rąk malowała tylko perłową bielą. Uwalniała włosy z gumek i wsuwek, którymi nadawała im służbowy ład. Odymała pełne ciemne usta i leniwie wkładała w nie małe kanapki. Każdym napięciem mięśnia widocznym przez cienki materiał bluzki, każdym drgnieniem żyły na szyi, muśnięciem włosów i wystawieniem końca języka zasługiwała na więcej, na wszystko, na całą flotę tego kraju, na cudzoziemskiego admirała. Gdybym decydowała o podziale samców, dałabym jej dowódcę sił zbrojnych kosmosu, międzygalaktycznego herosa.

Historie kobiet takich jak ona znamy z biografii upadłych aniołów, ale przecież byliśmy w Polsce, ledwo wychylonej ku wielkiej europejskiej rodzinie, w portowym mieście bez dostępu do morza – nasze anioły lądowały w M3, na odwykach w przychodni rejonowej, w salkach katechetycznych wynajmowanych przez desant AA. Bywała tam, żeby cofnięto jej zawieszenie i przywrócono funkcję drugiego oficera.

W szkole była prymuską, pomysł skończenia szkoły morskiej w jej przypadku wydawał się trochę niedorzeczny. Tak, miała talent do języków, była wysportowana, ale nie mogła liczyć na karierę Danuty Kobylińskiej-Walas. Polskiej flocie wystarczała Kobylińska-Walas, symbol jest symbolem, bo jest jeden. Dla kobiet przewidziany był kierunek oczywisty: pasażery, promy. Nie najgorszy, uroda Reni nie wyglądałaby dobrze na masowcu wiozącym, powiedzmy, węgiel, z załogą stłoczoną w niewielkich kajutach, skazaną na zapas wody i urojenia o seksie łagodzone zdjęciami żon i narzeczonych. Morze zabiłoby ją szybciej niż tamtych. Prawdziwe morze, nie Bałtyk z trasą jak po sznurku, z rzadka bujający w sposób zauważalny dla pasażerów, bo przecież nie dla wilczyc morskich. Tak, wypływała swoje, chowając włosy pod czapką, i zanim zamustrowała na prom, była drugim oficerem. Pierwsza wpadka miała miejsce w afrykańskim porcie, Renata nie była w stanie dopilnować załadunku. Raport napisał miejscowy agent przewoźnika. To wtedy przeszła na bałtyckie promy i pracę w wahadłowym systemie tydzień na tydzień.

Nie wiem, dlaczego piła. Z potrzeby mimikry? Podczas pierwszego rejsu szkolnego pojęła, że musi być jak inni, bo inaczej zostanie ich ofiarą? Czuła nostalgię? Przerazał ją bezkres? Celnicy odkryli jej dziuplę? Nie wiem, poznałam ją już jako ostrą zawodniczkę. Związaną z tym wrzodem na dupie, żonatym kapitanem, który cumował przy niej, jakby nie widział, że jest innego gatunku, zupełnie nie dla niego, nie jakaś portowa lala, naiwna, romantyczna lub zdesperowana. Królowa Renata, do której modliły się dziwki, młodzi księża, mężatki proszące o dziecko, maturzyści, smutni mężczyźni koło trzydziestki i ja – kobieta z ochotą na przejścia.

Mieli umowę, mieli grafik. Kto pierwszy zdał służbę w te tygodnie, kiedy ich łajby miały ten sam cykl, a oni ten sam kalendarz wacht, organizował przyjęcie powitalne. Szampan lał się strumieniami, czasem do wanny wypełnionej gorącą wodą z zagraniczną pianą. Wódka i lody czekały w lodówce. Nie zapominali o wykwintnym jedzeniu, o kawiorze, sardynkach, salami, szynce baltonowskiej, sosie tabasco do jajek, wykałaczkach do koreczków. Zapas raczej dla gości, na następny wieczór. Oni potrzebowali tylko szampana, małych kanapek i seksu. Nie gotowali. Dla niego, jeżeli miał czas do niej pojechać – gotowała żona. O Renacie nikt nie pomyślał, może mama, jeśli dała jej szansę. Renata prawie nie jadła. Uzupełniała dietę tabletkami.

A więc pierwszy wieczór mieli na seks i szampana. Nie upijali się za mocno, żeby czuć. Po dniach na morzu doprawiali swój seks kroplami tabasco, bo przecież nie schabowym do znudzenia serwowanym na statkach. Przynosili reklamówki pełne wszystkiego, co mogło się przydać na następne dni, kiedy on zostanie albo nie zostanie. Dawał jej prezenty, które przyjmowała bez podziękowania. Odkładała do szafy niemierzone ciuchy, wstawiała kwiaty do pustego wazonu, skazując je na śmierć w ciągu doby. Dziękowała, wpuszczając go do wanny, siadając mu na kolanach, wyjmując mu z ust papierosa, kładąc się na skraj łóżka, żeby mógł przed nim uklęknąć. Zaciskała mu uda na czaszce, próbując, czy jest dość mocna. Na potem, gdyby miało dojść do krzyków, wystawiania jego walizki na korytarz, rzucania o ściany szklankami od kompletu, drapania tapet i bicia go pięściami po tej ohydnej gębie, którą parę godzin wcześniej uznawała za godną zanurzania się w swoich włosach, swoich piersiach, między swoimi nogami. Bili się często, ale zwykle oszczędzali twarze, bo przecież za parę dni on musiał wracać na mostek, a ona do kajuty na drugim pokładzie. W najgorszej, pełnej miłości furii zdejmowała jeden z eleganckich kapci, których używała tylko w sypialni, i waliła go nim na odlew właśnie w tę twardą dużą głowę, z nadzieją, że coś mu w niej przestawi.

Pierwszy wieczór, nazywany czasem rżnięcia, był dla nich, rzadko zapraszali wówczas publiczność. Drugiego, po drugim rzucie rżnięcia i już normalnym picciu, otwierali drzwi. Zapraszali tłumy, rzadko można było znaleźć wolne miejsce w fotelu. Ludzie wchodzili i wychodzili, wyciągali jedzenie z lodówki, dolewali sobie alkoholu. Jeśli czegoś zabrakło, zamawiano pana Zenka z taksówką, żeby jechał do Delikatesów albo Baltony. Na dobę przed końcem wolnego tygodnia wypraszała ostatnich gości, nie otwierała nikomu. Jeśli był, mieli czas na dogrywkę. Jeśli zostawała sama, brała długie kąpiele, szła na basen, do fryzjera. Wietrzyła, wyrzucała, brała suplementy. Póki trzymała się tego rozkładu, było w miarę dobrze. Oboje wracali na swoje statki zrelaksowani. Co parę miesięcy dopadał ich szal, ogarniała lepka ciemność. Nie wychodzili, a jeśli on uciekł i zostawił ją samą, urządziła tsunami swojemu robakowi. Od kapitana chciała bólu i tylko bólu. Nie prostej bijatyki, eksplozji złości. Bólu zadawanego na zimno. Szedł za nią, myśląc, że odpocznie na statku. Był wciąż młody, woda kolońska działała cuda.

W dni równowagi między seksem a alkoholem, zwłaszcza jeśli jej kochanek „mógł zostać”, Renacie błyszczały oczy. Błyszczał między jej piersiami łańcuszek z krzyżykiem. Błyszczały jej usta pociągnięte szminką. Błyszczała jego zapalniczka Ronson. Ale nawet w te dobre dni, gdy ona przyjmowała gości w jego białych kapitańskich koszulach, a on wychodził spod prysznic z dopiero co umyтыми włosami – bo kochali się znowu, chociaż czekali na odwiedzin – Renata płynęła szybko, wysoko, nieodwołalnie. W dni gorsze, kiedy odjeżdżał taksówką – musiał do kurwy nędzy odwiedzić rodzinę, syn miał kłopoty

w szkole, córka, podatki, teściowa – zataczała się przy każdej próbie wstania z fotela. Pomagali jej, młodzi mężczyźni i młode kobiety, chodzić do łazienki, skąd wychodziła odświeżona, pachnąca wiosną i rzygami.

Bywałam u nich przynajmniej raz w miesiącu. Zawsze miałam nadzieję, że trafię na moment już po jego wyjeździe. Chociaż jego obecność rozpromieniała Renatę, wolałabym, żeby go nigdy nie było. Była mi jak siostra, kazirodcza kochanka. Sposób, w jaki zanurzała się w seksie, upewniał mnie w przeświadczeniu, że ma swoje tamagotchi. Przy niej nie musiałam się powstrzymywać. W razie czego mogłam zostać w fotelu i przespać się parę godzin, a rano usmażyć sobie jajko, zażyć aspirynę i napić się pończynianki przed sięgnięciem po kacowego drinka. Czasem można było, jeśli starczyło przytomności, przyłączyć się do jakiejś małej grupy robiącej sobie dobrze. Kto lądował w łóżku Renaty, trafiał szóstkę w totka. Nie była wierna kapitanowi. Zapewne siniaki na jej przedramionach były jego odpowiedzią, chociaż oficjalnie twierdził, że są w otwartym związku, łączy ich szampan i seks, tylko tyle. Ale mimo wszystko był kapitanem, nie znosił sprzeciwu. Jej silne, piękne ciało, systematycznie zatruwane niedoborem spełnień, nadmiarem alkoholu i kto wie czym jeszcze – w obcych rękach? Oblepione cudzym śluzem? To jakby obryzgano błotem jego mercedesa zaparkowanego w miasteczku w centralnej Polsce. Bił ją za to, za bryzgi obcej śliny i spermy – wiedział, że je lubi – i za własne wygodnictwo, bez mała świętoszkowatość, które trzymało go przy żonie i dzieciach daleko od naszego portowego miasta.

To był romans tragiczny, wzniosły, wspaniały i pełen przemocy. Każdy mężczyzna, który przychodził do nich na resztki po pożądaniu i żarciu za obce waluty, i prawie każda sącząca martini kobieta byliby skłonni rzucić się przed Renatą na kolana, gdyby uniosła spódnicę. Ale nie wiem, kto chciałby zostać – jej kace, jej podkrążone oczy, jej spanie przez cały dzień przed zamustrowaniem, jej nieskazitelną podchodząca już ropą zniszczenia – pozwalały nam brać bez dawania. Była jak pogotowie pijackie, prowadziła luksusową melinę. Widziałam ich możliwą metamorfozę – Renaty i meliny. Niedużo trzeba, żeby zagnieść skórę na kobiecie i fotelu. Zmatowić zęby i kafelki. Stępieć paznokcie i kanty mebli. Odebrać królowej blask, tłukąc jej głową o kandelabry.

Nie mogła wierzyć w życie i w śmierć. Nie odkładała na potem – życia, pieniędzy. Tamtego razu drzwi były otwarte, a ludzi mniej niż zwykle. Na klatce minęłam kapitana z walizką, miał podbite oko. Powiedział coś wulgarnego i melancholijnego. Weszłam. Mieszkanie było zdemolowane. Poprzewracane stołki, butelki i szklanki. Nieodpakowane reklamówki. Na ścianie przekrzywiona fotografia przedstawiająca ich dwoje na tle afrykańskiej wioski. Na tym rejsie się poznali? Po nim zabrali jej książeczkę żeglarską? Woda w wannie. Dwoje czy troje biesiadników przy kuchennym stole, odsuniętych na bok,

poza scenę ich rozstania. Bo pachniało rozstaniem. Końcem tych spotkań.

Wyszła z sypialni, ubrana, umalowana i trzeźwa. Pozornie trzeźwa, pozornie spokojna, na pewno w jej krwi krążyła whisky zmieszana z relanium.

– Poszedł? I dobrze. Dotrzymajcie mi towarzystwa. Nie będziemy się smucić. Jest picie, jest żarcie, jest muzyka. – Podkręcała się mozolnie, było widać naciągniętą sprężynę. – Kto ma dziś ochotę na prawdziwą zabawę? – zapytała.

I znalazła chętnych. Półożąc w fotelu, obserwowałam ją przez cały wieczór, całą noc i cały poranek. Wiedziałam, że wewnątrz wygląda jak obrazy Marka Rothki, ale na zewnątrz była żywa, mięsista, mięśniowa, pizmowa i schlana. Miałam czas, postanowiłam zostać.

Weszłam do sypialni, w jej gładką pościel, dostałam się do gładkiej szyjki jej macicy. Usypiała i wracała, prosząc się o więcej. Pachniała smutkiem, alkoholem i słodyczą. Spałyśmy z butelkami pod ręką. Wychodziłyśmy, żeby odstawić puste: w sypialni lubiła mieć porządek. Prosiła, żebym biła ją jego skórzanym paskiem. Miałam za mało siły, żeby przepędzić z niej puste fioletowe pejzaże, ale starałam się jak nigdy dotąd, prosząc Tamagotchi, żeby pomogło mi pokonać zmęczenie i wziąć kolejny zamach. Chciałam ją uspokoić bólem. Kogo potrzebowała w tej sypialni, żeby zaznać spokoju? Pasowałyby do ram obrazów ze scenami rodzajowymi, do spokojnych portretów nagich nimf, do fantazji impresjonistów.

Musiałam wyjść, odejść. Miałam nadzieję, że się pozbiera. Wypłynie w kolejny rejs, wróci, zaprosi kapitana i przyjaciół. Może znajdzie dla mnie miejsce w swoim napiętym grafiku. Miałam halucynacje od mieszanki wermutu, papierosów Prince, smirnoffa, dżinu i jej śliny. Wydawało mi się, że widzę nas, spokojne kobiety w średnim wieku, jak siedzimy na trawie i wystawiamy twarze do słońca. Ktoś zapalił przyniesioną z kuchni lampę kwarcową. Nie wiedziałam, gdzie znaleźć taksówkę. Pod drzwiami stały butelki z mlekiem o obrzydliwym smaku ścierki i wymion. Musiało pochodzić z hodowli ekologicznej.

Chodziłam tam blisko dwa lata. Bywałam z nią bardzo blisko, bywałam na drugim, trzecim planie. Trułam się wyziewem destrukcji, odnawiałam biologicznie pod nakryciem jej rudych włosów. Była moją ulubioną przystanią, moją najlepszą meliną. Kazirodczą siostrą machającą z drugiego brzegu.

Potem nagle zniknęli – ona, on, ich goście. Podobno kapitan przeniósł się do Transoceanu, a ona... Nie wiadomo. Jak wszystkie tragiczne kobiece postaci wyszła za mąż. Wciąż, mówiono, pływała. Po odwyku, na który wysłali ją ci mądrzy z przedsiębiorstwa, nierozumiejący jej uroku. Parę razy mignęły mi jej rozpuszczone włosy. Rude włosy zawsze wywołują we mnie dreszcze. Taka była piękna, upadła,

cudowna. Nie zasługiwał na nią, nikt z nas na nią nie zasługiwał, na jej luksusową melinę, na kąpiele w szampanie. Powinna dostać międzygwiazdowego herosa. Powinna otaczać się pięknymi dziewczętami. Powinna po wsze czasy siedzieć na tle okna, ze słońcem rozświetlającym jej sylwetkę, z zapalniczką Ronson przypalającą jej marlboro, ze szklanką irlandzkiej whisky gęstej od smaku jak jej cipka. Bogini upadku i spełnienia. Moja druga oficer w podróży przez rozkoszne morza.

Dobrosąsiedzka manufaktura

Nocne trzaski u sąsiadów nie ustawały. Potrzebowałam spokoju w te noce, które spędzałam w domu, czytając do późna i – żeby Tamagotchi nie oszalało – niezobowiązująco zabawiając się z sobą, w myśl zasady, iż lecząc się z nałogu, nie należy odstawiać tego, co nas uzależniło, lepiej przejść na dawki homeopatyczne. Tymczasem kolejny rok upływał pod znakiem nieoczekiwanych, trudnych do sklasyfikowania przesunięć, uderzeń, brzęków i odjazdów samochodu w środku nocy.

Kim mogli być ci sympatyczni ludzie, małżeństwo w średnim wieku z dorosłym synem? Mijaliśmy się obojętnie, z rzadka rozmawialiśmy o ogródku lub informowaliśmy się o planowanych letnich przyjęciach przy otwartym wyjściu na wspólny taras. Nie doszliśmy do zażyłości, która usprawiedliwiłaby wynurzenia na temat pracy, konfliktów z prawem, hobby. Coś tam robili, najchętniej nocami, żeby ukryć przed innymi rezultaty, albo po prostu dlatego, że cierpieli na bezsenność.

Nie brałam już dodatkowych lokatorów do swojej części segmentu, zrezygnowałam z tego. Ktoś musiał zostawać z dzieckiem, więc wyprzedzając obyczaje bohaterów seriali, zamawiałam babysitterkę na godziny. Mirela, studentka pedagogiki, przez całe pięć lat studiów dorabiała siedzeniem z Anią. Kompetentna, sympatyczna, powolna, lubiła wieczorne dyżury, kiedy układały razem puzzle i czytały książki, które im zostawiałam w trosce o wszechstronną edukację córki. Ufałam jej bardziej niż rodzicom; czasem podrzucałam im małą, ale raczej dla podtrzymywania pozorów i więzi niż z musu. Wiedziałam, że w tych niemal odświętnych okolicznościach matka wyskoczy z podomki, ale przyzwyczajona do obecności Ani, zaczęłaby dzielić się z nią zawartością kubka.

Hałasowali na tyle umiarkowanie, że nie budzili dziecka. Słyszała ich, owszem, co potwierdzało moje odczucia, mogące być symptomem wywołanym przez Tamagotchi. Zatrzymywała się w drodze do łazienki, żeby posłuchać szelestów, przesunięć i załadunku. Należały do naszych nocy. Spokojnych nocy. Nie widywała mnie nigdy opanowanej przez wewnętrznego lokatora.

Osiedle tymczasem zarosło ozdobnymi krzakami, podeszło do kolejnych ciągów domów. Mieliśmy porządną drogę, latarnie, przystanek autobusowy, a nawet przedszkole. Było

miło. Nie chciałam mieszkac gdzie indziej. Lubiłam domy w centrum, zamieszkiwane przez kolejnych odwiedzanych w wiadomych celach dobrych znajomych i dobre znajome, którzy niemal zawsze narzekali na stan instalacji hydraulicznej. Trudno byłoby mi wrócić do zimnych łazienek, wiecznie przegrzanych lub niedogrzanych sypialni, nieszczelnych okien, czterometrowych zasłon zwieszających się z karniszy, skrzypiących podłóg, pokojów przechodnich. Skromny luksus ufundowany na równie skromnej kartotece Jarka (jakże niewinny się wydawał w porównaniu z aferzystami kolejnej dekady, oszustami podatkowymi, złodziejami paliw, handlarzami żywym towarem, producentami dopalaczy) dobrze nam służył. O przewodniczce nawet nie pomyślałam.

W noce napiętych nerwów odgłosy zza ściany zaczęły mnie drażnić. Przedtem oswojone, teraz nagle zakłócały sen. Wstawałam i nie mogłam wrócić do łóżka. Dostawałam wysypki. Siadałam w kuchni i targowałam się ze sobą o telefon do kogoś, kto mógłby zaraz przyjechać. Po trzeciej w nocy bałam się skutków, chodziłam do Instytutu na ósmą rano. Wracałam późno. Przestrzegałam zasad higieny życia codziennego: nigdy za mało snu dwie noce pod rząd, seks na wezwanie wewnętrznego stróża, bo tak przywykłam nazywać gnające mnie przez lokalne podwórko pożądanie.

„Bez Kompromisów” miało się lepiej, niżbym mogła zaplanować. Zmieniłyśmy lekko profil na lifestylowy, wchłonęłyśmy kilka małych gazetek z lokalnego rynku. Zatrudniłam trzy osoby na stałe, w tym jednego chłopaka, absolwenta filozofii, którego dziewczyny zaakceptowały. Coś się między nimi zakotłowało, za bardzo tego nie rejestrowałam, bo miałam nowe pomysły na życie, o czym za chwilę. Dochody z reklam ciuchów, kosmetyków i przedmiotów niewiadomego przeznaczenia pozwalały nam drukować manifesty i poematy. Niektórzy twierdzili, że piero pieniądze, bo inne pisma padały jedno po drugim, a ja bez wysiłku dostawałam kolejne reklamy, dofinansowania i dotacje. Magistrat nosił mnie na rękach, zostałam honorową obywatelką miasta w podzięce za rubrykę o Kwitnących Lasach, jego flagowym projekcie. Na tle ich wizualizacji dobrze wypadały gadzety jednego z naszych głównych reklamodawców, sieci sklepów dla majsterkowiczów i ogrodników. Grałam na dwie strony, brałam bez zahamowań. Zaczęłam przyjmować ludzi w ciuchach młodych polskich projektantów i w butach, które, co prawda, nie nadawały się do chodzenia, ale do siedzenia w fotelu i owszem. Samo się kręciło, nie wiedziałam nic i nadal zaprzeczam w sprawie rzekomych słupów, które miałabym podstawiać. Nie rzuciłam pracy w Instytucie, zależało mi na zusie, na stabilizacji. Nie ufałam sobie, dobrze, o to też po części chodziło. Wolałam mieć obowiązki o ósmej rano, żeby sprawnie dzielić czas między Tamagotchi a Anię. Wygodnie mi było w moim dojrzałym ciele, nieco tu i ówdzie sfatygowanym przez stworka i niedelikatnych kochanków, ale odnawianym, odkarmianym, głaskanym, nacieranym.

Może właśnie ten nieoczekiwany dobrostan, smak dekady między trzydziestką a czterdziestką, skłonił mnie do przyjrzenia się sąsiadom. Rozważałam ekspansję na drugą połowę domu kupionego przez Jarka jako całość. Dobrze byłoby połączyć segmenty, mogłabym mieć bliżej życia z Anią to drugie. Nie miałam planu, prawdę mówiąc, co najwyżej fantazje, które usprawiedliwiała przestępcza przeszłość ojca mojego dziecka.

Po prostu zaczęłam być miła. Zapytałam, czy nie chcieliby z nami pogrillować, czy nie mają nic przeciwko zasadzeniu nowego żywopłotu. Weszłam w sąsiedzkie gadki. Byli sympatyczni, chętni, dowcipni. Zaprosili mnie na małego drinka.

Wnętrze wyglądało dokładnie tak, jak za dawnych czasów. Siadając w skórzanym fotelu, poczułam ostry skurcz w podbrzuszu. Tak, ta skóra pamiętała dotyk moich gołych pośladków i kolan, tu właśnie odgrywaliśmy z Jarkiem zastępcze sceny miłosne, jeśli nie mieliśmy czasu na hotel. Rzadko, ale jednak. Ściągał mi szybko majtki, klękał obok, żeby mieć wygodny dostęp do mojej natychmiast otwierającej się cipki, i wkładał w nią język, czym tylko mnie drażnił. Nie był w stanie zagłębić się we mnie zbyt radykalnie, więc odwracałam się, jęczałam niecierpliwie i sięgałam po niego, a on wchodził bez choćby milimetra dystansu, wykorzystując wynikający z pozycji skrót i nie zwracając uwagi na bydlęcą skórę, która ziębiła moje kolana. Nasza własna, spocona i oblepiona śluzem, dotykana fragmentarycznie, była wyraźnie innego gatunku, zdecydowanie bardziej organiczna. Człowiek, myślałam między pchnięciami, tylko do pewnego stopnia jest zwierzęciem. Nie ma w przyrodzie nic porównywalnego w dotyku do zatopionych w sobie genitaliów. Za podkład powinna nam służyć podgrzana satyna, łóżko do kosmetycznych zabiegów, nie zabite i fabrycznie wypreparowane ciele. Fotel, choć ogrzany nami, pozostawał zimny i martwy. Teraz, w pokoju opanowanym przez nowych właścicieli, głaskałam dłonią podramiennik, a Tamagotchi chichotało. Nieprzyjemny chłód skóry wywoływał we mnie podniecenie.

Po paru drinkach i przyjaznych zagajeniach odważyłam się zapytać:

– Co wy właściwie wynosicie i wynosicie w nocy?

Miałam niemal pewność, że dowiem się czegoś sensacyjnego.

– Czy przeszkadzamy? – zaniepokoił się pan domu.

– Nie, nie, po prostu pytam.

– Staramy się być cicho, ale ściany cienkie, a ty często nie śpisz.

Była w tym aluzja do mojego nieuporządkowania, w głosie pani domu wyczułam zapowiedź transakcji, której miałyśmy dokonać.

– Zajmujemy się robótkami ręcznymi – powiedziała.

– Robótkami? Na to bym nie wpadła.

Istotnie, „robótki ręczne” wydały mi się eufemistycznym określeniem onanizmu. Już nie

pamiętałam szali i swetrów dzierganych podczas zajęć z wojska na czwartym roku studiów. Robią swetry dla dzieci z Afryki? Coś bezszelestnego, więc nie może chodzić o wbijanie ćwieków w bieliznę erotyczną. Koronki z Koniakowa?

Sąsiadka otworzyła szeroko drzwi do sąsiedniego pokoju i zaprosiła mnie szczodrym gestem. Na środku stał duży stół oświetlony lampkami biurowymi. Pod ścianą kartony. Wokół stołu – wygodne na oko krzesła. Na jednym z nich siedział syn gospodarzy, sprawnie machający igłą, którą wbijał w czerwony kawałek czegoś, co wyglądało na dziecięce ubranko.

– Mamy tu małą manufakturę. Najzupełniej legalną – pospieszył z zapewnieniem sąsiad.

Podeszłam bliżej. Wzięłam do ręki leżące na stole ubranie. Dziwne, dziwnawe. Jakby dla dziecka, ale potworkowatego, z pięcioma parami cienkich kończyn. Nie robiło jednak nieprzyjemnego wrażenia. Miękkie, z jakiejś bawełnianej, szlachetnej nitki, czegoś w rodzaju grubszego kordonka. Szydełkowa robótka połączona z materiałami w różne wzorki. Dojrzałam miniaturowe króliczki.

– Ładne, prawda? Pracujemy kolektywnie. Wzory i półfabrykaty dostajemy od pośrednika, przygotowujemy transport i wysyłamy raz w tygodniu do Monachium.

– Ale co to takiego? Jakieś zabawki? Ubranka dla lalek?

Tamagotchi wierzgnęło wyraźnie, poczułam je tak mocno, jak czułam Anię tego wieczora, gdy Jarek mówił o ślubie. Ostatni raz dzwonił z Monachium.

– Nie wiem, czy zrozumiesz.

Zaprowadzili mnie z powrotem na fotel.

– Szyjemy dla kliniki terapeutycznej, w której pacjenci leczeni są metodą ubranizacji. Zupełnie nową. W skrócie: wizualizują swoje wewnętrzne problemy, zwłaszcza te dotyczące seksu, a następnie opiekują się nimi, ubierają je i karmią. W zestawie są małe łóżeczka i buteleczki. Dopakowujemy je u nas albo nasze ubranka jadą jeszcze do Pasewalku i tam byli enerdownscy dysydenci dokładają swój produkt, bardzo ciekawy: skautowskie insygnia, paczki małych papierosów i malutkie aparaty podsłuchowe. Wypracowali prototyp w czasach, gdy nie mogli opuszczać kryjówek w Berlinie Wschodnim. Po solidnych, długotrwałych testach.

Spojrzałam na leżący na moich kolanach kawałek materiału. Zabrałam go z pracowni? Wyglądał, zauważyłam teraz, jak kostium upozowanej na pajacyka małej Chinki z zapasowymi ramionami. Zabawny i przyjemny w dotyku.

– Kto prowadzi tę klinikę?

Nie wiem czemu, poczułam się bardzo dobrze i chciałam wiedzieć więcej.

– Nie wiesz? Nie domyślasz się? To biznes z polskim kapitałem.

Wiedziałam, czułam, jakby w pokoju unosił się, pozornie zupełnie wytchły, zapach Jarka: piżmo, drzewo oliwne, tytoń i mirra. Może coś jest w tej całej legendzie o genach i dziedziczeniu? Anulka pachniała wodą po goleniu ojca, która na niej brzmiała kobieco.

– Jarek finansuje klinikę, ale z wiadomych względów pozostaje w cieniu. Zatrudnia słynnego behawiorystę o niekonwencjonalnym umyśle. Wyleczyli wielu ludzi. I wielu dają pracę.

– Z czego właściwie leczą?

Już się domyślałam.

– Z poczucia, że seks nam zagraża.

– A wy? – Chciałam wiedzieć. – Jesteście zdrowi?

Uśmiechnęli się do siebie nad moją głową.

– My? – odpowiedziała sąsiadka. – Jasne.

Tej nocy usnęłam, mocno przyciskając dłonie do brzucha. Pierwszy raz pomyślałam, że Tamagotchi jest sympatyczne, mogłabym dla niego zaprojektować jakieś wesołe ubranko. Popiskiwało we mnie jak myszka i prosiło o kilka muśnięć łechtaczki, więc zanim zapadłam w sen wypełniony kolorowymi skrawkami jedwabiu, doprowadziłam się do maleńkiego, kosmetycznego orgazmu.

Witaj w domu, maleńka

Miałyśmy tyle lat, ile trzeba, żeby nie czuć zniechęcenia i mieć już coś do rzucenia na szalę. Najlepszy wiek, średnie stany trzydziestki. We włosach Gośki zachęcająco błyszczały siwe nitki. Na swoją niewątpliwą pociągającą kobiecość nakładała kostium ciężkich spodni i butów, w modzie były martensy i bojówki, do tego koszulka w stylu militarnym – zdradzały ją usta, oczy i włosy: która z nas była bardziej kobietą niż ona, tak stanowczo odrzucająca wszelkie łaszki, ozdóbki, szminki? Zamotany wokół nadgarstka czerwony sznurek był jej jedyną biżuterią. Kwiatowy zapach wydzielala sama z siebie, nie kupowała perfum w strefie wolnocłowej, przyjeżdżając do mnie z berlińskiego squatu. Skręcała papierosy palcami o lśniących różowych paznokciach, nietkniętych ostrym narzędziem. Najpiękniejsza znana mi kontestatorka piękna. Mówiła wolno, nie dawała sobie przerywać.

Mogłam się wówczas wydawać zabawna, miałam w sobie powagę, zdecydowanie i wygadanie skrzyżowane z umiejętnością milczenia. Piłam bez zagryzania i krygowania się, po prostu, czystą wódkę, i od razu mówiłam jeszcze składniej, tańczyłam jeszcze chętniej, uwodziłam jeszcze skuteczniej, grałam w bilard, badmintona, tenisa stołowego, brydża, jeszcze chwila, a mogłabym wyjąć z za pazuchy madzonga, o monopolu nie wspominając – proszę bardzo. Śpiewałam ciepłym altem, grałam na gitarze, flecie i pianinie. Przystrojenie sali na wiejską zabawę zabierało mi jakieś czterdzieści pięć minut. Gadałam językami, numerami popisowymi były *Oniegin*, *Hamlet* i ballady Schillera oraz *of course* dyskusja o przyszłości zielonej energii, języku staro-cerkiewno-słowiańskim, kulturowej tożsamości płci i głębi literatury korzennej. W zapasach dawałam radę, cholera, chyba te dziesięć kilogramów więcej dawało siłę nacisku. Po co miałabym z tego, z tej łatwości, rezygnować?

Pisałyśmy do siebie listy. Była ostatnią osobą, z którą prowadziłam regularną tradycyjną korespondencję na kartkach z zeszytu w kratkę wkładanych do zielonkawych kopert. Na każdej kwiatek, aluzja zaczerpnięta z mowy kwiatów, na której znałam się tak samo jak na grzybach, rodzajach makaronów i składnikach używanych do produkcji perfum. Byłam znana z kiecek wyławianych ze stert w lumpeksach, przerabianych

z matczynych, kupowanych za dolary w Peweksach, przywożonych z wakacji i z zakupów w Oder-Center Schwedt, witajcie, Polacy, i bądźcie błogosławieni, ale uważajcie na szyby w zaparkowanych pod sklepem samochodach.

Nie patrzyłam odwieszonej do szafy poprzedniej sobie w oczy. Troszeczkę bała się ciemności, więc zostawiałam uchylone drzwi. Wierzyłam, że lubi mnie zrobioną na laskę i poczeka do mojego powrotu, najwyżej zwinie się w kłębek i przytuli do sukienki matki, koszuli kochanka, poświeci sobie latarką w głąb pokoju, na stoliki nocne zastawione kosmetykami i talerzami czereśni, kupionych rano na małym targu prosto od producenta, który nie używa żadnej chemii poza tą z butli ozdobionej trupią czaszką.

To była nowa, bardzo *femme* epoka, czas Gośki, który trwa, dodam, z przerwami do dzisiaj. W pierwszej fazie byłam niemal na wyłączność. Znacze to? W komediach romantycznych i purytańskiej prozie mówi się o tym „motyle w brzuchu”. We mnie nie mieszkały motyle, ale Tamagotchi trzepotało czułkami, kiedy oddalałam się od niej. Stąd antologia środków komunikacji: telefony, esemesy, maile, Skype, karty grosikowe na zagranicę, abonament na coraz to inną strefę. Samoloty, statki, samochody, autobusy, pociągi. Wlokąc się pociągiem przez Indie, uprawiałam na odległość grę wstępną przesiąkniętą zapachem curry. Siedząc przed ekranem komputera, wyjmowałam pierś ze stanika. Gośka kojarzyła mi się z rozkoszą, jej imię brzmiało Sto Rozkosznych Schadzek, ale poza tym miałyśmy prawdziwe porozumienie intelektualne.

Początkowo wydawało mi się, że tylko intelektualne. Poznana podczas konferencji feministycznej, na którą zaproszono mnie z „Bez Kompromisów” jako pismem otwartym, a wręcz lekko przegiętym, zwłaszcza jeśli chodzi o dział interwencji poetyckich (miałyśmy przez niego nawet proces o obrazę obyczajów), wyłaniała się od czasu do czasu zupełnie nieoczekiwanie. Prosto z jakiejś wyprawy, jakiegoś konwoju humanitarnego, kopania studni, oderwana od gaszenia pożaru, ogorzała i wyprostowana jak struna. Wchodziła do redakcji, na wykład, do mojego mieszkania, do sali konferencyjnej Instytutu, ale przez całe lata tylko po koleżeńsku, na chwilę. Nie flirtowałyśmy. Miałyśmy inne tematy, inne dylematy do roztrząsania. Poza tym zaraz pakowała niewielki plecak, mówiła „No to do” i wychodziła, jak weszła, zostawiając za sobą zapach damasceńskiej róży, nieco dławiący i trudny do wywietrzenia. Aż do czasu, gdy zaproponowała mi wyjazd na Bałkany, gdzie miała podczas wakacji realizować program treningowy dla kobiet – ofiar wojny.

Lotnisko w Sarajewie przywitało mnie uderzeniem gorąca, porównywalnym z tymi, jakie zaczęłam odczuwać po czterdziestym piątym roku życia. Upał, kurz, przygnębiające okolice zabudowane jakimiś barakami, a w tle ruiny i półruiny. Wyjazd z lotniska przypominał drogę na jakimś polskim zadupiu, nie było w tym nic egzotycznego, jeśli nie liczyć stojących przy drodze patroli wielonarodowego wojska. Potem zrobiło się nieco

lepiej, jakieś małe gospodarstwa przyklepione do zielonych wzgórz przerastających skalisty krajobraz. Później pokazała mi polodowcowe zakręty, meandry i tunele, stare skruszałe góry, przydrożne knajpy z jagnięciną z grilla, koryta rzek, wsie pilnowane przez krzyż z jednej, minaret z drugiej strony. I zupełnie zrujnowane, zrównane z ziemią wioski, dekoracje do scen, których nie umiałam sobie nawet wyobrazić, a których od tamtego pierwszego razu wyglądałam w filmach.

Pokochałam to miejsce, a potem wiele następnych, do których zaczęła mnie wzywać, nie pytając o mój rozkład zajęć. Uczyłam się „dzień dobry”, „do widzenia”, „dziękuję” w coraz to nowych językach. Zamieniłyśmy listy na maile. Wypróbowywałam przyprawy zbierane gdzieś o świcie. Kładła na dłoni słodki orzeszek z orientального sklepiku i czekała, aż go sobie wezmę zębami. Wszędzie, dokąd mnie zawołała, kupowałam jej kolorowe chusty do wiązania się w naszym przenośnym kościele.

Pokochałam jej ciało, każdą fałdkę, pieprzyk i smak. Po niej tym bardziej smakowały mi inne. Przez kontrast, z tęsknoty, na przekór. Im więcej brałam z niej, tym bardziej chciałam nie jej. Żeby się przekonać, że zawsze jest inaczej. Im częściej byłam z innymi, tym szybciej kupowałam bilet, jechałam do niej wygłodzona, odwodniona z nieugaszalnego pragnienia. Nie porównywałam: dodawałam i mnożyłam.

Wszędzie była u siebie, ale nie mieszkała, jak można by się spodziewać, na egalitarnie zapuszczonych osiedlach. W Sarajewie, miejscu naszej pierwszej schadzki, wynajmowała całkiem przyjemne mieszkanie w wili na jednym ze wzgórz okalających Bašćaršiję, rzemieślniczą dzielnicę stanowiącą centrum miasta. Wypełnione sprzętami gospodyni, sprawiało wrażenie zupełnie niedotkniętego wojną mieszkanka starszej pani. Być może tak było, chociaż w niemal każdym domu ktoś kogoś stracił, na każdym rogu kogoś niedawno zabito.

Myśląc i mówiąc o poważnych sprawach, oddawałyśmy się jednak studiom nad ciałem. Tamagotchi bardzo je pochwalało. Pływało w moim brzuchu jak płód, muskało moją macicę włoskami postawionymi do pionu w nasze słodkie popołudnia. Polubiło miejscowe słodycze, a ja nie umiałam mu odmawiać. Po trzech tygodniach wakacji zaokrągliłam się w biodrach, moje piersi wyrywały się ze staników, usta nie chciały się domknąć. Zwilżałam je ciągle końcem języka, przygotowując dla jej ust. Jej wargi miały smak konfitury z róży pomieszanej z solą. Słono-różana bogini wozila mnie po okolicy jeepem i wymyślała po drodze pieprzne zadania. Zdejmowałam majtki w sklepie, przechadzałam się po plaży nudystów, pływałam nago wśród skał. Leżałam bez ruchu z zaciśniętymi powiekami i czekałam na jej kaprys. Czasem mówiła: „Ubierz się, bądź poważna, jedziemy na spotkanie” – a ja, choć wytracona z równowagi, ufnie szłam dalej i dalej, wiedząc, że w końcu jej język, mały i ciepły, doprowadzi mnie do wibracji, z których wyjdę

przez barwne kręgi, przez błaganie. Z nią pierwszy raz doszłam na krawędź halucynacji podczas niekończących się serii orgazmów. Potem, następnego ranka, obudził mnie obraz pól lawendowych, między którymi płynął nasz jacht. Falujące w jeszcze ciepłym, ale nie gorącym powietrzu fioletowe dywany powoli mnie otaczały. Kołysałam się na powierzchni, niezagrożona upadkiem i przebudzeniem, a ona okrywała mnie prześcieradłem wykończonym mereżką przez chorwacką hafciarkę. Nad zatoką niósł się śpiew ptaków, który koło południa przechodził w gwar z plaży i portu, a pod wieczór w odgłosy dyskoteki techno. Bywało, że nie zwiedzałyśmy tych nowych miast i miasteczek, tylko podróżowałyśmy po swoich piersiach i brzuchach.

Razem przeszłyśmy przez wstrząsy technologiczne. Mimo pracy w Instytucie nie znałam tego sposobu.

– Za darmo? To znaczy, że nie zapłacę więcej za telefon? Mam po prostu ściągnąć ten program? Powtórz, jak się nazywa? Jak? Możesz głośniej?

Kiedy się zdecydowałam i kliknęłam na ikonkę nie bez przyczyny przedstawiającą znak zapytania na tle fantomowej głowy wyrastającej z niebieskiej nicości, na wszelki wypadek mówiłam krótko. Dopiero po paru rachunkach uwierzyłam w cud nowej techniki. Za internet płaciło się razem z telefonem, za „ramotanie” wychodziło kilkadziesiąt złotych miesięcznie. „Ramotanie” od *remote*, ale bardziej od dźwięku wydawanego przez komputer podczas oczekiwania na magiczne otwarcie wirtualnego okienka. „No prędeż, ramotaj się prędeż” – mówiłam, wyczekując z palcami nad klawiaturą, niecierpliwa i spięta, wsłuchana w chrobot na łączach. Głos dochodził czasem jakby z drugiego pokoju, kiedy indziej jednak przez watę tych wszystkich gór, autostrad, ruin, hoteli, zatok, osiedli, rozstrzelanych wiosek, jezior, mas powietrza i płyt tektonicznych między nami. Odbity od tuneli i zakrętów, stłumiony, rozproszony, zniekształcony, dawał pojęcie o odległości. Kiedy połączenie było lepsze, traciłam rezon, bałam się uwyrażnienia, nie lubiłam gwałtownego pozornego zmniejszenia dystansu wskutek lepszej fonii. Wizja była mglista, to znaczy odkąd kupiłam kamerkę, coś tam można było zobaczyć, ale raczej rozmazane rysy niż osobę. Nie wypadało prowadzić rozmów w szlafroku. Kamerka paraliżowała. Parzyłam kawę, przynosiłam samej sobie ciasteczka. Przenosiny z kawiarni do domu. A tam, pamiętałam, kawa w tygielkach smakowała kwaśno i słodko, musiałyśmy ją zapijać solidnym łykiem wody.

Podobno trzeba trafić na swego. Nie była przecież moją pierwszą kochanką. Trudno nawet powiedzieć którą. Dziesiątą? A jeśli liczyć czasy szkolne? Może dwudziestą którąś? I mężczyźni, w końcu miałam ich wielu. Lecz działo się coś, czego wcześniej nie znałam. Może po prostu przypadła do gustu Tamagotchi, prawdziwemu dysponentowi mojej przyjemności?

Niestety jechała dalej i wiedziałam, że jej nie zatrzymam. Na powitanie mówiła: „Witaj w domu, maleńka”, nawet jeśli była to hotelowa nora. Na pożegnanie mówiła: „Cześć, mała; bądź tam grzeczna” i trudno było zgadnąć, czy odczuwa niewygodę z powodu naszego rozstania. Przed podróżą starym słowiańskim zwyczajem przysiadaliśmy na krześle. Pieściła moją szyję, wbijając lekko zęby w zaczerwienioną od pocałunków skórę. Rozumiałam kochanki wampirów. Nie ma bardziej obehwładniającej rozkoszy niż ta, która zaczyna się na małym terytorium między uchem a obojczykiem. Ta rozkosz zostawała ze mną przez następne dni, zakładała mi pieczęć.

Balansowałam od przeczulenienia do znieczulenienia. Aż Afrodyta postanowiła podkreślić co nieco na liczniku. Pojawił się Igor.

Mężczyzna, który skłonił mnie do miłości

Przez miłość rozumiem tu cielesną harmonię, grę na wielu instrumentach, może perkusyjnych, ale raczej strunowych, niech będzie viola da gamba, mia cara, wirtuozerię moich dwojga kochanków. I chyba nie chodzi wcale o samo „podkręcanie”. Chciałam jeździć na wezwania Goški, nic poza cenami biletów lotniczych nie stało na przeszkodzie, ale po paru latach coraz większej zażyłości, która objawiała się z mojej strony wzrastającą intensywnością doznań (wracałam od niej zmęczona i nasycona, leczyłam kontuzje, szukałam tylko kobiet), mój potworek, nazywany już konsekwentnie raczej stworkiem, zaczął podsylać mi sny o mężczyznach. Czułam cienką nitczkę pomiędzy zamieszkiwaną przez niego niszą w moich trzewiach a sylwetkami samców, które przesuwały mi się pod powiekami, gdy zapadałam w sen. W te noce, kiedy usypiałam przy Gošce (nago, do łóżka nie pozwalała mi się w nic ubierać, wyjątek robiła dla kupowanych na bazarach strojów religijnych kobiet, bardzo wygodnych w niektórych okolicznościach), wychodzili do mnie z mroku półautomatyczni faceci. Nie mam na myśli kolejnego modelu wibratora, choć kupowałyśmy zabawki wszędzie, dokąd nas zagnały klęski humanitarne współczesnego świata, czyli w stolicach Zachodu bez końca obradującego nad tym, jak zaradzić niesprawiedliwościom. W każdym mieście – od Amsterdamu po Nowy Jork – miałyśmy ulubione adresy sklepów dla pań. Ale nie, nie śniły mi się ani silikonowe króliki, ani czarne dilda, ani te szklane, podniecające przez skojarzenie z butelką. Nie, nie chodziło o zainwestowanie w zdalnie sterowany wynalazek, niedziałający jednak wcale zgodnie z opisem, raczej irytująco nieskuteczny. Śpiąc przy Gošce, śniłam o ciężkich stanowczych facetach, którzy mogliby mnie przygniatać, ścisnąć, penetrować, wlewać we mnie nasienie przez pochwę i przez gardło. Mimo że z Gošką kolekcjonowałam najmocniejsze ze wszystkich dotychczasowych odczuć, a ich siła miała ciągłą tendencję zwyżkową, we śnie widziałam mężczyzn automaty, maszyny do seksu, nieopanowanych dominatorów. Klękając przed nią i biorąc za włosy klękające przede mną dziewczyny, marzyłam o nim, nieskonkretyzowanym, wpychającym się od tyłu. Choć z nią miałam tak dużo, potrafiła się we mnie rozgościć szczelnie jak nikt, czułam, że zmieściłby się jeszcze i on. Odpowiedni. Kompatybilny. Odporny na porównanie z nią. Owszem, spotykałam się

z tym i owym, robiłam wypadki do męskich łóżek, ale nie o taki seks nam chodziło – stworkowi i mnie. Byliśmy bardziej zaawansowani.

Igor, wbrew temu, co może sugerować imię, nie pochodził ze Wschodu. Był ernerdowskim dysydem z komunistycznej rodziny. Poznałam go w Pogorzeli na wieczorku poetyckim zorganizowanym, a jakże, przez „Bez Kompromisów” przy okazji konferencji na temat „Pogranicza historii / pogranicza herstorii”. Przyjechał z herstorią, swoją dziewczyną. Wyjechał ze mną. Jeszcze przed końcem imprezy, zanim Ulrike wpadła na to, że coś kombinujemy. Wolałam się nie przekonywać, czy zareagowałyby zgodnie z niepisanymi zasadami koleżeńskich romansów wolnych ludzi. Wyjechaliśmy z Pogorzeli do Niechorza, niedaleko, byle poza zasięg wzroku uczestników pogranicznych debat.

Tak, w narracji o polskiej i niemieckiej opozycji było za mało kobiet, należało odzyskać kobiecy punkt widzenia, Igor w pełni się zgadzał z tym postulatem. Usunął się na ten raz w cień swojej ładnej, nonszalancko, w stylu Ossi, zaniedbanej dziewczyny, choć sam miał dużo do powiedzenia. Do mnie mógł mówić długo, jego wschodniobrzeński dialekt miejski brzmiał w moich uszach jak muzyka. Nie wszystko rozumiałam, więc przechodziliśmy na rosyjski, który w partiach zasadniczych brzmiał chwacko i nieco ryzykownie, jeśli wziąć pod uwagę kontekst historyczny.

Ale po co kontekst. Igor od pierwszego dotknięcia był jak płynny metal. Twardy wewnątrz, z wierzchu miękki. Moje palce wchodziły w jego skórę jak w srebrno-żelazną surówkę. Nie stawiała oporu do momentu, gdy się napiął w grze o wydolność. Oszalałam od tego, od niego. Siwiejące włosy, które pokrywały całe jego ciało, wydawały mi się runem leśnym, przytulałam do nich policzek jak błędząca w puszczańskich ostępach dziewczynka. Jego penis smakował solą morską, pot tarninową nalewką, ślina tatarakiem. Jego czaszka mogłaby być pokazywana w muzeum antropologicznym. Przed niemym zachwytem chroniło mnie tylko ostre pożądanie. Odzyskałam zdolności gimnastyczne. Zarzucałam mu nogi na ramiona, żeby mógł wejść głębiej. Leżałam na nim jak na sprężystym materacu z jednego z niezliczonych Matratzenhandlung w Berlinie, stopami w stronę jego twarzy, żeby mógł patrzeć, zanim zechce znów przewrócić mnie na plecy. Zapomniane lub niewypróbowane wcześniej figury same przychodziły mi do głowy, do ciała.

Zaraziłam się nim jak tropikalną chorobą. Żaden środek zapobiegawczy, żadne przyjmowane wcześniej szczepionki nie dały temu rady. Próbowałam, owszem, leczenia. Bezskutecznie. Bycie z nim i bez niego dawało te same symptomy. Po początkowej uldze przychodził wstrząs anafilaktyczny. Wyciągały mnie z niego zdawkowe komunikaty nadawane z oddali przez Goškę.

– Jak tam, mała? – pytała z wyczuwalnym podtekstem.

I już pakowałam walizkę, jeszcze ciągnąc Igora w środku dnia do sypialni, jeszcze wywołując go w środku zebrania.

Widziałam w nim Alka, prawie-męża, Jarka, innych, jak w talii tarota na podświetlonym kosmicznym blasku stoliku. Chciałam tę talię tasować i zwielokrotnić. Odświeżać układy i wymyślać zupełnie nowe. Przypomniałam sobie starą zabawę na podłodze łazienki w moim rodzinnym domu. Tę grę w „Co jeszcze mogę dla pani zrobić?”, w której prowadziłam obiekty swoich eksperymentów po sznurku reżyserowanej przeze mnie roli. Teraz pytałam serio, „Co jeszcze zrobić?”, i miałam nadzieję, że Igor wyznaczy mi ambitne zadanie. Szeptalam *keine Sorge*, gdy wyrażał obawę, że coś za bardzo, za mocno, zbyt wyuzdanie na mnie wypróbować. Bałam się go spłoszyć, ale nadaremnie mówiłam sobie „spokojnie, spokojnie”, bo ciągnęło mnie do niego od pierwszego spojrzenia, od pierwszej chwili, gdy poczułam jego pot. Jeszcze tam, w jadalni ośrodka w Pogorzelic, przechylałam się w jego stronę na krześle, kopana mocno od środka, żeby natychmiast go dosięść, nie bacząc na pozostałych uczestników nadętego spotkania. Tamagotchi puszczało soki smakujące ambrozją, lukrecją i persymoną. Kładło się w pozycji embrionalnej, żeby nie uronić niczego z moich doznań. Przekazywało mojej krwi adrenalinę i opium.

Zdecydował jednak sam ciężar Igora, sama jego siła. Gryzł mnie, wyciskał na mnie siniaki. Rano, w łazience, podziwiałam charakter zostawionego na mnie miłosnego pisma. Smugi, wgniecenia, otarcia, czerwone plamy, żółte odciski palców, ugryzienia, uszczypnięcia. Myślałam się delikatnie, żeby go z siebie nie ścierać. Trzymał się mocno, twardy mężczyzna, który nie kłaniał się poprzedniemu systemowi. Wielbiciel wełnianych swetrów i punkowych kapel z Prenzlauer Berg, gdzie niegdyś znajdowały się miejscowe browary. Lubił piwo, najbardziej lokalne gatunki rozlewane na moim brzuchu. Zlizywał je ze mnie z miną zadowolonego psa i nie przestawał mówić. Co to było? Feromony pobierane przez powłoki skórne? Poezja Olava Münzberga? A może coś innego, triumf połączenia odmienności, nagroda, wyróżnienie, jakiego dostępują ludzie absolutnie wolni. Tak, pisał dla mnie wiersze.

Jeszcze niewyrównane

Między nimi a nami

A mam ich kobietę

I daję jej siebie

Fuck me, darling

Oddaję ci prowadzenie
Naprzeciwko zebrze
Stara kurwa bez nogi
Nie udajesz że nie
Nie udajesz nikogo
Na tej barykadzie
Bez granic
Jesteś namniejawtobie

Podaję w wolnym tłumaczeniu, niemiecka wersja brzmiała lepiej dzięki nawiązaniom do tradycji lingwizmu. Wszystko brzmiało lepiej, kiedy wziął to w usta. Skrawek szynki, którym się dzieliliśmy. Łyk piwa, bo pijał tylko piwo. Drugi koniec banana, którego obrał do połowy, zanim mi go włożył. Moje palce, ssane między ssaniem jego palców. Głośno brzmiały zwłaszcza sutki, powiększone jak w czasach karmienia, z przeczulenia niebolesne. Dotyk brzmiał, zapach mówił, smak wibrował, a Ziemia pod hotelowym łóżkiem odrywała się od Układu Słonecznego i leciała na łeb na szyję, ku chwale ciał, śpiewając głośno hymny wszystkich państw Unii Europejskiej, aż obudziłam się z biletem do Kanady w ręku, bo członkowie mojej orkiestry postanowili dawać koncerty w maksymalnie dużym oddaleniu od siebie nawzajem.

Puk, puk, a co w przerwach?

Najlepszy seks zaczyna się w połowie życia. Do życia najlepsza jest połowa życia. Od momentu, gdy sąsiedzi pokazali mi swoją domową manufakturę, odwiedzałam ich regularnie. Podziwiałam pomysłowość, która przez lata pozwalała im utrzymać się na fali: fabryki w Chinach nie były dla nich konkurencją. Czasem robili mi i Anulce zdjęcia, domyślałam się, że dla Jarka, więc przed zapukaniem do sąsiedniego segmentu wkładałam coś seksownego, byłam mu winna dobry wygląd, łączyło nas tak wiele. Przypadkiem zobaczyłam leżącą na stole zbiorową fotografię zrobioną w jakiejś egzotycznej scenerii. Nie udawałam dyskretnej, wzięłam ją do ręki.

– Widujecie Jarka? – zapytałam.

– On teraz nie ma na imię Jarek – sprostował sąsiad.

– Domyślam się – odparłam; nie próbowałam się dowiadywać, pod jaką działa przykrywką.

Miałam czasem wrażenie, że nad nami czuwa, chociaż zerwał kontakt. Bywały sytuacje, w których coś się zmieniało na korzyść – „Bez Kompromisów” dostawało zlecenie na reklamę, przychodziło do mnie zamówienie na zagraniczny artykuł, Anulka dostawała się do prywatnej szkoły na miejsce stypendialne i wygrywała kolejny konkurs związany z nagrodą pieniężną. Nie wątpiłam w jej i swoje talenty, ale świat bywał nam wyjątkowo przychylny. Jeśli to on, ojciec, dyskretnie ukryty i niezmiernie wpływowy Corleone i Kinsey zjednoczonej Europy, usuwał sprzed naszych stóp przeszkody, uważałam to za coś w rodzaju udziału w życiu dziecka, które przecież od początku gotów był kochać. Rozdzieliły go z nią nieoczekiwane wyroki losu i moja niezależność.

Zakładałam, ufając w tej sprawie wyłącznie sobie, że nie wie o mojej roli w jego karierze, sama o niej zapomniałam. Byłam dyskretna, milczałam na miłosnych mękach i małych rauszach. Zdradzić mógłby tylko prokurator, ale ten został wiceministrem i nie zamierzał wracać do czasów małych łapówek i nieudanych procesów.

Czyż nie zrobiłam z Jarka uczciwego człowieka? Gdyby został w naszym mieście, nieco podupadłym w porównaniu z innymi, mógłby dojść do salonu samochodowego i hotelu spa, ale na pewno nie miałby wpływu na życie seksualne ludzkości. W zasadzie jest moim

dłużnikiem. Jeśli w jakimś momencie zechciał się z nami zobaczyć, wysłałabym Anulkę do niego. Sama wolę się trzymać z daleka.

Córka tymczasem urosła na tyle, że zaczęłam się bardzo pilnować. Wiedziałam, że powinnam jej dawać dobry przykład, więc nie uległam pokusie wstąpienia w trwałe związki. Stawiałam się do pionu po każdym ostrym ataku potrzeby stabilizacji. Wszędzie, u fryzjera, dentysty i w salonach prasowych, leżały ślubne gazetki, więc dziecko miało dość negatywnych wzorów. Pragnęłam dla niej innej kolejności, wbrew temu, co działo się wokół.

Tak, wizja ślubu bywa syczańskim pieprzem, dodawanym do fantazji erotycznych. Sama czasem *ni priczom* marzyłam o choćby skromnej ceremonii. Leciłam wtedy do Goški i dla zabicia czasu wyobrażałam sobie, że bierzemy ślub na przykład w Londynie. W białych sukienkach, albo ja w sukience, a ona w czarnym garniturze. Nasz ślub, nielegalny w myśl polskiego prawa, daje nam przewagę moralną nad obskurancką większością. Noc poślubną rejestrujemy kamerą, na filmie widać, że nigdy jej nie opuszczę, dopóki nie dostanę swego.

Silniejszą pokusę stwarzał mimo wszystko Igor. Żadne z nas nie było wcześniej w małżeństwie, oboje gardziliśmy papierem (Goška, okazało się, miała męża, a potem żonę – lub w odwrotnej kolejności). Fantazja o ślubie była jedną z odpowiedzi na wciąż dodające nam wigoru pytanie „Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?”. Bo co jeszcze, po paru latach tęczowych zjazdów, mogłabym zrobić? Brałam pod uwagę różne obrządki, które na oko zdawały się wystarczająco restrykcyjne. Musiałby to być rytuał stawiający mnie niżej, robiący ze mnie dar zapakowany w pozłotko. Ktoś musiałby mnie Igorowi oddać, przekazać, może z piętnem wypalonym na pośladku, piersi, ramieniu. Musiałabym przysięgać na kolanach, że nigdy mu się nie sprzeciwię. Potem na smyczy zaprowadziłby mnie ze świątyni do ciemnego pokoju, gdzie odbyłaby się noc poślubna, pełna mojego niespełnienia, zapowiadającego ranek seryjnej rozkoszy. Poprzeczkę ustawiałam wysoko, nie było nadziei na znalezienie odpowiedniego szamana. Mijało po uderzeniowej dawce orgazmów. Więcej nie dało się dla niego zrobić, nawet rewolucjonista zleżał w końcu i zasypiał. Nie wierzyliśmy w trwałość inną niż taka.

Ania przeszła przez gimnazjum i liceum lekkim, eleganckim krokiem. Postanowiła studiować projektowanie stroju, zadomowiona od lat w sąsiednim segmencie naszego bliźniaka. Przed maturą szyła już według własnego projektu. Zaproponowała komplety: dla człowieka i jego mieszkańca. Zgłębiając zasady szycia, poczuła, że potrzebuje też fakultetu z psychologii.

Była, dodam, od wczesnych lat uświadomiona. Wiedziała, że zabawkowe fatalaszki mają służyć ekspresji seksualnej ludzi, którzy coraz częściej wybierali tę metodę godzenia

yin i yang, wody i ognia zamieszkujących ich wnętrza. Znałam jej pierwsze porywy miłosne, nie prowadziły na razie zbyt daleko. Nie przeciągałam jej na stronę wyzwolenia, należy do pokolenia dość stanowczo purytańskiego. Tak, tak. Jak niegdyś rozwój literatury opisywano przy pomocy sinusoidy, tak i epoki seksualne ludzkości opisać można jako przyływy i odpływy. Śmielsi od naszych rodziców, wydaliśmy na świat pokolenie nieśmiałych kochanek i kochanków. Niektórzy z nich ślubowali nawet czystość. Inni przesadnie przejmowali się wyglądem ciała. Dziewczyny odmawiały jedzenia, chłopcy katowali się w siłowniach. Plaże nudystów opustoszały, tylko dawni enerdownscy twardziele jeździli po świecie, szukając miejsca do zrzucenia majtek. Wszystko było dla tych nowych dzikich podejrzane i zabronione, w rozmowach używali eufemizmów. Zaspokajali się ukradkiem, w swoich pokojach, przed ekranami komputerów. Nie mieli w szkołach lekcji wychowania seksualnego, sami wszczynali rebelie i strajki okupacyjne przeciw ich obecności, którą dekadę wcześniej przyjmowano jako oczywistą. Woleli religię i nauczanie o świętej rodzinie. Na ich tle Anulka była w miarę harmonijnie rozwiniętą nastolatką, nie uniknęła jednak nastroju epoki. Twierdziła, że seks z miłości smakuje najlepiej.

– Kochanie! – krzyczałam zatroskana. – To właśnie jest miłość! Musisz być blisko z ludźmi, żeby poznać jej skład chemiczny.

Wiele wskazywało na to, że nie uniknę losu teściowej, jeśli pojawi się kandydat wydzielający dość mocne feromony. Na dziewczyny moja kochana córeczka nawet nie zerkała. Tę falę wyrugowała z naszego kraju działalność misyjna zakonnic z Australii.

A jednocześnie, niedaleczko, Jarek rozwijał swoje kliniki przerabiające wewnętrzną niepewność w domowe pluszaki obdarzane zaufaniem i brane bez oporów do łóżka. Tak, świat, pozornie jednorodny, miał postać szkiełek rozsypanych jak w kalejdoskopie.

Kochałam Anulkę nad życie, więc poprosiłam sąsiadów, żeby przerzucili ją do ojca, skąd mogłaby udać się na najlepsze uczelnie świata, żeby rozwijać swoje zainteresowania i talenty. Obiecałam, że nie będę jej tropić, poczekam, aż zdecydują, czy jest bezpiecznie. Pomagałam spakować walizkę, wspominając jej poczęcie w hotelowym pokoju. Do momentu jej wyjazdu byłam zatrudniona w Instytucie, który mieścił się teraz w nowym bloku, wyższym od poprzedniego o kilkanaście pięter. Gra w Spotkać Irkę Częściej podbiła nowe terytorium. Nasi chłopcy wciągnęli do niej sąsiednie biura, Irkę zastąpiła kolejna dziewczyna. Kobiety Związek Zawodowy wpuścił w komputery kontrgrę Zaliczyć W Biurze Więcej. Protest Męskiego Związku Zawodowego wywołały punktowane fotki kolegów, skomentowane bez cenzury obyczajowej. Fakt, demistyfikowały coroczny ranking osiągnięć. Niezbyt mnie to jednak obchodziło, bo miałam inne sprawy na głowie.

Robiłam, teraz już dużą, gazetę. Pochowałam mamę i oplakałam jej podomki i kubki,

a tata ożenił się z wieloletnią przyjaciółką rodziny i wyjechał na południe, w jej strony, hodować merynosy. Twierdził, że od lat o tym marzył. Nie bardzo wiem, jak wyglądają merynosy. Sonia nie odzywa się do mnie, wstąpiła z mężem do sekty o surowej regule. Liczą na rychłe nastanie wiecznej szczęśliwości, powstrzymując się od jedzenia, seksu i telefonowania w wybrane dni tygodnia. Królową Śniegu, zatrzymaną gdzieś w okolicach pięćdziesiątki, widywałam przemykającą po mieście w długim futrze, jakich już nikt nie nosił. Redakcję co parę lat poszerzałam i odmładzałam, dziewczyny wyjeżdżały, zakładały własne biznesy kulturalne. Skład podstawowy się nie zmienił – I. i B. trwały na posterunku.

Pewnego pogodnego dnia zadzwoniła do mnie była żona Alka.

– Jesteś ostatnia – powiedziała.

– W czym?

Przez chwilę podejrzewałam, że kompletuje kochanki męża, żeby powiedzieć im teraz, co o nich sądzi. Byłabym jego pierwszą i ostatnią miłością?

– Próbuję od tygodnia, szukam was różnymi kanałami. Alek nie przechowywał notatników z adresami. Twój numer miał zapisany na kartce w portfelu.

Wyjaśnienia potwierdzały moje obawy.

– Chodzi o to, że trzeba go wykopać. Nie chcę tego robić z dziećmi, rozumiesz?

Rozumiałam, że nie dziećmi, ale...

– Jak wykopać? – zapytałam. – Kiedy, gdzie, jaki sprzęt? – dodałam na wszelki wypadek, żeby nie stracić okazji do gry w Poznać Rywalkę Bliżej.

– Alek chciał zostać zakopany na szkolnym boisku, czego, rozumiesz, nie da się zrobić legalnie. Napisał w testamencie, że chce, by zrobiły to jego serdeczne wdowy, które poznają się po tym, że żadna nie odmówi drugiej.

Zobaczyłam scenę miłości z Alkiem, której nieco jednak żałowałam wcześniej, kiedy nie znałam jeszcze wszystkich swoich tajemnic. Teraz otoczyło ją lekkie różowe światło. Zapachniało prostą wodą kolońską, gumą do żucia i oranżadą. Gdyby nie tamten raz, byłabym zaledwie platoniczną przyjaciółką. Antygona, nie żartujmy, sypiała jednak – z narzeczoną być może, ale z bratem na pewno.

Odkopałyśmy urnę o zmierzchu, kiedy na cmentarzu nikogo nie ma. W bocznej alejce, nie czułyśmy zagrożenia. Co nam mogli zrobić? Poszłyśmy do jej mieszkania. Czekałyśmy do przedświt, pory najtrudniejszej dla dozorców obiektów szkolnych. Urna błyszcząca, wypolerowana troskliwie irchową ściereczką.

Zakopałyśmy urnę pod lipą, w miejscu, z którego Alek patrzył w stronę alei, czekając, aż się pojawię, lub odprowadzając mnie wzrokiem, kiedy wskakiwałam do tramwaju, żeby pojechać do nauczyciela muzyki. Chciał zostać zakopany właśnie tam, ale nie

powiedziałam jego żonie dlaczego.

Nauczyciel zaczął w ostatnich latach udzielać się politycznie. Jego ostre, skrajnie prawicowe wypowiedzi drukowała ogólnoeuropejska prasa. Nowa stażystka z „Bez Kompromisów” zrobiła z nim wywiad, w którym stanowczo potępił upadek wartości moralnych, odpowiadający jego zdaniem za kłopoty na rynkach pracy. Ufundował nagrodę dla zdolnej uczennicy miejscowej szkoły muzycznej, podkreślając, że chodzi o dziewczynkę, bo dziewczynki muszą mieć równe szanse.

Inni się rozplynęli; czasem wychodzili w moją stronę zza jakiegoś zakrętu na drodze.

So happy I could die

Odeszłam z Instytutu. „Bez Kompromisów” dzięki kilku kompromisom weszło na poziom przemysłowy. *Lifestyle*, owszem, nadal zajmował część numeru. Znalazłyśmy jednak pojemną niszę, stałyśmy się najlepszymi w kraju specjalistkami od interwencji poetyckich. Można było wykupić u nas publikację wiersza lub cyklu, recenzję, esej albo zahaczającą o dzienniki telewizyjne polemikę w sieci. Dzierżawiłyśmy stoliki w popularnych knajpach i sale w likwidowanych masowo domach kultury. Tak, naprawdę stałyśmy za budową tego nowego lokalu, przypisywaną miejscowemu potentatowi, nowemu wspólnikowi właściciela Enigmy. Ten ostatni został naszym dyrektorem wykonawczym. Zakazałam mu podrywania na mieście, skupił się na młodych, ale pełnoletnich poetkach. Rozwinęłam dział kontaktów zagranicznych. Wysyłałyśmy swoich autorów i swoje autorki na stypendia i festiwale, gdzie czekali na nich ustawieni paparazzi. Iwona przeszła do nas na stałe. Minęło dość czasu, byśmy patrzyły w przeszłość z sentymentem. Wprowadziła się do naszego nowego biura, zajmującego całą dawną Enigmę, z yerba mate i baterią czajniczków. Robiła najlepszą w mieście księgowość i najzdrowszą herbatę. Nadal nosi białe koszule. Prawda, prawda, nie były to wyssane z palca plotki. „Bez Kompromisów” pokierowało nową falą poetycką w Polsce, zrewitalizowało rolę poetów w kraju, w ostatniej chwili przed ich metamorfozą w Głogierów. Dyskretnie założyłam konto w Szwajcarii.

Instytut opuściłam pod koniec pewnej jesieni. Wyszłam po pracy na parking na dachu. Spojrzałam na miasto. Było piękne, wyglądało jak Berlin w filmie Wima Wendersa. Pomyślałam: „Ile jeszcze lat mam tu przychodzić?”. Lubiłam tę pracę, ale czułam, że będziemy przenosić się na coraz wyższe piętra, że będę miała coraz większy pokój i coraz więcej osób pod sobą, a wołałam naszą starą kameralną siedzibę i swoje skromne dziurkowanie. Nie, nie mam nic przeciw nowoczesności, w biurowcach brakuje mi jednak powietrza. Niby z wyższych pięter bliżej do chmur, ale wydaje się dalej.

Przeszłam więc do przemysłu kulturalnego na pełen etat. Podjęłam tę decyzję także z powodu konieczności dopasowania swoich zajęć do rozkładu tanich lotów. Poruszałam się po ramionach trójkąta. Bazą była moja połowa bliźniaka, nieco wyziębiona od czasu

wyjazdu Anulki. Na szczęście miałam sąsiadów. Ich syn założył filię szwalni na Ukrainie. Ożenił się z dziewczyną stamtąd, mieli już trójkę dzieci. Latałam dwa razy w miesiącu – do niej i do niego. Kiedy wracałam taksówką z lotniska, sąsiedzi bez względu na porę zapraszali mnie na ciepły posiłek. Owszem, kusilo mnie, żeby przybliżyć do siebie ramiona tego trójkąta – domowość, mężczyznę, kobietę. Śnili mi się razem, odwiedzali zgodnie moje łóżko. Ale tylko we śnie, na jawie nie pasowali do siebie: enerdowski macho i feministyczna aktywistka. Ich drogi przecinały się tylko na moim ciele. Gdzie jedno kończyło, zaczynało drugie. Patrzyli na podgojone ślady, pewnie z nadzieją, że zostawią głębsze, dostaną więcej punktów w grze Kochać Ją Częściej. Gdybym jednak przyznała któremuś z nich prowadzenie, byliby mną rozczarowani. Chodziło bowiem zawsze o więcej, chcieli mieć powody do więcej.

Oboje byli swobodni. Nie mówili o wyłączości. Milcząco zakładali, że trójkąt ma wypustki: Gośka wiedziała, że są mężczyźni. Igor wiedział, że są kobiety. Póki myśleli o wielu, nie byli zazdrośni. Mnożąc mnie przez wysoki mnożnik, doznawali mocniejszych orgazmów. Nie lubili myśleć, że jestem wierna. Trwale rozpięta między ramionami trójkąta, byłabym niepokojąco bliska monogamiczności.

Stopniowo jednak traciłam zainteresowanie osobami czwartymi. Byłżeby to związek poliamoryczny? Nic podobnego. Wznosiłam się w przestworza, lecąc do swojego zawodowego opozycjonisty pracującego w Kanadzie dla gazety związkowej. Dwa tygodnie później lądowałam tam, gdzie zakładała obóz słodka Małgorzata. Czasem bez ostrzeżenia zmieniali kontynenty lub lądowali gdzieś w pobliżu. Czasem któreś stawało rano na progu mojego domu i pytało o czysty ręcznik.

Pewnego razu wywabiłam Tamagotchi na światło dzienne, czy raczej wieczorne. Z listu Ani, która odbywała praktykę w jednej z niemieckich placówek leczących metodą Jarka – nazywaną już nie ubranizacyjną, lecz inaczej, od nazwiska profesora seksuologii zatrudnionego w głównej klinice – wiedziałam, że w wyjątkowych okolicznościach stworki dają się wyprowadzić poza organizm żywicielki czy żywiciela. Męskie zresztą bywały w tej sprawie swobodniejsze i czasem nie wracały już do środka. Różnica genderowa.

Puściłam na full ogrzewanie, zapaliłam świece. Dotykałam się łagodnie.

– Wyjdź, proszę, na chwilę – mówiłam, naciskając palcami na podbrzusze.

Nie wiedziałam, w którym jest miejscu. Opite Kanadą i Rumunią, spokojnie czekało na pobudkę. Poznało już nową asystentkę marketingu w „Bez Kompromisów”. Zdziwiło się, że zanim na nowo zaczęło pobudzać moje pragnienia, samo stało się ich obiektem.

– Wyjdź, mam dla ciebie fajne ubranko. Nie jesteś ciekawe, jak wyglądam? –

Próbowałam różnych zachęt.

– Wiem, jak wyglądasz, maleńka – zamruczało.

Miało chrypkę. I głosik podejrzanie podobny do czegoś, co znałam.

– Jesteś w środku piękna, wiesz o tym? Jak piwonia w ciepły letni wieczór.

– Nie chcesz zobaczyć mojego rozkwitania na zewnątrz?

– Nie, nie możesz być piękniejsza niż od środka.

– Skąd wiesz, jak wyglądają piwonie? – zapytałam podejrzliwie.

– Hmm. Widzę świat zewnętrzny.

– Oj, chyba trochę kłamiesz.

– No dobra, czasem wychodzę.

Poczułam łaskotanie, lekko zapiekło. Stworek wytoczył się na prześcieradło, a potem zwinnie wdrapał po moim udzie i brzuchu na lewą pierś, blisko serca.

– Włóż coś, muszę się schować, strasznie tu zimno.

Znało nazwy części garderoby. Mieniło się kolorami niczym szklana kulka odbijająca tęczę, ale w dotyku było raczej jak aksamit. Włożyłam flanelową górę od piżamy.

Wskoczyło do kieszonki, wystawiło główkę.

– Lepiej, kochanie? – zapytałam cicho, żeby czuło się bezpieczne.

– Nie musisz szeptać, tam bywa hałaśliwie – zapewniło mnie dzielnie.

– Zobacz, mam tu dla ciebie ubranko. Nie znałam rozmiaru...

Wciągnęło kolorową szmatkę do kieszonki. Zakotłowało się w środku, czułam je na sutku, przymknęłam oczy. Jego ciało było jak usta nieśmiałej kochanki. Nie powinno za długo siedzieć poza mną, traciło energię.

– Ładne. – Wystawiło jedną z rączek. – Chociaż niepraktyczne.

– Właściwie służy fantomom – przyznałam. – Prawdziwe chyba nie potrzebują ubrań.

Zachichotało uprzejmie.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytało rzeczowo.

– Czy jesteś ze mną szczęśliwe?

Czułam, że muszę zaraz je wypuścić z powrotem, zanim straci życie, pozbawiając mnie głodu.

– A ty ze mną, maleńka?

– Ja? Bardzo. Nie wierzgasz już od lat, nie kłujesz. Mam wrażenie, że pływasz i dotykasz mnie rzęskami.

– Dojrzeliliśmy, dotarliśmy się, kochanie.

– Masz dla mnie jakąś radę na resztę życia?

– Mam jedną. Bądź szczęśliwa.

Wybiegło z kieszonki i puściło się w dół.

– Na zewnątrz jesteś równie piękna – powiedziało, łaskocząc mnie w drodze przez wzgórek łonowy.

– Dziękuję, moje kochane – wyszeptalam zawstydzona.

Znałam swoją wartość. Potwierdzona przez tę dziwną siłę, która kazała mi drzeć przed grotą Królowej Śniegu i nigdy nie osłabła, wydawała się stabilna.

Latam więc w tym swoim geograficznym i erotycznym trójkącie, żeby doznać kolejnego spełnienia, bo tak mi mówi moje wewnętrzne ja, moje pielęgnowane pracownice pragnienie. Miewam w powietrzu chwile prawdziwych objawień. W razie awarii chyba bym nie żałowała. Czasem nadajemy do siebie z Tamagotchi wymyślonym przez te lata alfabetem. Stuka w miejscu najcieniej pokrytym skórą, przy kolcach biodrowych. Spinam się w sobie mocniej i odlatuję, przechodzę przez tęczę, przez chmury, opuszczam Układ Słoneczny. Nigdy nie kończ, kochanie. Wracam, gdy stewardesa stawia przede mną kubek z winem. Kupuję wino na pokładzie tanich linii, stworek lepiej się po nim czuje.

Na walentynki w tym roku wysłałam im obojgu ten sam wiersz.

Miłość

Nie ustanawiaj granic
We mnie ich nie przekroczysz
Wszystkie znikną zanim spróbujesz
Gra o bycie bardziej
Zanim nastąpi mniej
Gdzie nic nie było
Jest miłość

Te chwile są powtarzalne. Siedząc na kolanach Igora, jestem absolutnie spełniona. Zanim to zrobimy, podsycam w sobie oczekiwanie. Kiedy uznam, że mogłabym już umrzeć, nie zatrzymuję się. Za każdym razem lecę bez spadochronu. Kiedy Gośka zamawia dla mnie kawę w kolejnym nieznanym mi języku, widzę jej dłoń zbliżającą się do Tamagotchi. Słyszę w sobie rocka, a czasem barok.

– Jestem taka szczęśliwa...

Nie kończę zdania, gdy rozmawiam z nimi w tych wszystkich miejscach, do których mnie wzywają. Małe w środku jest lepszym słuchaczem.

– ...że mogłabym teraz umrzeć – mówię w powietrzu, unoszona przyrywem idącym ze mnie, z nich, z niego.

Śmieje się.

– Jeszcze nie teraz, maleńka.

Tej samej autorki



W powietrzu

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Motto
Poznajcie moje małe tamagotchi
Królowa Śniegu
Nie patrz tak na mnie, Alek
Lekcja muzyki
Popołudnia sawantek
Trójkąty nierównoboczne
Pierwszy narzeczony
Odchodzący sierpień
Intermedium
Łabędzie lądują
Raz się żyje
Las i plaża
Świnia na oświadczyzny
Przeciw porządności
Poczęcie drogą płciową
Ponownie na krawędzi małżeństwa
Arytmetyka
Pani redaktor nie tańczy, bo ma dziecko
Masz talent
Zbyt delikatny mężczyzna i jego fantazje
Wychowajmy razem dziecko
Kobiety nie do tego zostały stworzone (przerwa techniczna)
Facet w przetartym garniturze
Odpywanie
Dobrosąsiedzka manufaktura
Witaj w domu, maleńka
Mężczyzna, który skłonił mnie do miłości
Puk, puk, a co w przerwach?

So happy I could die

Tej samej autorki

Karta redakcyjna



iwaśiów
W POWIETRZU

 WIELKA LITERA